

1. NIKOGO NIE OBCHODZĘ.

- Złapcie tego zwariowanego szczeniaka! – ktoś krzyknął. Ledwo otwarto drzwi należącego do linii lotniczych „PANAM” samolotu „Constellation”, pomknąłem po schodkach w dół i dalej w kierunku budynku nowojorskiego lotniska Idlewild. Działo się to 4 stycznia 1955 roku i zimny wiatr szczypał mnie w policzki i uszy.

Kilka godzin wcześniej mój ojciec w San Juan wprowadził mnie, zbuntowanego piętnastoletniego chłopaka portorykańskiego, na pokład tego samolotu. Poleciwszy mnie opiece pilota, nakazał siedzieć w samolocie, dopóki nie zgłosi się po mnie mój brat, Frank. Ale gdy drzwi się otwarły, pierwszy wybiegłem z samolotu i co sił w nogach pomknąłem po betonowej płycie.

Trzej ludzie z obsługi lotniska skoczyli i przygwoździli mnie do siatki ogrodzenia przy wyjściu. Gdy starałem się uwolnić, lodowaty wiatr przenikał przez moje tropikalne ubranie. Dyżurujący przy wyjściu policjant chwycił mnie za ramię i ludzie z linii lotniczych spiesznie wrócili do swoich zajęć. Traktowałem to wszystko jak zabawę i spojrzawszy na policjanta, uśmiechnąłem się do niego.

Ty zwariowany Portorykańczyku! Co sobie do diabła wyobrażasz? – krzyknął policjant.

Wyczułem w jego głosie nienawiść i uśmiech zamarł mi na ustach. Grube policzki policjanta były zaczerwienione od chłodu, a oczy łzawiły mu od wiatru. W obwisłych wargach podskakiwało nie zapalone cygaro. Nienawiść! Poczułem, jak napełnia moje ciało. Taką samą nienawiść czułem do mojego ojca i matki, do nauczycieli i do policjantów w Porto Rico. Nienawiść! Próbowałem mu się wywinąć, ale trzymał mnie żelaznym chwytem.

No, szczeniaku, wracaj do samolotu.

Popatrzyłem na niego i splunąłem.

Ty świni! – warknął. – Brudna świni!

Rozluźnił uchwyt na moim ramieniu i próbował złapać mnie za kark.

W tym momencie dałem nurka pod jego ramieniem i skoczyłem przez otwartą bramkę na teren otaczający dworzec lotniczy

Usłyszałem za plecami krzyki i tupot nóg. Pomknąłem długim chodnikiem, zygzakami omijając ludzi tłumnie spieszących do samolotów. Nagle znalazłem się w hali dworca. Poszukałem wzrokiem drzwi wyjściowych, przebiegłem halę i wyskoczyłem na ulicę.

Przy krawężniku stał wielki autobus z otwartymi drzwiami i pracującym silnikiem. Przepchnąłem się przed wsiadających do niego ludzi. Kierowca złapał mnie za łokieć i zażądał opłaty za przejazd. Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem po hiszpańsku. Kierowca bezceremonialnie wypchnął mnie z kolejki, zbyt zajęty, by tracić czas ze smarkaczem, który ledwo rozumie po angielsku. Gdy zwrócił się do grzebiącej w torebce kobiety, schyliłem się i poza jej plecami przemknąłem się do zatłoczonego autobusu. Spojrzawszy przez ramię, by upewnić się, że kierowca mnie nie widzi, przepchnąłem się do tyłu i usiadłem koło okna.

Gdy autobus ruszył, zobaczyłem, jak z budynku dworca lotniczego wybiega ten gruby policjant, i wszyscy rozglądają się dookoła. Nie mogłem się powstrzymać i śmiejąc się do nich przez szybę zastukałem w okno i pomachałem im ręką.

Potem opadłem na siedzenie, wsparłem kolana o oparcie poprzedzającego mnie fotela i przycisnąłem twarz do zimnej brudnej szyby.

Autobus przeciskał się przez zatłoczone nowojorskie ulice w kierunku centrum miasta. widziałem przez okno leżący na ziemi brudny błotnisty śnieg. Zawsze wyobrażałem sobie śnieg jako coś czystego i pięknego, zmieniającego krajobraz w bajkową krainę. Ale ten śnieg był obrzydliwy, jak brudna papka z rozgotowanych ziemniaków. Szyba zamgliła się od mojego oddechu. wyprostowałem się i pociągnąłem po niej palcem.

To był świat zupełnie różny od tego, z którego przyjechałem.

Myślami przeniosłem się w dzień wczorajszy, kiedy stałem na zboczu wzgórza przed naszym domem. Przypomniałem sobie zieloną trawę pod stopami, upstrzoną pastelowymi kropkami małych kwiatków. Łąka, obniżając się, prowadziła wzrok ku znajdującej się w dolinie wsi. Przypomniałem sobie łagodny wiatr muskający mój policzek i ciepłe słońce grzejące moje opalone plecy.

Puerto Rico to piękny kraj słońca i bosych dzieci. To kraj, w którym mężczyźni nie noszą koszul, a kobiety leniwie przechadzają się w słońcu. Dniem i nocą słychać blaszane bębny i dźwięki gitar. To kraj śpiewu, kwiatów, roześmianych dzieci i roziskrzanej, błękitnej wody. Ale jest to również kraj gusła, czarnej magii, przesądów religijnych i wielkiej ciemnoty. Nocami dźwięki bębnów voodoo płynęły z porośniętych palmami gór, gdzie czarownicy wykonywali swoje rzemiosło, składając ofiary i tańcząc w migotliwym świetle ognisk.

Moi rodzice byli spirytystami. Zarabiali na życie wypędzając demony i rzekomo kontaktując się z duszami zmarłych. Ojciec budził strach wśród mieszkańców całej wyspy.

Miał dobrze ponad 180 cm wzrostu i barczyste pochylone ramiona, dlatego wyspiarze nadali mu przydomek „Wielki”. Był ranny w czasie drugiej wojny światowej i otrzymał od państwa rentę, ale w rodzinie było do wykarmienia siedemnastu chłopców i jedna dziewczyna, toteż po wojnie ojciec zajął się spirytyzmem, żeby zarobić na życie.

Matka pracowała z nim jako medium. Nasz dom był miejscem, w którym odprawiano wszelkiego rodzaju czary, obrzędy voodoo i seanse spirytystyczne. Setki ludzi przychodziło do nas z całej wyspy, aby brać udział w tych seansach i w sesjach medytacyjnych.

Z naszego wielkiego domu na szczycie wzgórza kręta ścieżka prowadziła do małej, sennej, ukrytej w dolinie wioski La Piedras. Chłopi wspinali się tą ścieżką o wszelkich porach dnia i nocy, aby dotrzeć do „domu czarownika”. Chcieli rozmawiać z duchami zmarłych, uczestniczyć w czarnoksięskich obrzędach i prosili ojca, żeby uwolnił ich od złych duchów.

Wszyscy oni przychodzili tu do ojca, ale zjawiało się też u nas dużo innych portorykańskich mediów korzystających z naszego domu. Niektórzy przesiadywali tu po kilka tygodni, wywołując duchy i wypędzając diabły.

We frontowym pokoju stał długi stół do seansów. Zasiadali przy nim ludzie, którzy chcieli porozmawiać z duchami zmarłych. Ojciec był odczytany w tym przedmiocie i miał traktujący o magii i czarnoksięstwie księgozbiór, nie mający sobie równych w tej części wyspy.

Pewnego dnia wcześniej rano dwóch mężczyzn przyprowadziło do naszego domu nawiedzoną. Mój brat, Gene, i ja wysliznęliśmy się z łóżka i przez uchylone drzwi zerkaliśmy na chorą, która leżąc rozciągnięta na stole jęczała i rzucała się, przytrzymywana przez tych dwóch, którzy ją przyprowadzili. Matka stała u jej stóp z oczyma wzniesionymi ku górze, nucąc jakąś monotonną pieśń z dziwnymi, obcymi słowami. Ojciec poszedł do kuchni i wrócił z małym czarnym naczynkiem, w którym paliło się kadzidło. Przyniósł również wielką zieloną żabę i położył ją na wstrząsanym drgawkami brzuchu kobiety. Następnie zawiesił naczynie z kadzidłem na cienkim łańcuszku nad głową chorej i posypał jej ciało jakimś proszkiem.

Staliśmy trzęsąc się ze strachu, gdy rozkazał złym duchom wyjść z ciała kobiety i wejść w żabę. Nagle kobieta odrzuciła głowę w tył i przeraźliwie krzyknęła. Żaba zeskoczyła z jej brzucha i spadła na próg. Kobieta zaczęła wierzcąc nogami i wywinąwszy się trzymającym ją ludziom, stoczyła się ze stołu i całym ciężarem upadła na podłogę. Gryzła wargi i język, a z ust jej ciekła zakrwawiona ślina i piana.

Wreszcie kobieta uspokoiła się i leżała bez ruchu. Ojciec oświadczył, że jest uleczona. Mężczyźni zapłacili mu, podnieśli nieprzytomną kobietę i poszli, dziękując ojcu i nazywając go wielkim Cudotwórcą.

Moje wczesne dzieciństwo było wypełnione strachem i żalem. Wielkość rodziny sprawiła, że poszczególnym dzieciom poświęcano niewiele uwagi. Czułem urazę do ojca i matki i bałem się odprawianych co noc czarów.

Ostatniego lata przed pójściem do szkoły zostałem zamknięty przez ojca w gołębniku. Wieczorem przyłapał mnie na wykradaniu pieniędzy z torebki mamy. Próbowałem uciec, ale złapał mnie za kark.

Nie uciekniesz tak łatwo. Będziesz musiał zapłacić za kradzież.

Nienawidzę cię! – wrzasnąłem.

Chwytał mnie i potrząsając mną w powietrzu krzyknął z wściekłością:

Ja cię nauczę odzywać się tak do ojca!

Wziął mnie pod pachę jak worek i poszedł przez ciemne podwórze do gołębnika.

Usłyszałem, jak otwiera zamek.

Do środka! – warknął – Jak posiedzisz z ptakami, to się nauczysz. Wepchnął mnie do środka i zatrzasnął drzwi. Usłyszałem trzask zamka i przez szpary w ścianach dobiegł mnie stłumiony głos ojca: I nie dostaniesz kolacji. Usłyszałem jego kroki oddalające się w kierunku domu. Skamieniałem ze strachu. Zacząłem walić pięściami w drzwi, kopać w nie i wrzeszczeć przeraźliwie. Nagle szopa wypełniła się łopotem skrzydeł i przerażone gołębie zaczęły uderzać o moje ciało. Zakryłem twarz rękami i zacząłem histerycznie wrzeszczeć. Ptaki tłukły się o ściany i uderzały dziobami w moją twarz i szyję. Upadłem na zapaskudzoną podłogę, okryłem rękami głowę i starałem się osłonić oczy i nie dopuścić do uszu hałasu łopoczących skrzydeł nad głową. Minęła cała wieczność, zanim drzwi się otworzyły i ojciec jednym szarpnięciem postawił mnie na nogi i wywlókł na podwórze. Następnym razem będziesz pamiętał, żeby nie kraść i nie pyskować, kiedy cię ktoś przyłapie – powiedział ostro. – Teraz umyj się i marsz do łóżka. Tej nocy zasnąłem płacząc i śniły mi się trzepoczące skrzydłami ptaki, które uderzały o moje ciało. Gdy poszedłem do szkoły na następny rok, moja uraza do rodziców przekształciła się w nienawiść do wszelkiej władzy. Potem, w wieku 8 lat, znienawidziłem rodziców do reszty. Tego dnia było gorąco. Po południu mama i kilka innych „mediów” siedziały za stołem w dużym pokoju i piły kawę. Znudziła mnie zabawa z bratem i odbijając piłeczkę od podłogi wszedłem do pokoju, w którym siedziały. Jedna z kobiet powiedziała do mamy: Twój Nicky jest takim miłym chłopcem. Jest całkiem do ciebie podobny. Musisz być z niego bardzo dumna. Matka popatrzyła na mnie z niechęcią i zaczęła kołysać się w krzesło do przodu i do tyłu. Wywróciła oczy w górę tak, że widać jej było tylko białka. Wyciągnęła ręce przed siebie, na blat stołu. Palce jej wyprężyły się i zaczęły drżeć. Powoli uniosła dłonie nad głowę i zaczęła mówić śpiewnym tonem: To... nie... mój... syn. Nie, nie Nicky. On – syn największego czarownika. Lucyfera. Nie, nie mój... nie, nie mój... Syn diabła, syn szatana. Upuszczona przeze mnie piłeczka podskakując potoczyła się przez pokój. Powoli zacząłem się cofać ku ścianie, a matka w swoim transie mówiła dalej i śpiewny ton jej głosu to wznosił się, to opadał: Nie, nie mój, nie mój... ręka Lucyfera na jego życiu... palec szatana dotknął jego życia... palec szatana dotknął jego duszy... znak bestii na jego sercu... Nie, nie mój... nie, nie mój. Patrzyłem, jak łzy płyną jej po twarzy. Nagle zwróciła się ku mnie i z szeroko otwartymi oczyma zaczęła wrzeszczeć: Wynos się, DIABLE! Odejdź ode mnie! Zostaw mnie, DIABLE! Precz! Precz! Precz! Byłem śmiertelnie przerażony. Pobiegłem do mojego pokoju i rzuciłem się na łóżko. Myśli przelatywały mi przez głowę jak rzeka pędząca przez wąski kanion. „Nie jej dziecko... dziecko szatana... nie kocha mnie... nikt mnie nie chce. Nikt mnie nie chce”. Zacząłem płakać, krzyczeć, szlochać. Ból w piersi był nie do wytrzymania i zacząłem walić pięściami w łóżko aż do zupełnego wyczerpania. Stara nienawiść wybuchła we mnie z nową siłą. Nagle zalała moje serce tak, jak fala przypływu zalewa rafę koralową. Nienawidziłem matki. Boże! Jak ja jej nienawidziłem! Chciałem zranić ją, sprawić jej straszny ból – żeby wyrównać rachunek. Rzuciłem się do drzwi i krzycząc pobiegłem do dużego pokoju. Kobiety jeszcze tam siedziały. Z całej siły uderzyłem dłońmi w blat stołu i krzyknąłem. Przepętniająca mnie nienawiść sprawiła, że się jąkałem i mówiłem niewyraźnie. N-n-n... nienawidzę cię! – wyciągnąłem trzęsącą się rękę i pokazałem na matkę palcem. – Z-z-zapłacisz mi za to! Zapłacisz mi za to! Dwaj młodzi bracia stali w drzwiach i patrzyli na mnie ze zdziwieniem, gdy pędem minąłem ich wybiegając z pokoju. Zbiegłem po schodach, skręciłem i schowałem się pod gankiem, w ciemnej i chłodnej kryjówce, z której już nieraz korzystałem. Siedząc w kucki w kurzu usłyszałem śmiech kobiet, ponad który wybijał się głos matki i przenikał przez podłogę: Widzicie, mówiłam, że on jest dzieckiem szatana. Jak ja jej nienawidziłem! Chciałem ją zniszczyć, ale nie wiedziałem jak. Waląc pięściami w kurz płakałem z wściekłości, a moim ciałem wstrząsał konwulsyjny

szloch.

Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! – krzyczałem. Ale nikt mnie nie słyszał – nikogo to nie obchodziło. W gniewie zacząłem chwycić garściami kurz i ciskać go z całej siły we wszystkie strony. Kurz osiadał na mojej twarzy i mieszał się ze łzami, tworząc na niej błotniste strumyczki.

W końcu moja wściekłość minęła i siedziałem w milczeniu. Słyszałem inne dzieci bawiące się na podwórku. Jeden z młodszych chłopców śpiewał coś o ptaszkach i motylkach. Czułem się samotny i wyobcowany. Dręczony nienawiścią i prześladowany, opętany strachem. Usłyszałem trzaśnięcie drzwi gołębnika i ciężkie kroki ojca wychodzącego z domu i wstępującego na schody. Nagle ojciec zatrzymał się i zajrzał pomiędzy stopniami w cień pod gankiem. Co tam robisz, chłopcze? – spytał.

Nie odzywałem się, mając nadzieję, że mnie nie pozna. Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Za chwilę zatrzasnęły się za nim drzwi siatkowe.

„Nikogo nie obchodzę” – pomyślałem.

W domu słychać było śmiech, w którym rozpoznałem głos ojca. Wiedziałem, że ciągle śmieją się ze mnie.

Znow załała mnie fala nienawiści. Łzy popłynęły mi znowu po twarzy i znowu zacząłem krzyczeć.

Nienawidzę cię, mamó! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! Nienawidzę cię! W furii rzuciłem się na ziemię i zacząłem się po niej tarzać tam i z powrotem. Kurz pokrył mnie całego. W końcu, zupełnie wyczerpany, zamknąłem oczy i rozpłakałem się. Po jakimś czasie zapadłem w niespokojny sen.

Słońce już zatonęło w morzu, gdy obudziłem się, na czworakach wylazłem spod ganku. Piasek zgrzytał mi w zębach i od stóp do głowy byłem brudny. Kumkały żaby, cykały świerszcze, bosymi stopami czułem wilgoć i chłód rosy. Ojciec otworzył drzwi i snop żółtego światła oświetlił mnie, stojącego u stóp schodów.

Ty świnió! – wrzasnął ojciec. – Coś robił tak długo pod tym domem?! Popatrz na siebie. Nie potrzebujemy tu świń. Idź się ogarnąć i chodź na kolację. Posłuchałem go. Ale myjąc się pod studnią wiedziałem, że już zawsze będę go nienawidził. Wiedziałem, że już nigdy nie będę kochał... Nikogo. Wiedziałem też, że już nigdy nie zapłaczę... Nigdy. Synowi Szatana – strach, brud i nienawiść. Zaczęła się moja ucieczka.

Jest zwyczajem wielu portorykańskich rodzin wysyłać dzieci do Nowego Jorku, gdy podrosną na tyle, by mogły same dać sobie radę w życiu. Sześciu moich starszych braci już tam wyjechało. Wszyscy byli żonaci i próbowali odmienić swój los.

Ja byłem zbyt młody, żeby wyjechać. Jednak w ciągu najbliższych pięciu lat moi rodzice zdali sobie sprawę, że nie mogę też pozostawać w Puerto Rico. Zacząłem sprawiać duże kłopoty w szkole. Wszczynałem bójki, zwłaszcza z mniejszymi dziećmi. Pewnego razu uderzyłem jedną dziewczynkę kamieniem w głowę. Stałem i w podnieceniu patrzyłem, jak włosy nasiąkają jej krwią. Dziewczynka płakała głośno, a ja śmiałem się.

Wieczorem ojciec uderzył mnie w twarz tak silnie, że rozkrwawił mi usta. Krew za krew! – wykrzyknął.

Kupiłem sobie wiatrówkę i zacząłem zabijać ptaki. Ale nie wystarczyło mi samo zabijanie. Bardzo lubiłem pastwić się nad ich ciałami. Moi bracia unikali mnie z powodu mojej nienaturalnej żądzy krwi.

W ósmej klasie pobiłem się z nauczycielem w warsztacie. Był to wysoki chudy mężczyzna, lubiący gwizdać za przechodzącymi kobietami. Pewnego razu nazwałem go „czarnuchem”. Klasa ucichła i cofnęła się pomiędzy maszyny, oczekując w napięciu dalszego rozwoju wypadków. Nauczyciel podszedł do tokarni, przy której stałem, i powiedział:

Wiesz co, mały, nie zgrywaj się.

Przepraszam czarnuchu, nie miałem zamiaru się zgrywać – odwarknąłem.

Zanim zdążyłem się ruszyć, zamachnął się swoją kościstą ręką i poczułem, jak wargi rozgniatają mi się na zębach pod strasznym ciosem. Poczułem, jak krew cieknie mi do ust i na brodę.

Rzuciłem się na niego z pięściami. On był dorosłym mężczyzną, a ja ważyłem niecałe 50 kg; byłem jednak przepełniony nienawiścią i ten cios wyzwolił we mnie furję. Nauczyciel oparł dłoń na moim czole i trzymał mnie na odległość

wyciągniętej ręki, a ja tylko bezskutecznie młóciłem pięściami powietrze.

Gdy zorientowałem się, że nie jestem w stanie go osiągnąć, odskoczyłem i wrzasnąłem:

Dostaniesz teraz za swoje, czarnuchu! Idę na policję! Zobacysz teraz! - i wybiegłem z klasy.

Nauczyciel pobiegł za mną wołając:

Czekaj, przepraszam cię.

Ale ja pobiegłem dalej. Nie poszedłem na policję. Zamiast tego poszedłem do ojca i powiedziałem, że nauczyciel chciał mnie zabić. Ojciec był wściekły. Pomaszerował do domu i wrócił z wielkim pistoletem u pasa.

Idziemy chłopcze. Własnoręcznie zabiję tego drania.

Pomaszerowaliśmy do szkoły. Ledwo nadażaliśmy za ojcem idącym wielkimi krokami i co chwila podbiegałem, żeby nie zostać z tyłu. Serce mi skakało z radości na myśl, że będę patrzył, jak ten wysoki nauczyciel będzie kurczył się ze strachu przed moim rozwścieczonym ojcem. Ale nauczyciela nie było w klasie.

Czekaj tu, chłopcze - powiedział ojciec. - Pójdę do dyrektora i załatwię tę sprawę.

Mina mi zrzędzła, ale czekałem.

Ojciec długo był w gabinecie dyrektora. Wreszcie wyszedł, szybkim krokiem podszedł do mnie, chwycił mnie za rękę i pociągnął gwałtownie.

W porządku chłopcze. Musisz mi jeszcze coś wyjaśnić. Idziemy do domu.

Znowu szliśmy szybko przez małą wioskę i ścieżką w górę do domu. Ojciec ciągnął mnie za sobą za rękę. Przed domem powiedział:

Ty ohydny kłamco!

Zamachnął się, żeby mnie uderzyć, ale uskoczyłem i pobiegłem ścieżką w dół.

Dobra, uciekaj, mały, uciekaj! - krzyknął ojciec. - Ale jeszcze wrócisz do domu. A wtedy spiorę cię na kwaśne jabłko.

Wróciłem do domu, ale dopiero po trzech dniach. Policja zatrzymała mnie, gdy szedłem poboczem drogi wiodącej w górę. Błagałem ich, żeby mnie puścili, oni jednak odwieźli mnie do ojca. A ojciec spełnił obietnicę.

Wiedziałem, że znowu ucieknę. I znowu. I będę uciekał i uciekał, dopóki nie znajdę się tak daleko, że nikt nie będzie mógł mnie zawrócić. W ciągu następnych dwóch lat uciekłem pięć razy. Za każdym razem policja znajdowała mnie i przywoziła do domu. Wreszcie doprowadzeni do rozpaczy rodzice napisali do mojego brata Franka, pytając go, czy zgodziłby się, żebym przyjechał i zamieszkał u niego. Frank się zgodził i rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu.

Gdy wyruszyłem, dzieci stały w szeregu na frontowym ganku. Matka przycisnęła mnie do piersi. Miała łzy w oczach. Chciała coś powiedzieć, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Nie czułem do niej nic. Zupełnie nic.

Podniosłem swoją walizeczkę, ponuro odwróciłem się do niej plecami i poszedłem do starej półciężarówki, w której czekał ojciec. Nie obejrzałem się ani razu.

Jazda na lotnisko w San Juan trwała 45 minut. Tam ojciec wręczył mi bilet i wsunął mi w rękę poskładaną dziesięciodolarówkę.

Zadzwonił do Franka zaraz, jak tylko znajdziesz się w Nowym Jorku - powiedział, Pilot zajmie się tobą, dopóki Frank nie przyjedzie.

Stał i patrzył na mnie długo, górujący nade mną; ciepły wiatr poruszał jego siwymi falującymi włosami. Musiałem mu się wydawać mały i budzący litość, gdy tak stałem obok wejścia na lotnisko z moją walizeczką w ręce. Wargi mu zadrżały, gdy wyciągnął do mnie na pożegnanie rękę. I nagle objął moje wątle ciało swoimi długimi ramionami i mocno przycisnął mnie do siebie. Powiedział łamiącym się głosem:

Mój synu

Puścił mnie i powiedział szybko:

Bądź grzeczny, ptaszku.

Odwrociłem się, wbiegłem po schodach do ogromnego samolotu i usiadłem koło okna. Przez szybę widziałem posępną, samotną postać mojego ojca, „wielkiego”, stojącą koło ogrodzenia. Ojciec uniósł w górę rękę, jakby chciał pomachać, ale postawszy chwilę, niezdecydowanie odwrócił się i poszedł szybko do starej półciężarówki.

Jak on mnie nazwał? „Ptaszek?”... Przypomniałem sobie pewien niezwykły moment sprzed lat, gdy ojciec zwrócił się do mnie tak samo.

Siedziałem wtedy na stopniach werandy, a on na werandzie kołysał się w bujaku, palił fajkę i opowiadał mi portorykańską legendę o ptaszku, który nie

miął nóg, ale stale latał. Ojciec spojrział na mnie smutno i powiedział: To jesteś ty, Nicky. Jesteś ciągle niespokojny. Jak ptaszek, ciągle uciekasz. Powoli pokiwał głową i popatrzył w górę, na niebo, wypuszczając dym w kierunku liści winorośli, zwieszających się z dachu werandy.

Ten ptaszek jest drobny i bardzo lekki. waży mniej niż piórko. Wyszukuje prądy powietrzne i śpi na wietrze. Stale ucieka. Ucieka przed jastrzębiami, sowami i innymi drapieżnikami. Ukrywa się, latając zawsze między nimi a słońcem. Jeśli tylko znalazłby się ponad nim, zobaczyłby go na tle ciemnej zieleni. Ale jego skrzydełka są przejrzyste jak czysta woda w lagunie. Jak długo lata wysoko, nie widzą go. On nigdy nie siada.

Ojciec odchylił się i wypuścił kłęb błękitnego dymu.

Ale jak on je? – spytałem.

Je w locie – odpowiedział ojciec. Mówił powoli, jakby miał przed oczami to drobne stworzenie. – łapie owady, motyle. Nie ma nóg, nie ma łapek i zawsze jest w powietrzu.

Byłem zafascynowany tą historią.

Ale co się dzieje, kiedy jest pochmurno? – zapytałem. – Co się dzieje, kiedy nie świeci słońce? Jak wtedy ucieka przed swoimi wrogami?

W pochmurną pogodę lata tak wysoko, że nikt go nie może dostrzec. Tylko raz przestaje latać, przestaje uciekać, gdy umiera. Bo gdy dotknie ziemi. Nie może już nigdzie uciec.

Ojciec poklepał mnie i popchnął lekko.

Idź teraz, ptaszku. Uciekaj, leć. Twój ojciec zawoła cię, gdy skończy się czas ucieczki.

Pobiegłem przez łąkę machając rękami jak ptak, próbując polecieć. Ale jakoś nie udawało mi się nabrać takiej prędkości, żeby unieść się w powietrze.

Silniki samolotu zakaszlały, wypuściły czarny dym i z rykiem ożyły.

Wreszcie miałem polecieć. Ruszałem w swoją podróż...

Autobus szarpnął i stanął. Za szybami jaskrawe światło i kolorowe reklamy migotały w zimnej ciemności. Siedzący po drugiej stronie przejścia mężczyzna wstał i skierował się do drzwi. Poszedłem za nim. Wsiadłem przez tylne drzwi, które z sykiem zamknęły się za mną. Autobus odjechał. Zostałem sam pośród milionów ludzi.

Podniosłem garść brudnego śniegu i strąciłem z wierzchu zlodowaciałą skorupę. I oto leżał na mojej dłoni, lśniący, biały i czysty. Chciałem wziąć go do ust i zjeść, ale zobaczyłem, że na jego powierzchni pojawiają się małe ciemne punkty. I nagle zdałem sobie sprawę, że powietrze pełne jest sadzy lecącej ze wznoszących się nad dachami kominów, od której śnieg staje się podobny do sera posypanego pieprzem.

Wyrzuciłem śnieg. To nie miało żadnego znaczenia. Byłem wolny. Przez dwa dni wędrowałem po mieście. W jakimś zaułku znalazłem stary płaszcz porzucony w śmietniku. Rękawy sięgały mi poniżej dłoni, a brzeg płaszcza włócił się po ziemi. Guziki były oderwane i kieszenie podarte, ale było mi w nim ciepło. Noc przespaliśmy w metrze, skulony na siedzeniu.

Pod koniec drugiego dnia opuściło mnie radosne podniecenie. Byłem głodny i zmarznięty. Dwukrotnie próbowałem porozmawiać z kimś i poprosić o pomoc. Pierwszy człowiek po prostu mnie zignorował. Przeszedł koło mnie, jakby mnie w ogóle nie było. Drugi pchnął mnie na śnieg i powiedział:

Zjeżdżaj, ty portorykański szczeniaku, nie dotykaj mnie swoimi brudnymi łapami. Przestraszyłem się. Starłem się opanować strach podchodzący mi z żołądkiem do gardła. O zmierzchu znowu chodziłem ulicami, włócząc płaszczem po chodniku i ściskając w ręku swoją walizeczkę. Ludzie omijali mnie i oglądali się na mnie, ale nikt się mną nie zainteresował. Każdy popatrzył i szedł dalej swoją drogą.

Dziesięć dolarów, które dostałem od ojca, wydałem właśnie tego wieczora. Wszedłem do małej restauracji i zamówiłem hot-doga, wskazując palcem na wiszącą nad załuszczonego barem jego reklamę. Połknąłem go kilkoma kęsami i pokazałem, że chcę jeszcze jednego. Mężczyzna za kontuarem pokręcił głową i wyciągnął rękę. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem poskładany banknot, wygładziłem go kilkakrotnie i wetknąłem w kieszeń brudnego fartucha. Potem dał mi drugiego hot-doga i miseczkę z papryką. Kiedy skończyłem, zacząłem go szukać wzrokiem, ale on na dobre zniknął w kuchni. Podniosłem walizeczkę i wyszedłem na zimną ulicę. To było moje pierwsze zetknięcie z amerykańskim zakładem

gastronomicznym. Skąd mogłem wiedzieć, że amerykańskie hot-dogi nie są po 5 dolarów?

Idąc ulicą napotkałem kościół i zatrzymałem się przed nim. Przejście było zagrodzone ciężką żelazną bramą zamkniętą na łańcuch spięty kłódką. Stałem przed tą szarą kamienną budowlą i patrzyłem na wycelowaną w niebo iglicę wieży. Zimne kamienne ściany i ciemne brudne szyby okien schroniły się za żelaznym ogrodzeniem. Posąg mężczyzny o łagodnej twarzy i smutnych oczach wyglądał przez zamkniętą bramę. Jego ramiona były wyciągnięte i pokryte śniegiem. Ale on był zamknięty wewnątrz. A ja byłem zamknięty na zewnątrz. Powłokłem się dalej ulicami i szedłem... szedłem...

Znowu zacząłem się bać. Była już prawie północ i trząsałem się nie tylko z zimna, ale i strachu. Miałem ciągle nadzieję, że ktoś zatrzyma się i spyta, w czym mi może pomóc. Nie wiem, co bym odpowiedział, gdyby ktoś zaofiarował mi pomoc. Ale byłem samotny. I przestraszony. I zagubiony.

Wokół mnie był tłum śpieszących gdzieś ludzi, który nie zwracali na mnie uwagi. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że człowiek może być samotny wśród miliona ludzi. Dla mnie samotność oznaczała błądzenie po lesie albo po bezludnej wyspie. Ale to było gorsze od wszelkiej samotności. Widziałem wystrojonych ludzi śpieszących do domu z teatru... starych mężczyzn sprzedających gazety i owoce przy małych, czynnych całą noc stoiskach... policjantów patrolujących dwójkami ulice... chodniki pełne zaafierowanych ludzi. Ale gdy patrzyłem im w oczy, dostrzegłem w nich taką samą samotność. Nikt się nie uśmiechał, nie było ani jednej radosnej twarzy. Wszyscy się śpieszyli.

Usiadłem na krawężniku i otworzyłem swoją walizeczkę. W niej, wepchnięta na dno, leżała poskładana karteczka z napisanym ręką matki numerem telefonu Franka. Nagle coś szturchnęło mnie z tyłu. Był to stary kudłaty pies, który wachał wielki płaszcz, zwisający luźno wokół mojego chudego ciała. Objąłem psa za szyję, przytuliłem go do siebie i przycisnąłem głowę do jego brudnych kudłów, a on polizał mnie po twarzy.

Nie wiem jak długo siedziałem tam drżąc i głaszcząc psa. Ale gdy podniosłem głowę, zobaczyłem nogi dwóch policjantów. Ich gumowe kalosze były mokre i zabłocone. Kudłaty kundel wyczuł niebezpieczeństwo i uciekł w najbliższą przecznicę.

Jeden z gliniarzy szturchnął mnie pałką w ramie i spytał:

Czego tu siedzisz po nocy?

Wydawało się, że jego twarz była całe mile nade mną. Z trudem, łamaną angielszczyzną, próbowałem wyjaśnić, że się zgubiłem.

Policjant mruknął coś do drugiego i odszedł. Ten, który został, ukląkł koło mnie na zabłoconym chodniku i powiedział:

Może ci w czymś pomóc, chłopcze?

Kiwnąłem głową i podałem mu kartkę z numerem telefonu Franka:

Brat – powiedziałem.

Policjant popatrzył na koślawe pismo i pokiwał głową.

Czy tam mieszkasz, chłopcze?

Nie wiedziałem, jak odpowiedzieć, więc tylko powtórzyłem:

Brat.

Policjant kiwnął głową, pomógł mi wstać i podeszliśmy do budki telefonicznej. Stojącej z kioskiem z gazetami. Pogrzebał w kieszeni, wyjął monetę i wykręcił numer. Gdy odezwał się zaspany głos Franka, policjant wręczył mi słuchawkę. Nie minęła godzina i znalazłem się bezpieczny w mieszkaniu brata.

Gorąca zupa u Franka była smaczna i czyste łóżko było przyjemne. Następnego dnia rano Frank powiedział, że będę mieszkał u niego, a oni zaopiekują się mną i zapiszą mnie do szkoły. Ale jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że nie zostanę tu długo. Zacząłem swoją ucieczkę i nic mnie już nie zatrzyma.

2. SZKOLNA DŻUNGLA.

Mieszkałem u Franka przez dwa miesiące, ucząc się władania językiem angielskim. Ale nie byłem szczęśliwy. Coś pchało mnie do odejścia.

Frank od razu, pierwszego tygodnia, zapisał mnie do dziesiątej klasy. Do tej szkoły chodzili prawie wyłącznie Murzyni i Portorykańczycy. Przypominała ona bardziej dom poprawczy niż miejską szkołę. Nauczyciele i wychowawcy więcej czasu poświęcali na zaprowadzenie jakiejś takiej dyscypliny niż na uczenie. Było to dzikie miejsce walk, demoralizacji i nieustającej wojny z każdym, kto reprezentował władzę.

W każdej szkole średniej Brooklynu były co najmniej dwa, trzy gangi. Gangi te składały się z chłopców i dziewcząt mieszkających w określonych rejonach dzielnic. Często były to gangi wrogie i zetknięcie ich ze sobą w jednej klasie nieuchronnie prowadziło do bójek.

Było to dla mnie coś zupełnie nowego. Codziennie w szkole walczone na korytarzu albo w jednej z klas. Przyciskałem się do ściany, bojąc się, że któryś z większych chłopaków rzuci się na mnie. Po lekcjach zawsze była bijatyka na szkolnym podwórku i zawsze ktoś zostawał na nim krwawiąc.

Frank ostrzegał mnie, żebym nie pokazywał się nocą na ulicy.

Gangi, Nicky – mawiał. – Gangi cię zamordują. Biegają nocami jak stada wilków. Zabijają każdego obcego.

Frank stanowczo prosił mnie, bym wracał zawsze ze szkoły prosto do domu i siedział w mieszkaniu, poza zasięgiem gangów.

Ale wkrótce przekonałem się, że nie tylko gangów należy się wystrzegać. Prócz nich istnieli „mali ludzie”. Były to dziewięcio-, dziesięcioletnie dzieci, które popołudniami włóczyły się po ulicach albo bawiły się przed rudarami, w których mieszkały.

Po raz pierwszy zetknąłem się z „małymi ludźmi” już w pierwszym tygodniu, gdy wracałem ze szkoły do domu. Banda około dziesięciu chłopców w wieku od ośmiu do dziesięciu lat wyskoczyła wprost na mnie z bramy, koło której przechodziłem.

Hej szczeniaki, uważajcie, jak chodzicie.

Jeden z nich zawrócił i powiedział:

Idź do diabła!

Drugi zaszedł mnie od tyłu, ukląkł za mną i zanim się spostrzegłem, gruchnąłem jak długi plecami na chodnik. Chciałem wstać, ale jeden z nich chwycił mnie za stopę i zaczął ciągnąć. Wszyscy krzyčeli i śmiali się.

Straciłem cierpliwość i rzuciłem się na najbliższego przewracając go na chodnik. W tej samej chwili usłyszałem wrzask jakiejś kobiety. Popatrzyłem w górę i zobaczyłem, jak wychyla się z okna drugiego piętra.

Odejdź od mojego dziecka, parszywy Portorykańczyku, bo cię zabiję!

Nie chciałem niczego innego, tylko móc bez przeszkód odejść od jej chłopaka.

Ale skoczyli na mnie pozostali. Jeden rzucił we mnie butelką po coca-coli, która uderzywszy w chodnik koło mojej głowy, prysnęła mi w twarz odłamkami szkła.

Kobieta wrzeszczała coraz głośniej:

Zostaw w spokoju moje dzieci! Ratunku! Ratunku! On zabije moje dziecko!

Nagle z bramy wybiegła inna kobieta z miotłą w rękach. Była gruba, biegła kaczkowatym krokiem i miała taki wściekły wyraz twarzy, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Wepchnęła się pomiędzy chłopców trzymając wysoko podniesioną nad głowę miotłę. Próbowałem się uchylić, ale walnęła mnie z całej siły w plecy. Odwróciłem się i trafiła mnie w głowę. Wrzeszczała cały czas.

Zobaczyłem, że jeszcze kilka kobiet wychyla się z okien i woła policję. Gdy zbierałem się do ucieczki, gruba kobieta zdążyła mnie uderzyć trzeci raz, po czym krzyknęła za mną:

Jak się tu jeszcze pokażesz, żeby zaczepiać naszych chłopców, to cię zatłuczemy!

Od następnego dnia wracałem ze szkoły inną drogą. Tydzień później po raz pierwszy zetknąłem się z „gangiem”. Wracałem bez pośpiechu do domu przez park i zatrzymałem się przy człowieku z gadającą papugą. Zacząłem tańczyć wokół niego, śmiałem się i rozmawiałem z ptakiem, gdy nagle ten człowiek przytulił papugę do piersi i śpiesznie odszedł. Obejrzałem się. Za mną półkołem stało około piętnastu chłopaków. Nie byli to „mali ludzie”. Byli to „duzi ludzie”. Przeważnie więksi ode mnie. Otoczyli mnie szybko i jeden z nich powiedział:

No, z czego się śmiejesz?

Pokazałem mężczyźnie z papugą śpiesznie opuszczającego park.

No... śmiałem się z tego zwariowanego ptaka.

Acha, a ty tu gdzie mieszkasz? – spytał znowu ten chłopak z nieprzyjemnym

wyrazem twarzy.

Zorientowałem się, że coś jest niedobrze, i zacząłem się trochę jąkać.

Mieszkałam u mojego brata, tam dalej, na tamtej ulicy.

Myślisz, że jak mieszkasz na tamtej ulicy, to możesz przychodzić do parku i śmiać się jak hiena? Co? Tak myślisz? Nie wiesz, że to jest rejon Biskupów? Nie pozwalamy się tu pętać żadnym obcym. A już na pewno nie takim, co tak podskakuje i śmieje się jak hieny.

Rozejrzałem się i zobaczyłem, że to nie żarty. Zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, nieprzyjemnie wyglądający chłopak wyciągnął z kieszeni nóż, który otworzył się ze szczękiem, ukazując błyszczące dwudziestocentymetrowe ostrze.

Wiesz co teraz zrobię? – spytał chłopak – Poderżnę ci gardło i będziesz krwawił jak to zwierzę, do którego masz taki podobny głos.

No, stary – wyjąkałem – co z tobą? Skąd ci przyszło do głowy, żeby mnie porznąć? Stąd, że mi się nie podobasz – odpowiedział. Wyciągnął nóż w kierunku mojego brzucha i ruszył na mnie.

W tym momencie odezwał się inny członek z gangu, wysoki kolorowy chłopak: Eee, zostaw go, Big Daddy. Ten chłopak dopiero przyjechał z Puerto Rico. On nawet nie wie, co jest grane.

Nieprzyjemny chłopak cofnął się i powiedział pogardliwie:

Dobra, ale niedługo się dowie, co jest grane. I niech się lepiej trzyma z daleka od rejonu Biskupów.

Odwrócili się i odeszli. Szybko poszedłem do domu i przez resztę popołudnia rozmyślałem.

Na drugi dzień w szkole niektórzy już słyszeli o wydarzeniu w parku.

Dowiedziałem się, że ten nieprzyjemny chłopak z nożem miał na imię Roberto.

Tego dnia na lekcji wychowania fizycznego mieliśmy baseball. Roberto złośliwie potrącił mnie tak, że się przewróciłem. Inni zaczęli wołać:

Bij się z nim, Nicky! Dowal mu! Pokaż mu, że bez noża to on nie jest taki twardy. Dalej Nicky, jesteście z tobą! Walnij go!

Wstałem i otrzępałem się.

Dobra – powiedziałem – zobaczymy, jaki dobre jesteś na pięści.

Stanęliśmy naprzeciw siebie, reszta nas otoczyła. Usłyszałem krzyki: „Biją się! Biją się!”, i zobaczyłem, jak dookoła rośnie tłum.

Roberto uśmiechnął się, gdy przyjąłem klasyczną postawę bokserką, z rękami osłaniającymi twarz. Zgarbił się i niezdarnie uniósł ręce. Było jasne, że nie przywykł tak walczyć. Ruszyłem na niego i zanim zdążył zareagować, dostał cios lewą. Krew puściła mu się z nosa i cofnął się, wyraźnie zaskoczony. Znowu ruszyłem na niego.

Nagle pochylił się, skoczył do przodu i zwałił mnie na ziemię uderzeniem głowy. Próbowałem wstać, ale zaczął mnie kopać swymi ostro zakończonymi butami. Przetoczyłem się na brzuch, a on skoczył mi na plecy i pociągnął moją głowę w tył, z premedytacją wbijając mi palce w oczy.

Myślałem, że inni pomogą mi się wydobyć spod niego, ale oni tylko stali i wrzeszczeli.

Nie umiałem walczyć w ten sposób. Wszystkie swoje walki stoczyłem zgodnie z regułami boksu. Ale czułem, że ten chłopak mnie zabije, jeśli czegoś nie zrobię. Sięgnąłem więc ku jego dłoni odciągając ją od oczu i zacisnąłem zęby na jego palcu. Zawył z bólu i stoczył się z moich pleców.

Zerwałem się i znowu przyjąłem postawę bokserką. On powoli się cofał trzymając się za zranioną dłoń. Ruszyłem na niego znowu i dwukrotnie uderzyłem go lewym sierpowym w twarz. Odczuł to mocno i poszedłem jeszcze bardziej do przodu, chcąc go znów uderzyć, gdy nagle on wyciągnął ręce i objął mnie w pasie, przyciskając mi łokcie do boków. Używając swojej głowy niczym taranu zaczął mnie walić czołem w twarz. Poczułem się tak, jakby mnie ktoś walił w twarz młotem kowalskim. Z nosa puściła mi się krew, z bólu nic nie widziałem. W końcu wypuścił mnie i dwa razy uderzył mnie pięściami, aż upadłem na zakurzone szkolne boisko. Kopnął mnie jeszcze raz, zanim zjawił się nauczyciel i odciągnął go ode mnie.

Gdy wieczorem wróciłem do domu, Frank zawołał:

Zabijają cię, Nicky! Mówiłem, żeby się trzymał z daleka od gangów. Zabijają cię! Twarz miałem posiniaczoną i czułem się tak, jakbym miał nos złamany. Ale już zmadrzałem. Nikt mnie już nie mógł zaskoczyć. Potrafię walczyć równie

niehonorowo jak oni, a nawet bardziej. I następnym razem będę już przygotowany. Następnym razem nastąpił po kilku tygodniach. Po lekcjach szedłem korytarzem do bramy. Usłyszałem, że ktoś idzie za mną. Obejrzałem się. Szło za mną pięciu czarnych chłopaków i dziewczyna. Słyszałem, że już kilka razy chłopaki portorykańskie i Murzyni pobili się nie na żarty. Przyspieszyłem kroku, ale oni też przyspieszyli.

Wyszedłem przez bramę i ruszyłem prowadzącym na ulicę przejściem między betonowymi ścianami. Czarne chłopaki zrównały się ze mną.

Jeden z nich, wysoki i rozrośnięty, szarpnął mnie i pchnął na ścianę. Upuściłem książki i inny chłopak stracił je z betonowego chodnika do rynsztoka, w którym stała brudna woda.

Rozejrzałem się, ale nie było nikogo, kogo mógłbym prosić o pomoc.

Co tu robisz w tym rejonie, mały? – zapytał wielki chłopak. – Nie wiesz, że to jest nasz region?

Człowieku, to rejon szkoły. Ten rejon nie należy do żadnego gangu – powiedziałem.

Nie bądź taki cwany, mały. Nie lubię tego.

Położył mi rękę na piersi i przycisnął mnie do ściany. Równocześnie usłyszałem trzask otwieranego noża sprężynowego.

Prawie wszyscy chłopcy nosili noże. Największą popularnością cieszyły się noże sprężynowe. Taki nóż jest uruchamiany przez sprężynę. Gdy nacisnąć mały guzik z boku rękojeści, zwalnia się zatrzask i mocna sprężyna błyskawicznie otwiera ostrze.

Wielki chłopak skierował nóż ku mojej piersi i zaczął stukać w guziki koszuli ostrym jak igła szpicem.

Słuchaj, cwaniaku – powiedział. – Jesteś nowy w tej szkole, a my robimy tak, żeby wszyscy nowi płacili nam za opiekę. To dobry interes. Płacisz nam dwadzieścia pięć centów dziennie, a my gwarantujemy, że nikt cię nie tknie. Jeden z pozostałych chłopaków zachichotał i powiedział:

Jasne, stary. I nawet gwarantujemy, że my też cię nie tkniemy.

Reszta się roześmiała.

Tak, a skąd mam pewność, że mnie nie oszukacie, jak wam będę dawał te dwadzieścia pięć centów dziennie? – spytałem.

Nie masz żadnej pewności, cwaniaku. Po prostu i tak nam je będziesz płacił. Bo jak nie, to cię wykończymy – odpowiedział.

Dobra. No to wykańczaj mnie od razu. Bo jak nie, to przyjdę i pozabijam was wszystkich.

Wyczułem, że trochę ich przestraszyłem. Duży chłopak z nożem, myśląc że jestem praworęczny, nie oczekiwał, że chwycę go lewą ręką. Odepchnąłem jego rękę z nożem od mojej piersi, odwróciłem go i wykręciłem mu rękę za plecami. Chłopak upuścił nóż. Porwałem ten nóż z ziemi i poczułem, że doskonale leży mi w dłoni. Przyłożyłem mu ostrze do szyi i nacisnąłem tak, żeby dobrze poczuł, ale żeby go jeszcze nie skaleczyć. Pchnąłem go twarzą do ściany, trzymając nóż przy jego szyi, tuż pod uchem. Dziewczyna krzyknęła, myśląc, że chcę go zabić. Odwróciłem się do niej i powiedziałem:

Znam cię, mała. Wiem, gdzie mieszkasz. Przyjdę do ciebie i zabiję cię. Jak ci się to podoba?

Krzyknęła jeszcze głośniej i chwyciwszy za rękę jednego z chłopaków, zaczęła go odciągać.

Uciekajmy! Uciekajmy! To wariat! Uciekajmy! – krzyczała.

Uciekli wszyscy nie wyłączając tego wielkiego chłopaka, którego trzymałem pod nożem. Puściłem go, wiedząc, że mogliby mnie zabić, gdyby spróbowali.

Podszedłem do miejsca, gdzie leżały w wodzie moje książki. Podniosłem je i otrzepałem. Ciągle jeszcze trzymałem nóż w ręce. Długo nie ruszałem się z miejsca, tylko otwierałem i zamykałem ostrze. Przyjemnie było czuć nóż w ręce. Wreszcie wsunąłem go do kieszeni kurtki i poszedłem do domu. „Od tej chwili – pomyślałem – lepiej niech się dobrze zastanowią, zanim podskoczą do Nicky’ego”.

Szybko rozeszło się, że jestem niebezpieczny. Zwróciło to na mnie uwagę różnych zabijaków. Wkrótce zorientowałem się, że prędzej czy później coś się stanie. Ale byłem przygotowany. Na wszystko.

wybuch nastąpił po dwóch miesiącach od mojego przyjscia do szkoły.

Nauczycielka właśnie uspokoiła klasę i zaczęła sprawdzać obecność. W tym momencie wszedł do klasy spóźniony murzyński chłopak. Kołysał się na boki,

kręcił biodrami i śmiał się głośno. Podszedł do siedzącej z tyłu drobnej, ładnej Portorykanki, schylił się i pocałował ją w policzek. Dziewczyna gwałtownie odchyliła się do tyłu. Chłopak objął ją i pocałował w usta, równocześnie kładąc rękę na jej piersi. Dziewczyna zerwała się z miejsca i zaczęła krzyczeć.

Inni chłopcy w klasie śmiali się i wołali:

Dalej stary, dalej!

Popatrzyłem na nauczycielkę. Ruszyła przejściem między ławkami, ale stanął przed nią wielki chłopak i powiedział:

No, chyba nie chce pani popsuć zabawy, nie?

Nauczycielka popatrzyła na o wiele od siebie wyższego chłopaka i wycofała się do stołu. Klasa wyła z radości.

W tym samym czasie tamten chłopak przycisnął dziewczynę do ściany i wodził rękami po całym jej ciele, próbując całować ją w usta. Dziewczyna krzyczała i odpychała go. W końcu chłopak zrezygnował i usiadł na swoim miejscu.

Nie będę się teraz z nią szarpał – oznajmił na głos. – Przyjdę do niej dziś w nocy i sama mi da z przyjemnością.

Nauczycielka odchrząknęła i podjęła sprawdzanie obecności.

Coś we mnie pękło. Wstałem ze swojego miejsca i poszedłem na koniec klasy. Dziewczyna siedziała na swoim miejscu i płakała. Stanąłem za tym chłopakiem, który teraz siedział i wydłubywał brud spod paznokci. Sięgnąłem po ciężkie drewniane krzesło stojące pod tylną ścianą.

Obróć no się, mam coś dla ciebie – powiedziałem.

Gdy się obejrzał, uderzyłem go krzesłem z góry. Upadł na ławkę i z głębokiej rany na głowie popłynęła mu krew.

Nauczycielka wybiegła z klasy i za chwilę wróciła z dyrektorem. Ten chwycił mnie za łokieć i powłókł do swojego gabinetu. Siedziałem tam i słuchałem, jak dzwoni na pogotowie i załatwia kogoś do zajęcia się rannym.

Potem zwrócił się do mnie. Powiedział, że przez te dwa miesiące słyszał o mnie zawsze tylko w związku z bójkami, w których brałem udział, a potem kazał mi wyjaśnić, co stało się w klasie. Opowiedziałem mu dokładnie wszystko, jak było. Powiedziałem, że ten chłopak zabierał się do portorykańskiej dziewczyny i że nauczycielka nie próbowała go powstrzymać, więc ja ująłem się za tą dziewczyną.

Gdy mówiłem, nauczyciel robił się coraz bardziej czerwony. W końcu wstał i powiedział:

W porządku. Moja cierpliwość się wyczerpała. Nie będę więcej tolerował tych bójek. Wy sobie wyobraźcie, że możecie tu przychodzić i zachowywać się jak na ulicy. Najwyższy czas, żebym dla przykładu zareagował jak należy. Może wreszcie zaczniecie mieć jakiś szacunek dla przełożonych. Nie mam zamiaru siedzieć tu codziennie i słuchać, jak jeden z drugim próbuje się wyłgać z usiłowania zabicia kolegi. Dzwonię po policję.

Zerwałem się na równe nogi.

Proszę pana, policja mnie wsadzi do więzienia.

Mam nadzieję – odpowiedział dyrektor. – Przynajmniej reszta tych potworów tutaj nauczy się choć trochę szanować przełożonych.

Zatrząsałem się z wściekłości i ze strachu.

Niech pan dzwoni na policję – powiedziałem cofając się w stronę drzwi. – Ale kiedy mnie wypuszczą z więzienia, wrócę tu, dopadnę kiedyś pana samego i zabiję. Mówiąc to zaciskałem zęby w furii.

Dyrektor zbladł jak papier. Przez chwilę się nie odezwał po czym powiedział: Dobrze, Cruz. Wypuszczę cię tym razem. Ale żebyś mi się więcej nie pokazywał koło tej szkoły. Nie obchodzi mnie gdzie pójdziesz. Możesz nawet iść do piekła. Ale strzeż się, żebym cię tu znowu nie zobaczył. Uciekaj stąd biegiem i nie zatrzymuj się, dopóki nie będziesz tak daleko, aż nie będę cię mógł zobaczyć. Zrozumiałeś?

Zrozumiałem. I uciekłem... Biegiem.

3. WŁASNĄ DROGĄ.

W życiu wypełnionym nienawiścią i strachem nie ma miejsca dla nikogo prócz

siebie samego. Nienawidziłem wszystkich, z Frankiem włącznie. On reprezentował władzę. A gdy sprzeciwił się temu, żebym nie chodził do szkoły i wracał do domu dopiero wieczorem, zdecydowałem się odejść.

Frank powiedział wtedy:

Nicky, Nowy Jork to dżungla. Ludzie, którzy tu mieszkają, kierują się prawem dżungli. Przeżyć mogą tylko ci, którzy są pozbawieni skrupułów. Jeszcze nie poznałeś naprawdę tego życia. A ja tu jestem już pięć lat i wiem, jak tu jest. To miasto roi się od prostytutek, narkomanów, pijaków i morderców. Oni cię zabijają. I nawet nikt nie będzie wiedział, że nie żyjesz, dopóki jakiś narkoman nie natknie się na twoje rozkładające się zwłoki pod stertą śmierci.

Frank miał rację. Ale ja nie mogłem u niego zostać. Nalegał, żebym wrócił do szkoły, a ja wiedziałem, że będę musiał pójść własną drogą.

Nicky, nie mogę zmusić cię, żebyś poszedł do szkoły. Ale jeśli nie pójdziesz, jesteś zgubiony.

Ale dyrektor mnie wykopał. Kazał mi nigdy nie wracać.

Nie obchodzi mnie to – powiedział. – Jeśli chcesz tu mieszkać, musisz wrócić do szkoły. Jeśli nie do tej, to do jakiejś innej.

Jak myślisz, że wrócę – warknąłem – to chyba zgłupiałeś. A jak mnie będziesz zmuszał, to cię zabiję.

Nicky, jesteś moim bratem. Mówisz jak wariat. Rodzice kazali mi się tobą opiekować. Nie mam zamiaru służyć takiego gadania. Albo idziesz do szkoły, albo się wynoś. Proszę, uciekaj, jeśli chcesz. Ale szybko będziesz z powrotem, bo nie masz dokąd iść. A jeśli zostaniesz, pójdziesz do szkoły i nie ma gadania. To było w piątek rano, zanim Frank poszedł do pracy. Po południu zostawiłem na stole w kuchni kartkę, że pewni znajomi zaprosili mnie do siebie na tydzień. Nie miałem żadnych znajomych, ale nie mogłem już dłużej zostawać u Franka. Wieczorem, szukając jakiegoś mieszkania, zawędrowałem do dzielnicy Bedford-Stuyvesant w Brooklynie. Podszedłem do grupy nastolatków stojących na rogu ulicy.

Chłopaki, nie wie który, gdzie by tu można znaleźć jakiś pokój?

Jeden z nich popatrzył na mnie zaciągając się papierosem, po czym pokazał kciukiem przez ramię w kierunku Brooklyńskiej Średniej Szkoły Technicznej.

Mój stary jest tu szefem od tych mieszkań po tamtej stronie. Pogadaj z nim, to coś ci znajdzie. Siedzi tam i gra w karty z tymi facetami. To ten pijany.

Reszta chłopaków roześmiała się.

Mieszkania które chłopak miał na myśli, znajdowały się w dzielnicy Fort Greene, w środku największego na świecie osiedla mieszkaniowego. Ponad trzydzieści tysięcy ludzi mieszkało tam w blokach. Przeważnie byli to Murzyni i Portorykańczycy. Osiedle Fort Greene rozciąga się od Park Avenue do Lafayette Avenue, otaczając Washington Park.

Podszedłem do grupki mężczyzn i spytałem administratora, czy nie miałby pokoju do wynajęcia. Podniósł głowę znad kart, popatrzył na mnie i burknął: Tak mam. A bo co?

Zawahałem się i wyjąkałem:

No... bo... szukam mieszkania.

Masz piętnaście dolarów? – spytał spluwając sokiem tytoniowym pod moje nogi.

No... nie przy sobie, ale...

No to nie ma pokoju – powiedział i znowu zajął się kartami. Inni nawet na mnie nie spojrzeli.

Ale będę miał pieniądze – powiedziałem.

Słuchaj mały. Jak mi pokażesz piętnaście dolców z góry, masz pokój. Nie obchodzi mnie, skąd je weźmiesz. Możesz równie dobrze obrobić jakąś staruszkę. Ale jak nie masz forsy, to zjeżdżaj i nie zawracaj mi głowy.

Poszedłem z powrotem w kierunku Lafayette, mijając Papa John's, Harry's Meat House, Paradise Bar, Shery's, The Esquire, Valhal Bar i Lincoln's Rendezvous. Skręciłem w zaułek, myśląc, skąd wziąć pieniądze.

Wiedziałem, że gdybym został schwytany przy próbie obrabowania kogoś, poszedłbym do więzienia. Ale byłem w sytuacji bez wyjścia. Napisałem Frankowi, że wrócę dopiero za tydzień. Wynajęcie pokoju kosztowało, a ja nie miałem ani grosza. Była już prawie dziesiąta wieczór i wiał lodowaty wiatr. Ukryty w mroku zaułka, zacząłem przyglądać się idącym chodnikiem ludziom. Wyjąłem z kieszeni swój nóż i nacisnąłem przycisk na jego rękojeści. Ostrze odskoczyło z cichym trzaskiem. Przyłożyłem czubek noża do dłoni. Ręce mi się trzęsły i

próbowałem sobie wyobrazić, jak dokonałbym tego rabunku. Czy lepiej wciągnąć kogoś w zaułek? Czy powinienem go od razu uderzyć, czy tylko przestraszyć? A co, jeśli zacznie krzyczeć?

Moją uwagę przyciągnęli dwaj ludzie rozmawiający u wylotu zaułka. Stary alkoholik zatrzymał osiemnastoletniego chłopaka niosącego wielką torbę pełną zakupów ze sklepu spożywczego. Stary prosił chłopaka o dziesięć centów na filiżankę kawy. Słuchałem, jak chłopak próbuje się uwolnić, tłumacząc, że nie ma pieniędzy.

Przemknęło mi przez myśl, że stary pewnie ma pełne kieszenie wyżebranych i ukradzionych pieniędzy. Nie próbowałby nawet wołać o pomoc, gdybym go obrabował. Jak tylko chłopak pójdzie, wciągnę starego w zaułek i odbiorę mu forszę.

Chłopak postawił torbę na chodniku. Pogrzebał w kieszeni i wyjął monetę. Stary coś zamruczał i powłóczęc nogami poszedł.

„Do diabła – pomyślałem – co teraz robić?”

W tym momencie chłopak niechcący wyrzucił swoją torbę i kilka jabłek potoczyło się po chodniku. Schylił się po nie i wtedy wciągnąłem go za róg i rzuciłem o ścianę. Obaj byliśmy śmiertelnie przerażeni, ale ja miałem przewagę zaskoczenia. Chłopak skamieniał ze strachu, gdy zobaczył przed sobą twarzą mój nóż.

Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale potrzebuję forsy. Jestem gotów na wszystko. Dawaj forszę. Szybko. Wszystko co masz, bo cię zabiję.

Ręce trzęsły mi się okropnie. Bałem się, że upuszczę nóż.

Proszę, proszę. Bierz wszystko, tylko mnie nie zabijaj – błagał chłopak. Wyjął portfel i chciał mi go podać, ale upuścił go. Kopnąłem portfel w głąb zaułka. Zjeżdżaj – powiedziałem. – Biegiem! A jak zwolnisz przed drugą przecnicą, to będziesz trup.

Popatrzył na mnie oczyma okrągłymi z przerażenia i rzucił się do ucieczki. Potknął się na swoich zakupach i rozciągnął na chodniku jak długi. Poderwał się, znów się potknął i pobiegł chodnikiem, z trudem łapiąc równowagę.

Gdy tylko zniknął za rogiem, chwyciłem jego portfel i co sił w nogach pobiegłem w głąb zaułka. Znalazłszy się w ciemnościach De Kalb, przesadziłem żelazny parkan otaczający park i przez wysoką trawę pobiegłem między drzewa. Przysiadłem za skarpą, żeby złapać oddech i uspokoić łomoczące serce. Otworzyłem portfel i przeliczyłem jego zawartość. Było tam 19 dolarów. Przyjemnie było czuć w dłoni banknoty. Cisnąłem portfel w wysoką trawę i ponownie przeliczyłem pieniądze. Potem złożyłem je i wsadziłem do kieszeni.

„Nieźle – pomyślałem. – Gangi zabijają włóczęgów za mniej niż dolara, a mnie za pierwszym razem wpadło dziewiętnaście. Całkiem nieźle”.

Jednak pewność siebie nie usunęła całkowicie mojego strachu i długo siedziałem ukryty w wysokiej trawie. Dopiero dobrze po północy odważyłem się wyjść, ale wtedy było już za późno, aby wynająć pokój, poszedłem więc znowu na miejsce mojego przestępstwa. Ktoś już pozbiierał wszystko prócz zgniecionej paczki krakersów. Podniosłem ją i potrząsałem, patrząc, jak okruchy sypią się na chodnik. Strach odpłynął ode mnie już całkiem i uśmiechnąłem się. „Trzeba go było ciachnąć, tak z ciekawości, jak to będzie – pomyślałem. – Na drugi raz spróbuję”.

Skierowałem się ku wejściu do metra koło Papa John's i wsiałem do pierwszego lepszego pociągu. Spędziłem noc w metrze i następnego dnia wcześniej rano byłem z powrotem na Fort Green Place, żeby wynająć pokój.

Administrator poprowadził mnie na drugie piętro. Pokój był mały, z popękany sufitem. Usytuowany był od ulicy i przez okno widać było Brooklyńską Szkołę Techniczną. Administrator poinformował mnie, że na pierwszym piętrze jest wspólna łazienka oraz że temperaturę w pokoju można regulować pokrętłem przy stalowym grzejniku. Potem wręczył mi klucz i oznajmił, że czynsz należy płacić za każdy tydzień z góry, w sobotę. Drzwi zamknęły się za nim i usłyszałem, jak schodzi po schodach.

Rozejrzałem się po pokoju. Były w nim dwa jednoosobowe łóżka, krzesło, stolik, umywalka i niewielka szafa. Podeszedłem do okna i wyjrzałem na ulicę. Ulica Lafayette za rogiem dudniła porannym ruchem. Po drugiej stronie ulicy wznosił się w niebo budynek Brooklyńskiej Szkoły Technicznej. Był długi na cały blok i zasłaniał sobą wszelkie widoki, jakie ewentualnie można by tu było oglądać. Ale to nie było ważne. Byłem u siebie.

Przed południem wyszedłem, żeby się rozejrzeć po okolicy. Schodząc po schodach tej rudery zobaczyłem młodego człowieka wychodzącego niepewnym krokiem z klatki schodowej. Twarz miał chorobliwie bladą i oczy głęboko zapadnięte. Brudna obstrzępiona marynarka zwisała mu z jednego ramienia, spodnie miał rozpięte, bo właśnie skończył oddawać mocz za kaloryferem. Trudno było poznać, czy był pijany, czy odurzony narkotykami. Stojąc na półpiętrze zobaczyłem, jak chwiejnie wyszedł przez bramę na zewnętrzne schodki, stanął z boku, pochylił się i zaczął z góry wymiotować na chodnik.

Banda „małych ludzi” wypadła z mieszkania na parterze i wybiegła na ulicę, zupełnie nie zwracając na niego uwagę. Mężczyzna przestał wymiotować i tępo patrząc przed siebie osunął się na najwyższy stopień.

Ominiąłem go i zszedłem na ulicę. Usłyszałem, jak ktoś otwiera okno, i popatrzyłem w górę w samą porę, by zdążyć uskoczyć przed kupą odpadków wyrzuconych z drugiego piętra prosto na chodnik. Trochę dalej jeden z małych ludzi kucał w mroku pod schodkami, wykorzystując nieużywane drzwi od piwnicy jako latrynę. Wstrząsnęło mną obrzydzenie, ale powiedziałem sobie, że muszę się do tego przyzwyczaić.

Za domem było trochę wolnej przestrzeni, zarośniętej wysokimi do pasa chwastami i suchymi krzakami. Kilka mizernych drzewek wyciągało suche gałęzie ku niebu. Zaczynała się już wiosna, ale drzewka zdawały się wzdrygać przed wypuszczeniem pączków i rozpoczęciem jeszcze jednego roku egzystencji w tym getcie. Kopnąłem puszkę po piwie – pełno ich tu wszędzie leżało. Zarośla chwastów były pełne starych gazet, kartonów i butwiejących kawałków tektury. Zniszczone ogrodzenie z drutu przedzielało teren. Za nim była część przylegająca do innego domu czynszowego, stojącego przy St. Edward Street. Odwróciłem się i spojrzałem na mój dom. Kilka okien na parterze zamiast szyb miało kawałki ocynkowanej blachy. Trochę dalej zobaczyłem okrągłe buzie murzyńskich dzieciaków z nosami rozpląszczonymi o brudne szyby; patrzyły, jak toruję sobie drogę przez to śmietnisko. Przypominały mi zwierzęta w klatce, pragnące wolności, ale nie wychodzące z obawy, że mogą zostać poranione lub zabite. W oknie brakowało kawałka szyby, a dziura zatkana była tekturą. Naliczyłem pięć przestraszonych twarzy. Prawdopodobnie było jeszcze z pięćcioro dzieci w tym małym trzyizbowym mieszkaniu.

Obszedłem dom dokoła i wyszedłem na ulicę. W suterenie domu nr 54 było wolne mieszkanie. Żelazna furtka huśtała się luźno na zawiasach. Otwarłem ją kopnięciem i wszedłem. Smród taniego wina, dymu, zatęchłego brudu, moczu i innych nieczystości przekraczał moją wytrzymałość. Cofnąłem się z obrzydzeniem. Na szczęście mój pokój był na drugim piętrze.

Ruszyłem dalej chodnikiem. Stojące na ulicy prostytutki przedstawiały żałosny widok. Białe dziewczyny pracowały po prawej stronie ulicy i zajmowały mieszkania w następnym bloku. Kolorowe dziewczyny pracowały po przeciwnej stronie i mieszkały w okolicy wejścia do metra. Wszystkie były narkomankami. Stały to tu, to tam, ubrane w trykoty i brudne płaszcze. Niektóre ziewały z nudów albo dlatego, że nie wzięły „rozbudzacza” – porannego zastrzyku heroiny, który postawiłby je na nogi.

Prze te dwa miesiące nie zdążyłem jeszcze przywyknąć do Nowego Jorku. W Puerto Rico oglądałem zdjęcia Statuy wolności i gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych. Ale tu, w getcie, jak okiem sięgnąć były tylko przepełnione domy czynszowe. Każde okno oznaczało rodzinę wciśniętą do ciasnego pomieszczenia i wiodącą tam nędzną egzystencję. Przypomniało mi się zoo w San Juan z niedźwiedziami krążącymi niespokojnie po klatce i małpami skrzeczącymi z za krat. Zwierzęta w zoo żyją na własnych nieczystościach. Jedzą nieświeże mięso albo zwiędła sałata. Ciągłe ze sobą walczą i jednoczą się tylko wtedy, gdy atakują intruza. Zwierzęta nie zostały stworzone do takiego życia, z namalowaną na tylnej ścianie klatki sceną z dżungli, przypominającą im, czym powinny być. Ludzie też nie. Ale tu, w gettach, tak właśnie żyją.

Stanąłem przy krawężniku na rogu Myrtle Avenue, czekając na zielone światło. Nad ulicą przejechał z łoskotem pociąg kolei nadziemnej, strząsając na stojących pod spodem ludzi drobinki kurzu i sadzy. Po każdej zmianie światła ludzie ruszali, brnąc z trudem przez mieszaninę błota, śniegu i soli, pokrywającą ulicę.

Za domami sznury od bielizny rozciągały się od jednego odrapanego balkonu, albo zejścia pożarowego, do drugiego. Niebieskie koszule i spodnie koloru

khaki powiewały na mroźnym wietrze. Bielizna, niegdyś biała, była teraz szara od ciągłego kontaktu z unoszącym się w powietrzu brudem.

Była sobota rano i sklepikarze odsuwali ciężkie żelazne kraty w swoich sklepach. Jak okiem sięgnąć wszystkie sklepy zaopatrzone były w kraty, chroniące je przed włóczącymi się po nocach gangami.

Jednak najbardziej przytłaczały mnie domy czynszowe. Widziałem oznaki nieśmiałych prób, czynionych przez lokatorów, żeby w tej betonowej dżungli, wśród ceglanych wozów, odnaleźć okruchy własnej tożsamości. Ale były to daremne wysiłki. Przypominały zachowanie człowieka pogrążającego się w bagnie, który wyteża siły, aby dosięgnąć rosnącego na skraju trzęsawiska ziała, zaciska na nim kurczowo palce i tonie z rośliną w zaciśniętej pięści.

Brudna doniczka z czerwonej gliny stała się pokrytym sadzą oknem. Rachityczna pelargonia wspierała się bezsilnie o szybę. Tutaj schody wejściowe były pomalowane na jasny kolor czy też parapet okienny odcinał się jaskrawą barwą od szarego kamienia ściany, gdzie indziej prymitywnej roboty skrzynka na kwiaty, zbita z kawałków starych skrzyń, zwisała z brudnego parapetu. Kilka żalonych sztucznych kwiatów opierało się podmuchom zimowego wiatru osypującego je sadzą lecącą z tysięcy kominów, wznoszących się nad miastem.

Doszedłem do St. Edward Street i stanąłem przed Biblioteką Walta Whitmana, koło Szkoły Podstawowej nr 67 po drugiej stronie ulicy stał wielki dom czynszowy, wysoki na dwanaście pięter i długi od przecznicy do przecznicy. Patrzył na ulicę swymi sześciuset oknami, z których każde kryło za swą szybą ludzką nędzę i poniżenie. W jednym z okien widniały podarte zasłony, niegdyś kolorowe, teraz wyblakłe i zniszczone przez zatrute powietrze. W większości okien nie było firanek ani zasłon i dom spoglądał nimi na biegnącą w dole ulicę szklanym wzrokiem zamrożonego trupa.

Zawróciłem w kierunku Washington Park. „Co się stało z tymi ludźmi w tym okropnym miejscu? – myślałem. – Dlaczego mieszkają tak, bez ogródków, trawy, skwerów, drzew”. Nie wiedziałem, że kiedy człowiek raz się wprowadzi do jednej z tych betonowych klatek, staje się jej więźniem. Nie ma ucieczki z asfaltowej dżungli.

Gdy około czwartej po południu wracałem do domu, na placu zabaw położonym za kościołem katolickim św. Michała i Edwarda, na rogu ulic Auburn i St. Edwards, spostrzegłem coś, co wyglądało na wesołe miasteczko z karuzelami i muzyką. Muzyka rozbrzmiewała na całą ulicę. Zostało mi jeszcze trochę pieniędzy z rabunku i na dźwięk muzyki zrobiło mi się raźniej. Koło wejścia zobaczyłem grupę chłopaków otaczających włoskiego kataryniarza. Mieli na sobie czarne kurtki z dwoma ciemnoczerwonymi literami M naszytymi na plecach. Chłopcy niemal zagłuszały katarynkę hałasem, jaki robili klaszcząc i tańcząc na chodniku.

Pośrodku grupy ciemnowłosa biały chłopak, mniej więcej w moim wieku, z roześmianą twarzą i rękami pod boki, walił piętami w chodnik i wirował w szybkim tańcu. Nagle jego czarne oczy napotkały mój wzrok. Gwałtownie zatrzymał się i w jednej chwili uśmiech zniknął z jego twarzy. Patrząc na mnie zimnym i twardym wzrokiem, powiedział:

Hej, ty, co robisz na tym terytorium? To jest rejon Mau Mau. Nie lubimy, żeby nam się tu obcy pętali.

Reszta chłopaków w czarnych bluzach utworzyła wokół nas ciasny krąg.

Przystojny chłopak z zimnymi jak stal oczyma podszedł do mnie i napierając na mnie pierś uśmiechnął się złowrogo.

Do jakiej paczki należysz?

Nie należę do żadnej paczki – odpowiedziałem. – Przyszedłem tu, żeby pojeździć sobie w wesołym miasteczku. Zbrodnia to czy co?

Jeden z otaczających nas chłopaków wystąpił naprzód.

Ej, ty, wiesz, co to jest? – powiedział, potrząsając otwartym nożem. – To jest nóż, mały. I on ci rozpruje bebechy. Może do mnie podskoczysz, co? Ja nie jestem taki ciepły jak Izrael.

Chłopak nazwany Izraelem odsunął go i powiedział:

Widzisz, obcy tu może być łatwo zabity. Mógłbym cię zabić. Jak chcesz jeszcze pożyć, lepiej nie podskakuj.

Byłem zły i sięgnąłem do kieszeni po swój nóż. Ale zdałem sobie sprawę, że jest ich o wielu za dużo, bym miał jakieś szanse. Nie chciałem okazać się tchórzem, ale wiedziałem, że będę musiał odłożyć do innej okazji okazanie swej

odwagi. Kiwnąłem głową, odwróciłem się i poszedłem w stronę Washington Park i swojego mieszkania. Słyszałem, jak za moimi plecami gang śmieje się i gwizdże. Dobrze mu powiedziałaś, Izrael. Nauczyłeś tego sk-syna. Prędzej się zrobi zimno w piekle, niż on tu znowu wsadzi swój nos.

Byłem wściekły i rozgoryczony. Idąc pod torami kolejki nadziemnej na Myrtle, doszedłem do parku i usiadłem na ławce. Teraz dopiero zauważyłem, że idzie za mną młody, może trzynastoletni chłopak. Odwróciłem się i popatrzyłem na niego. Uśmiechnął się i usiadł koło mnie.

Dali ci wycisk, co?

A co chcesz? Mógłbym się bić z jednym, ale nie było sensu bić się z nimi wszystkimi naraz.

Człowieku, te gangi tutaj nie żartują – powiedział, sięgając do kieszeni koszuli i wyjmując skręta. – Zabiją cię, jak się do nich nie przyłączysz. Zapalił papierosa i zauważył, że mu się przyglądam.

Palisz trawę? – spytał.

Zaprzeciłem, ale wiedziałem, o czym mówi.

Chcesz spróbować? Mam jeszcze. Dzisiaj jest zimno.

Pewnie – odpowiedziałem.

wycofałem się już dzisiaj raz i nie chciałem się wycofywać ponownie. Chłopak pogrzebał w kieszeni koszuli i wyjął krzywego, pomiętego papierosa, pozawijanego na końcach i poplamionego z boku, tam gdzie chłopak go polizał przy sklejaniu.

Musisz stale ciągnąć, bo zgaśnie – powiedział.

Zapalił mi go i zacząłem pykać.

Nie tak – roześmiał się chłopak. – Patrz

Nabrał pełne usta dymu i wciągnął go powoli do płuc.

Tak trzeba. Jak tylko pykasz, to się wypali i nic z tego nie masz. Zaciągaj się.

Zaciągnąłem się. Poczułem dziwny słodki smak i mocny zapach.

Co to daje? – spytałem, czując, jak zaczyna mi się kręcić w głowie od tego ziela.

Człowieku, wszystko! – odpowiedział chłopak. – Śmiejesz się, czujesz, że jesteś najlepszym tancerzem, najlepszym kochankiem, że się najlepiej bijesz. Wszystkie chłopaki tam koło wesołego miasteczka popaliły trawy. Nie widziałeś, jakie mieli czerwone oczy? Można poznać, czy ktoś popalił trawy, po tym, że mu oczy błyszczą.

Skąd to bierzesz? – spytałem.

O, to łatwe. Pełno tu handlarzy w okolicy. Prawie wszystkie większe chłopaki mogą ci to załatwić. Mają kontakty z tymi od transportów. Kuba, Meksyk. A ja? Mój stary to hoduje za domem. Jest tam tego trochę. Nikt tam nie chodzi. Mój stary wysiał trochę nasion między zielskiem i mamy swoje. Nie jest to takie dobre, jak niektóre inne, ale nic nas nie kosztuje.

A ile kosztuje u handlarza? – spytałem, słuchając pilnie, trochę speszony, że trzynastoletni dzieciak wie o tym więcej niż ja.

Niektórzy sprzedają po dolarze od skręta. Czasem można dostać skręty po siedemdziesiąt pięć centów. Ale najlepiej kupić puszkę, wiesz, taką jak puszka „Prince Albert”. W ten sposób możesz robić sam, co wychodzi po jakieś czterdzieści centów. Ale musisz uważać, jak kupujesz. Niektórzy z tych facetów oszukują. Dodają innego ziela i sprzedają. Zawsze sprawdzaj przy kupnie, bo cię oszukają.

Skończyłem palić skręta, wyciągnąłem nogi przed siebie i położyłem głowę na oparciu ławki. Gdy minął zawrót głowy, nie odczuwałem już tak bardzo chłodu wiatru. Czułem się, jakbym unosił się na niewidzialnym obłoku. Odwróciłem się tak, żeby widzieć chłopaka. Siedział z głową podpartą rękami.

Mówiłeś, że po tym człowiek się robi szczęśliwy. Dlaczego się nie śmiejesz?

Człowieku, z czego mam się śmiać? – odpowiedział. – Mój stary chleje. Tylko że to nie jest naprawdę mój stary. Zaczął mieszkać z matką w tamtym roku. Nawet nie wiem, kto jest moim prawdziwym starym. A ten gość, to cały czas pierze moją mamę. W tamtym tygodniu chciałem go odciągnąć, ale wyrznął mnie w twarz butelką i wybił mi dwa zęby. Rzuciłem w niego budzikiem i trafiłem go w plecy. Wtedy mama, moja własna mama, nazwała mnie sk-synem i powiedziała, żebym się wynosił... że nie mam prawa bić jej faceta. Teraz mieszkam na ulicy i tylko czekam, kiedy będę go mógł zabić. Nie jestem z żadnym gangiem. Nie jestem z nikim. Czekam tylko, aż ten drań będzie sam, i zabiję go. Już nawet nie Kocham

matki. Z czego mam się śmiać?

Gdy mówił, ani na chwilę nie unióśł głowy.

To ten sam człowiek, co hoduje marihuanę za domem? – spytałem.

Tak. I handluje. Człowieku, tylko poczekaj, aż go dopadnę samego.

Przedziurawię go nożem na wylot.

Podniósł głowę. Jego twarz, zmęczona i napięta, przypominała bardziej twarz mały niż twarz trzynastoletniego chłopca.

A co, twój stary też chleje?

Nie. Ja mam szczęście. Nawet nie mam starego ani starej – skłamałem. – mam spokój.

Chłopak podniósł głowę.

Tak, ja już chyba też – powiedział. – po czym rozchmurzając się dodał: – No to cześć. Zobaczymy się chyba jeszcze. Uważaj na gangi. Zabiją cię, jak spotkają w nocy na ulicy.

Słuchaj, a jak jest z tymi gangami? Ile w nich jest ludzi?

Setki. Człowieku, jest ich tak dużo, że nie ma sensu ich liczyć.

Co oni robią?

Biją się. A co mają robić? Albo idą się bić z innym gangiem, albo zostają u siebie, żeby bronić się przed jakimś gangiem, co ich napadł. Kiedy nie biją się z innym gangiem, biją się z policją. Biją się czym się da. Mają noże, pałki, pistolety – prawdziwe albo takie, co sami robią – kastety, karabiny, obrzynki, bagnety, kije baseballowe, rozbite butelki, butelki z benzyną, cegły, kamienie, łańcuchy rowerowe... Człowieku, nie wymyślisz rzeczy, której nie używają do zabijania. Oni nawet ostrzą szpice swoich parasoli, wprawiają kolce do butów, a są tacy, co noszą brzytwy albo wkładają żyłki między palce. Pobędziesz tu dłużej, to zobaczysz. Dlatego nie jestem z nimi, tylko chodzę po ciemnych ulicach i przejściach między blokami i trzymam się od nich z daleka. Ale zobaczysz. Pobędziesz tu trochę, to zobaczysz.

Wstał, wolno poszedł z powrotem przez park i zniknął w mroku. Wróciłem na Fort Greene Place 54. Było już całkiem ciemno.

4. KRWAWE CHRZEST.

Kilka tygodni później wyszedłem z domu około ósmej wieczorem i poszedłem w kierunku Papa John's na rogu La-fayette. Tam spotkałem Tico, młodego Portorykańczyka, który stał oparty o ścianę domu i palił papierosa. Spotkałem go już raz czy dwa i wiedziałem, że jest to spec od noża. Tico popatrzył na mnie i powiedział:

– Hej, Nicky, poszedłbyś na „ubaw”? Chcę cię poznać z Carlosem, prezesem gangu.

Słyszałem o ubawach, ale nigdy jeszcze nie byłem na żadnym, więc chętnie przyjąłem jego zaproszenie. Tico za-prowadził mnie na boczną ulicę, gdzie weszliśmy do piwnicy jednego z domów czynszowych. Z początku prawie nic nie widziałem w słabym świetle stojącej w kącie lampy. Trochę światła lamp ulicznych wpadało przez okienka i drzwi piwnicy. Gdy wszedłem głębiej, zobaczyłem ciemne postacie przytulone do siebie i kołyszące się w takt cichej muzyki. Dziewczeta opie-rały głowy na ramionach swoich partnerów, stopy tańczących poruszały się zgodnie w rytm powolnej melodii. Jeden z chło-paków trzymał butelkę wina za plecami swojej dziewczyny. W pewnej chwili otoczył jej szyję ręką i chwając się po-ciągnął długiego łyka z butelki.

Kilku chłopaków siedziało przy stoliku grając w karty i paląc. Później zorientowałem się, że palili skręty z mari-huany. Na środku stolika stała butelka wina.

W drugim końcu pomieszczenia, daleko od lampy, dwie pary leżały na matach. Jedna para wyglądała, jakby spała przytulona mocno do siebie. Druga była zajęta intensywnymi pieszczotami. Gdy na nich patrzyłem, wstali objęci mocno ustami złączonymi w namiętnym pocałunku a potem wyszli przez boczne drzwi. Tico popatrzył na mnie i mrugnął.

Tam jest łóżko – powiedział. – Trzymamy je tam, by można się było pokochać, jak ktoś ma ochotę.

Stos brukowych tygodników z fotografiami nagich i pół-nagich kobiet leżał na podłodze u moich stóp. więc to jest „ubaw” – pomyślałem. Tico chwycił mnie za rękę i pociągnął na środek pokoju.

Hej, słuchajcie. To jest mój kumpel. Poznajcie się.

Jasnowłosa dziewczyna wyłoniła się z cienia przy drzwiach i wzięła mnie pod rękę. Miała na sobie obcisły czarny sweter, czerwoną spódnicę i była boso. Objąłem ją w talii i spytałem:

– Zatańczysz, mała?

– Jak masz na imię? – odpowiedziała pytaniem. Zanim zdążyłem odpowiedzieć, Tico się odezwał.

– On ma na imię Nicky. To mój kumpel. Piekielnie dobrze się bije. Może zechce się do nas przyłączyć.

Dziewczyna odwróciła się, stanęła przede mną i przy-łgnąwszy do mnie mocno powiedziała;

– Dobra, Nicky, jeśli tak dobrze się bijesz, zobaczymy, jak dobrze tańczysz. Sunąc po podłodze w rytm muzyki, czułem jej uda ocierające się o moje. Jej bliskość zaczęła mnie podniecać. Czułem każdy ruch jej ciepłego ciała, ściśle przylegającego do mojego. Wsunąłem jej rękę pod sweter na plecach i przycisnąłem ją mocniej do siebie.

– Mmmmmmm – usłyszałem jej mruczenie i przesunąłem rękę pod jej ramieniem. Nagle dziewczyna położyła mi ręce na piersi i odepchnęła mnie mocno.

– Przestań! Co sobie właściwie myślisz! – warknęła. – Nie pozwalaj sobie ze mną. Należę do Josego i on cię porznie na kawałki, jak mu powiem, że chciałeś mnie obmacywać.

Po wyrazie mojej twarzy zorientowała się, że się zmieszałem. Nagle uśmiechnęła się, wyciągnęła rękę i przycisnęła mnie znowu blisko do siebie. Przysunęła wargi do mojego ucha.

W końcu dopiero cośmy się poznali. Nie śpiesz się tak. Jak cię polubię, dostaniesz wszystko.

Tańczyliśmy jeszcze przez chwilę, po czym stanęliśmy i zaczęliśmy się przyglądać, jak dwóch chłopaków bawi się nożem w „mięczaka”. Jeden z nich stał przy ścianie, drugi rzucał nożem koło jego stóp. Zabawa polegała na tym, żeby rzucić jak najbliżej nogi, ale nie zranić. Jeśli stojący pod ścianą chłopak drgnie, jest „mięczakiem”.

Przyłapałem się na tym, że z niecierpliwością czekam na zranienie stojącego. Podniecała mnie myśl o krwi. Zacząłem się śmiać z mojej nadziei, że rzucającemu drgnie ręka i nóż zrani tego drugiego.

Blondynka w czarnym swetrze pociągnęła mnie za ramię.

– Chodź ze mną. Chcę cię poznać z kimś ważnym.

Poszedłem za nią do pomieszczenia obok. Siedział tam, rozwalony w fotelu, z nogami na stojącym przed nim stoliku, tykowaty Portorykańczyk. Okrakiem na kolanach siedziała mu dziewczyna i pochylała się nad nim, a on dmuchał dymem z papierosa w jej włosy i śmiał się.

– Hej! – krzyknął do nas. – Co to za maniery? Nie wiecie, że macie prosić mnie o pozwolenie, zanim wejdziecie tak jak teraz? Moglibyście przyłapać mnie na robieniu rzeczy, które nie chcę, żeby ktoś widział.

Roześmiał się, wyciągnął ręce i poklepał dziewczynę po biodrach. Popatrzawszy na mnie, spytał:

– Co to za jeden?

– To mój przyjaciel, Nicky – odpowiedziała blondynka. – Tico go przyprowadził. Tico mówił, że on się dobrze bije. Tykowaty chłopak zrzucił dziewczynę z kolan i wyciągnął do mnie rękę.

– Potrzymaj mi skórę, Nicky, Ja jestem Carlos, prezes Mau Mau.

Lekko przyłożyłem swoją rękę do jego i pociągnąłem. Nasze dłonie przesunęły się po sobie w przyjętym w gangach powitaniu. Słyszałem o Mau Mau. Nazywali się tak od krwio-żerczych afrykańskich dzikusów. Widywałem na ulicach ich czarne kurtki z podwójnym czerwonym M naszytym na plecach. Nosili modne kapelusze tyrolskie, często udekorowane zapałkami. Większość z nich nosiła laski. Na nogach mieli buty z ostrymi szpicami. Będąc w takich butach można kopnięciami zabić człowieka w kilka sekund.

Carlos kiwnął głową w kierunku jednego z kątów pomieszczenia i zobaczyłem tego chłopaka sprzed wesołego miasteczka.

To jest Izrael, wiceprezes Mau Mau. Izrael patrzył na mnie z kamienną twarzą. Jego czarne oczy przewiercały mnie na wylot i sprawiały, że zaczynałem czuć się nieswojo. Później dowiedziałem się, że prezes i wiceprezes są niemal zawsze razem. Przychodzą sobie nawzajem z pomocą w przypadku, gdy któregoś z nich ktoś zaatakuje.

Ile masz lat, Nicky? – spytał Carlos.

Szesnaście – odpowiedziałem.

Umiesz się bić?

Jasne.

Chcesz się bić z każdym, nawet z policją?

Jasne.

Słuchaj, a dziabnąłeś już kogoś?

Nie – odparłem szczerze, ale z żalem.

A ktoś cię próbował dziabnąć?

Tak – odparłem.

Tak? – powiedział Carlos wykazując zainteresowanie – A co mu zrobiłeś?

Nic. Ale zrobię. Czekam tylko, aż go dopadnę znowu i wtedy go zabiję.

Izrael włączył się do rozmowy.

– Słuchaj, człowieku, jak chcesz być w naszym gangu, musisz robić to co my.

Jesteśmy najtwardsi. Nawet policja się nas boi. Ale nie chcemy tu mięczaków.

Chcesz być z nami i nie jesteś mięczak, to w porządku. Ale jak jesteś mięczak, to cię zarżniemy.

Wiedziałem, że Izrael mówi prawdę. Słyszałem już opowieści o chłopakach zabitych przez ich własne gangi za to, że stchórzyli i uciekli zostawiając kumpla z gangu jego własnemu losowi.

Carlos odezwał się:

– Dwie rzeczy, człowieku. Jak wstąpisz do Mau Mau, to już na zawsze. Nikt nigdy nie może zrezygnować. Drugie: jak cię gliny złapią i piśniesz, dostaniemy cię. Albo cię dostaniemy, kiedy wyjdiesz z mamra, albo przedostaniemy się do mamra i tam cię dopadniemy. Ale dostaniemy cię.

Na przystojnej twarzy Izraela pojawił się ślad uśmiechu.

No i jak, mały, ciągle chcesz do nas dołączyć?

Dajcie mi trzy dni – powiedziałem. – Jak wstąpię, do gangu, to będę szedł na całego.

Dobra – powiedział Carlos. – Masz trzy dni do namysłu. Pod koniec trzeciego dnia przyjdź tutaj. Zawiadomisz mnie co zdecydowałeś.

Przez cały czas naszej rozmowy Carlos nie zmienił swojej pozycji i nie zdjął nóg ze stolika. Teraz przyciągnął do siebie dziewczynę i wsunawszy jej rękę pod spódnicę objął ją w biodrach. Gdy odwróciłem się, żeby wyjść, powiedział:

– Acha, Nicky, zapomniałem ci powiedzieć. Jak powiesz komuś, komukolwiek, gdzie jesteśmy, zabiję cię, zanim się zdążysz obejrzeć. Jasne?

– Jasne – odpowiedziałem. Wiedziałem, że nie żartuje. Gdy wyszliśmy na ulicę, spytałem: Jak myślisz, Tico, powinienem wstąpić do Mau Mau? Tico wzruszył ramionami.

– To jest niezły układ, stary. Jak wstąpisz, opiekują się tobą. Jak nie wstąpisz, mogą cię zabić za to, żeś nie wstąpił. Właściwie to już nie masz wielkiego wyboru. Poza tym i tak musisz wstąpić do któregoś gangu, żeby cię tu gdzieś nie zabili.

– A Carlos? – spytałem. – Co to za facet?

– On jest w porządku. Nie mówi dużo, ale kiedy powie, wszyscy słuchają. On tu rządzi i wszyscy o tym wiedzą.

– Czy to prawda, że prezes ma prawo wybierać sobie dziewczyny?

– Prawda – powiedział Tico. – Mamy około siedem-dziesięciu pięciu dziewczyn w gangu i prezes sobie wybiera. Jak chce, to codziennie inną. Bardzo im się to podoba. Wiesz, to duża rzecz być z prezesem. One się o to biją. Ale to nie wszystko. Gang dba o prezesa. On pierwszy wybiera dla siebie dołę z tego, co ukradniemy. Zwykle wystarczy mu to na zapłacenie mieszkania, na jedzenie i na ubranie. To dość dobra rzecz być prezesem.

– Słuchaj, Tico, jak jesteś taki dobry w nożu, dlaczego nie jesteś prezesem?

– Człowieku, to nie dla mnie. Prezes nie musi dużo walczyć. On musi stać z tyłu i planować różne rzeczy. A ja lubię się bić. Nie chcę być prezesem.

„To tak jak ja – pomyślałem. – Ja też lubię się bić”.

Tico wrócił do Papa John's, a ja skręciłem w kierunku Fort Greene Place 54.

Czułem podniecenie na myśl o tym, co mnie czeka: „ubawy”, dziewczyny, ale przede wszystkim walki. Nie musiałbym już więcej walczyć samotnie. Mógłbym ranić do woli, a nikt by mi nie oddał. Serce zaczęło mi bić szybciej. Może będę miał szansę naprawdę kogoś pchnąć nożem. Nie-mał widziałem krew ściekającą po dłoniach i kapiącą na ulicę. Po drodze zacząłem wymachiwać

rękami udając, że uderzam nożem w wyimaginowane postacie w ciemności.

Powiedziałem Carlosowi, że dam mu znać po trzech dniach, ale już się zdecydowałem. Pragnąłem, by ktoś dał mi do ręki nóż i pistolet.

Na trzeci dzień wieczorem poszedłem znowu na ubaw. Carlos przywitał mnie w drzwiach.

– Cześć, Nicky. Dobrze trafiłeś. Mamy tu właśnie chłopaka, który chce wstąpić do Mau Mau. Chcesz widzieć inicjację?

Nie miałem pojęcia, co to jest inicjacja, ale chciałem po-patrzeć. Carlos ciągnął dalej:

Ale może przyszedłeś, żeby nam powiedzieć, że nie chcesz się do nas przyłączyć, co?

– Nie – odparłem – przyszedłem powiedzieć, że jestem gotów się przyłączyć. Chcę walczyć. Myślę, że jestem tak samo twardy jak każdy i chyba lepiej się biję niż większość chłopa-ków.

– Dobra – powiedział Carlos. – Popatrzysz, a potem przyjdzie twoja kolej. Mamy dwa sposoby odkrycia, czy jesteś mięczak. Albo stoisz spokojnie, kiedy pięciu naszych najsilniejszych chłopaków cię bije, albo stoisz przy ścianie czekając na nóż. Jeśli nie wytrzymasz którejś z tych prób, nie pozwolimy ci wstąpić do gangu. Ten mały mówi, że jest twardy. Zoba-czymy, czy jest naprawdę. A potem zobaczymy, jaki ty jesteś twardy.

Popatrzyłem na drugi koniec pomieszczenia i zobaczyłem tego drugiego chłopaka. Miał około trzynastu lat, pryszczatą twarz i opadającą na czoło grzywę czarnych włosów. Był mały i chudy, ręce trzymał nieruchomo zwieszane po bokach. Miał na sobie białą koszulę z długimi rękawami, poplamioną z przodu i byle jak powtykaną do spodni. Zdawało mi się, że widziałem go już kiedyś w szkole, ale nie byłem pewien, bo był młodszy ode mnie.

Około czterdzieściorga chłopców i dziewcząt niecierpliwie oczekiwało na to przedstawienie. Carlos rozpoczął ceremonię. Kazał wszystkim rozstąpić się na boki, a chłopaka ustawił plecami do ściany. Stanął przed nim z otwartym nożem w ręce. Srebrzyste ostrze połyskiwało w słabym świetle, gdy zaczął mówić: Teraz się obróć i odliczę dwadzieścia kroków od tamtej ściany. Ty stój tu, gdzie jesteś. Powiedziałeś, że jesteś twardy. No to sprawdzimy, czy bardzo. Kiedy doliczę do dwudziestu, odwrócę się i rzucę nożem. Jak się ruszysz, jesteś mięczak. Jak się nie ruszysz nawet, kiedy nóż cię trafi, jesteś twardy gość i możesz wstąpić do Mau Mau. Jasne?

Małec kiwnął głową.

– I jeszcze jedna rzecz – powiedział Carlos trzymając nóż przed oczyma chłopca – jeśli stchórzysz, kiedy będę odli-czał kroki, możesz krzyknąć. Ale żebyś więcej nie pokazywał nosa w tych stronach. Jak cię tu zobaczymy, to oberżniemy ci te wielkie uszy i każemy ci zjeść, a potem wydtubiemy ci pępek otwieraczem do piwa i zostawimy cię, żebyś się wy-krwawił na śmierć.

Dziewczęta i chłopcy zaczęli śmiać się i klaskać.

– No, zacznaj, stary! – wołali do Carlosa.

Carlos odwrócił się plecami do chłopca i powoli ruszył przez piwnicę. Swoją długą połyskującą nóż trzymał na wyso-kości twarzy, w zgiętej w łokciu ręce.

– Raz... dwa... trzy...

Członkowie gangu zaczęli gwizdać i krzyczeć:

– Zabij go, Carlos! Wbij mu nóż w oko! Upuść mu krwi!

Chłopak przykleił się do ściany jak mysz zapędzona w róg przez kota. Czynił rozpaczliwe wysiłki, żeby wytrwać. Wy-prężył ręce wzdłuż ciała, zacisnął pięści tak, że aż mu kostki zbiełały. Cała krew odpłynęła mu z twarzy i oczy miał okrągłe z przerażenia.

– Jedenaście... dwanaście... trzynaście... Carlos głośno liczył kroki.

Napięcie rosło. Chłopcy i dziewczęta coraz głośniejszą wrzawą domagali się krwi.

– Dziewiętnaście... dwadzieścia.

Carlos powoli odwrócił się i uniósł dłoń z nożem na wy-sokość ucha.

Krwiożercze okrzyki członków gangu zlały się w jeden dziki wrzask. I w chwili, gdy Carlos z całej siły cisnął nożem, chłopiec skulił się zasłaniając głowę rękami i krzycząc:

– Nie! Nie!

Nóż uderzył w ścianę o kilka cali od miejsca, w którym przed chwilą znajdowała się głowa chłopca.

– Mięczak!... Mięczak!... Mięczak! – zawył tłum. Carlos był zły. Usta mu się zacisnęły, oczy zwięziły.

– Złapcie go – syknął.

Dwaj członkowie gangu podeszli z boków i chwyciwszy za ręce kulącego się ze strachu chłopca, jednym szarpnięciem wyprostowali go i oparli znowu o ścianę. Carlos podszedł i stanął przed trzęsącą się postacią.

– Mięczak! – warknął. – Mięczak! Jak tylko cię zoba-czyłem, wiedziałem że jesteś tchórz. Powinienem cię zabić.

Piwnica znowu wypełniła się okrzykami:

Zabij go! Zabij paskudnego tchórze!

Wiesz, co robimy z takimi strachliwymi pisklakami? Chłopiec popatrzył na Carlosa poruszył wargami, ale z gardła nie wydobył mu się żaden dźwięk.

Podcinamy im skrzydła, żeby już nie próbowały więcej podfruć. – wyszarpnął nóż ze ściany – Rozciągnijcie go! – rozkazał.

Zanim chłopiec zdążył się poruszyć, dwaj stojący po jego bokach członkowie gangu złapali go za ręce i rozkrzyżowali na ścianie. Błyskawicznym ruchem Carlos uderzył od dołu i wbił nóż prawie po rękojęść w pachę dziecka. Chłopiec szarpnął się i wrzasnął z bólu. Chlusnęła krew i na białej koszuli chłopca zaczęła rozszerzać się purpurowa plama.

Carlos wyrwał nóż z ciała chłopca i przerzucił do lewej ręki.

– Widzisz? – powiedział, z rozmachem wbijając nóż w drugą pachę dziecka. – Lewą też potrafię.

Obaj trzymający puścili teraz chłopca, który upadł na podłogę. Skrzyżował ręce na piersi i trzymając się za rany pod pachami wył z bólu, wił się na podłodze. Niemal cała jego koszula była zaplamiona jaskrawoczerwoną krwią. – Zabierzcie go stąd – warknął Carlos.

Dwaj jego pomocnicy podeszli i gwałtownie postawili chłopca na nogi. Chłopiec odrzucił głowę i krzyknął, gdy szarpnęli go za ręce. Carlos brutalnie zatkał mu usta dłońią ręką i krzyk ucichł. Okrągłe z przerażenia oczy spoglądały znad dłoni Carlosa.

– Zjeżdżaj do domu, mięczaku. Jak jeszcze raz wrzaśniesz albo jak piśniesz komuś choć słowo o nas, utnę ci język. Jasne?

Mówiąc to podniósł nóż, z którego ostrza krew zaczęła ściekać na wykładaną masą perłową rękojęść.

– Jasne? – powtórzył. Dzieciak kiwnął głową.

Chłopcy wywlekli go z piwnicy na ulicę. Odprowadzały go okrzyki:

– Zjeżdżaj do domu, mięczaku! Carlos odwrócił się.

– Kto następny? – powiedział, patrząc prosto na mnie, wszyscy ucichli.

I nagle uświadomiłem sobie, że się nie boję, a nawet, że oglądanie cierpień chłopca i ciosów nożem zadanych przez Carlosa sprawia mi przyjemność. Widok krwi wzbudził we mnie gwałtowne podniecenie. Zazdrościłem Carlosowi. Ale teraz była moja kolej.

Pamiętałem oświadczenie Carlosa, że mogę wybrać rodzaj inicjacji. Zdrowy rozsądek odpowiedział mi, że Carlos jest rozwścieczony. Kiedy pozwolę mu rzucić w siebie nożem, będzie chciał specjalnie mnie zranić. Rozsądniej było wybrać drugi sposób.

– Mamy drugiego mięczaka? – spytał szyderczo Carlos.

Wyszedłem na środek piwnicy i rozejrzałem się. Jedna z dziewcząt, wysoka i smukła, w obcisłych czarnych spodniach, zawołała:

– Co ci to, chłopaczku? Boisz się? Zostało nam tu trochę krwi, jak ty nie masz. Po jej słowach piwnica zatrzęsała się od śmiechu, bo rzeczywiście podłoga koło ściany, przy której stał tamten chłopiec, była pokryta lepka kałużą krwi.

– Nie ja. Ja się nie boję – powiedziałem. – Wypróbuj-cie mnie. Gdzie są te twoje chłopaki, co mnie chcą prac?

Nadrabiałem miną, ale głęboko w środku zacząłem od-czuwać lęk. Uświadomiłem sobie, że oni wcale nie będą uda-wali. Ale wolę raczej umrzeć, niż być mięczakiem. Więc powiedziałem:

– Jestem gotów.

Carlos warknął pięć imion.

– Johnny!

Krępy chłopak wystąpił z grupy i stanął przede mną. Był dwa razy bardziej rozrośnięty niż ja. Czoło miał głęboko pobrużdżone i szyję tak krótką, że głowa wyrastała mu niemal wprost z ramion. Johnny wyszedł na środek

pomieszczenia głośno trzaskając kostkami palców. Próbowałem sobie wyobrazić moje pięćdziesiąt kilka kilogramów przeciwko jego dziewięćdziesięciu. Johnny stał i patrzył na mnie bez wyrazu, jak mała. Czekał na rozkaz do ataku.

– Mattie!

Wystąpił drugi chłopak. Ten był prawie mojej wagi, ale miał długie ręce. O wiele dłuższe niż ja. Podszedł stąpając lekko na ugiętych nogach i zadając rękami błyskawiczne ciosy wyimaginowanemu przeciwnikowi. Głowę trzymał nisko pochyloną, z brodą prawie dotykającą piersi, i spoglądał spod brwi przed siebie. Krążył wokół i rozgrzewał się szybką walką z cieniem, sapiąc i parszcząc przez nos w czasie tych podskoków i błyskawicznych ciosów w powietrze. Jego popisowi towarzyszyły gwizdy i westchnienia dziewczyn.

Jose

Trzeci chłopak dołączył do dwóch poprzednich. Lewy policzek przecinała mu głęboka blizna, sięgająca od oka do czubka brody. Zdjął koszulę i kolejno napinał wszystkie mięśnie. Zbudowany był jak ciężarowiec. Następnie zaczął krążyć dookoła mnie, przyglądając mi się ze wszystkich stron.

Sowa!

Gang wydał pomruk. Bez wątpienia Sowa była faworytem. Później dowiedziałem się, że nazwali go „Sowa”, bo widział nocą równie dobrze jak w dzień. W akcjach zajmował miejsce w pierwszej linii, żeby spozrzeć nadciągających wrogów. Był niski i gruby. Miał wielkie oczy i zakrzywiony nos, niewątpliwie wielokrotnie łamany. Brakowało mu części ucha. Stracił ją gdy w czasie walki na dziedzińcu szkolnym został uderzony deską ze sterzczącym długim gwoździem, który zaczepił o ucho i oddarł go ponad połowę. Nie widziałem jeszcze tak paskudnej gęby.

– Paco!

Nie zdążyłem mu się przyjrzeć. Usłyszałem tylko jego głos z tyłu:

– Hej, Nicky! – i odwróciłem się, żeby zobaczyć kto mnie woła, gdy uderzył mnie pięścią w plecy tuż poniżej pasa. Ból był okropny. Poczułem się, jakby mi zmiażdżył nerki. Cios wygiął mnie do tyłu i złapałem się za uderzone miejsce. W tej samej chwili inny z chłopaków uderzył mnie w brzuch tak, że straciłem oddech. Poczułem, że za chwilę zemdleję z bólu. Ktoś uderzył mnie w twarz i usłyszałem, jak pod tym ciosem chrupnęła mi kostka w nosie.

Nie miałem okazji oddać. Poczułem, że się wywracam. Ktoś chwycił mnie za włosy. Moje ciało upadło na podłogę, ale głowa była uniesiona za włosy. Ktoś ubłoconym butem kopnął mnie w twarz i poczułem ziarenka piasku wbijające mi się w wargi i policzek. Czułem kopniaki na całym ciele, a ten kto trzymał mnie za włosy, walił pięścią w moją głowę. Wtedy światło zgasło i straciłem przytomność.

W jakiś czas później poczułem, że ktoś szarpie mnie i klepie po twarzy.

Usłyszałem głos, mówiący:

– Hej, zbudź się.

Spróbowałem spojrzeć na mówiącego, ale ostro widziałem tylko sufit.

Przesunąłem rękami po twarzy i poczułem krew. Byłem nią całkowicie zlany.

Popatrzyłem jeszcze raz w górę i zobaczyłem twarz tego, którego nazywali Sową.

Krew sprawiła, że wpadłem w szal. Z całej siły uderzyłem go w twarz.

Nagle wróciła mi cała energia. Leżąc na plecach w tej lepkiej kałuży krwi, zacząłem rzucać się i kręcić w koło, wrzeszcząc, przeklinając, waląc pięściami i kopiąc każdego, kogo zobaczyłem.

Ktoś złapał mnie za stopy i przygwoździł je do podłogi. Gdy moja furia minęła, Izrael pochylił się nad mną ze śmiechem.

– Jesteś swój gość, Nicky. Przydasz się nam, chłopie. Nie jesteś mięczakiem, to jasne. Masz. wcisnął mi coś do ręki. Był to rewolwer kalibru 32.

– Jesteś Mau Mau, Nicky. Mau Mau.

5. WALKI NA ULICACH.

Od samego początku staliśmy się z Izraelem nieomal nierozłączni. Po trzech dniach Izrael przyszedł pod mój dom i powiedział, że będzie „łomotanie” z Biskupami.

„Wreszcie będę miał okazję użyć swojego rewolweru – pomyślałem – i bić się”.

Gdy Izrael przedstawiał plan akcji, czułem, jak włosy jeżą mi się nad karkiem.

Gang Mau Mau miał zebrać się w Washington Park, koło De Kalb. Mieliśmy tam być przed 21.00. Nasz radca wojenny spotkał się już z radcą wojennym Biskupów i ustalili miejsce i czas walki; punktualnie dziesiąta wieczór, na placu za szkołą numer 67

– Weź swój rewolwer – powiedział Izrael. – Wszystkie chłopaki biorą broń. Niektórzy zrobili sobie sami pistolety, a Hector ma strzelbę z upiżowaną lufą. Damy szkołę tym Biskupom. Jak trzeba będzie, to ich pozabijamy. A jak przegramy, to walcząc do końca. Jesteśmy Mau Mau. Ci afrykańscy Mau Mau piją krew, człowieku, a my jesteśmy całkiem jak oni.

Gdy przyszedłem do parku o wpół do dziewiątej, gang już się zbierał. Broń pochowali na drzewach i w wysokiej trawie, na wypadek, gdyby w pobliżu przechodzili policjanci. Ale żaden policjant się nie pokazał. Izrael i Carlos wydawali rozkazy. Zanim wybiła dziesiąta, ponad 100 chłopaków zebrało się w parku. Niektórzy mieli pistolety. Większość miała noże. Kilku przyszło z kijami baseballowymi, maczugami nabijanymi gwoździami albo z własnej roboty pałkami. Inni mieli łańcuchy rowerowe, które, umiejętnie użyte, stanowiły niebezpieczną broń. Carlos miał długi na dwie stopy bagnet, a Hector swoją strzelbę z obciętą lufą. Część chłopaków miała iść o dwie ulice dalej i przekraść się na tyły terenu szkolnego przy Park Avenue, żeby odciąć odwrót Biskupom. Mieli cze-kać, aż rozpocznie się walka, a potem uderzyć od tyłu. Reszta z nas miała nadejść od strony St. Edward Street i próbować zmusić Biskupów do odwrotu w kierunku zaczajonej z tyłu grupy. Ruszyliśmy cicho, wyciągając po drodze broń z ukrycia.

Tico szedł koło mnie i uśmiechał się.

– No jak, Nicky? Boisz się?

– Człowieku, nie! To jest to, na co czekałem – powiedziałem odchylając kurtkę, żeby mógł zobaczyć mój rewolwer.

– Ile masz w nim kul? – spytał Tico.

– Jest pełny. Cała piątka.

Tico gwizdnął cicho i powiedział:

– No, no, całkiem nieźle. Powinieneś dostać któregoś z tych czarnych łobuzów, to jasne. A ja? Ja przyzwyczajony jestem do swojego noża.

Rozbiliśmy się na małe grupki, żeby przejść koło osiedlo-wego komisariatu na rogu ulic Auburn i St. Edward. Uformo-waliśmy się ponownie przed szkołą i Carlos dał sygnał do ataku.

Okrążyliśmy biegiem budynek szkoły i wpadliśmy na boi-sko. Biskupi już na nas czekali.

– Hurrraaa! Bij! Zabij! – krzyczeliśmy, pokonując bie-giem odległość dzielącą nas od Biskupów.

Biegłem na przedzie wyciągając zza pasa rewolwer. Izrael skręcił w bok, wywijając swoim kijem baseballowym. Dokoła mnie kotłowały się chłopaki, wrzeszcząc, przeklinając i waląc na odlew. Na boisku musiało być ze dwustu chłopaków, ale było ciemno i trudno było odróżnić członków jednego gangu od drugiego. Zobaczyłem, jak na Hectora, biegnącego przez boisko do koszykówki, wpadł ktoś z pokrywą od pojemnika na śmieci. Hector wyrócił się i w tej samej chwili jego strzelba wypaliła z głośnym hukiem. Czarny chłopak koło nie-go upadł na twarz i z rany na głowie połała mu się krew. Podbiegłem i kopnąłem go. Wrażenie było takie, jakbym kop-nął worek ziarna.

Nagle ktoś pchnął mnie od tyłu tak silnie, że upadłem na twardej asfalt boiska do koszykówki. wyciągnąłem ręce, by zamortyzować upadek, i poczułem, że zdzieram sobie skórę z dłoni. Obejrzałem się, żeby zobaczyć, kto mnie popchnął, i zdążyłem uchylić się w chwili, gdy kij baseballowy uderzał tuż koło mojej głowy tak silnie, że usłyszałem, jak pęka. Gdyby cios trafił w moją głowę, zostałemby zabity.

W tym momencie reszta naszego gangu zaatakowała z tyłu i Mau Mau wydali potężny okrzyk:

Bij! Zabij!

Podniosłem się na nogi i zobaczyłem, że Biskupi zaczęli w popłochu biec w kierunku przejść na St. Edward. Izrael z tyłu za mną krzyczał:

– Strzelaj do tego, Nicky, strzelaj!

Pokazywał na małego chłopaka, który próbował uciekać, ale był ranny i trochę biegł, a trochę szedł, kulejąc, za ucie-kającymi Biskupami. wycelowałem w chwiejącą się postać i pociągnąłem za spust. Pistolet wypalił, ale chłopak

uciekał dalej. Chwyciłem pistolet oboma rękami i znowu pociągnąłem za spust.

– Dostał! Człowieku, dostał!

Chłopiec, trafiony w biodro, wyrócił się. Czołgał się jeszcze, gdy Izrael złapał mnie za rękę i krzyknął:

– Zwiewajmy, stary! Gliny idą!

Słychać było gwizdki policyjne i krzyki przed szkołą, gdzie gliniarze zaczęli otaczać uciekających Biskupów. Pobie-gliśmy w przeciwnym kierunku, rozpraszając się na tyłach terenu szkolnego. Gdy przełaziłem przez ogrodzenie, spojrze-łem za siebie. W mroku widać było trzech chłopaków leżących nieruchomo na ziemi. Kilku innych siedziało i trzymało się za zranione miejsca. Cała bitwa nie zajęła więcej niż dziesięć minut.

Minęliśmy sześć czy siedem przecznic, dopóki brak tchu nie zmusił nas do zatrzymania się. Carlos i dwóch innych chło-paków dołączyli do nas i wskoczyli do rowu za stacją napraw samochodów.

Izrael nie mógł złapać oddechu, ale śmiał się tak bardzo, że się zakrztusił.

Widzieliście tego wariata, Nicky'ego? – wydusił z siebie pomiędzy jednym atakiem śmiechu a drugim.

Ludzie, on chyba myślał, że to jest film kowbojski i strzelał w powietrze.

Inni, łapiąc oddech, też się śmiali. Dołączyłem do nich. Leżeliśmy w tym rowie na plecach i zaśmiewaliśmy się do rozpuku. Izrael, łapiąc oddech, wycelował palcem wskazującym w niebo i wykrztusił:

– Bach! Bach! Bach! – i znowu zaniósł się śmiechem.

Reszta z nas trzymała się za brzuchy, tarzaliśmy się w ro-wie, to chichocząc, to śmiejąc się na całe gardło.

Czułem się doskonale. widziałem, jak polała się krew. Strzeliłem do kogoś, może go nawet zabiłem. I zwialiśmy. Nig-dy dotąd nie miałem takiego poczucia więzi z kimś, jak tu, w tym rowie, z tymi chłopakami. Było to prawie tak, jak byś-my byli rodziną. Po raz pierwszy w życiu czułem, że komuś na mnie zależy. Izrael wyciągnął rękę i położył ją na moim ramieniu:

– Jesteś w porządku, Nicky... Długo szukałem kogoś ta-kiego jak ty. Jesteśmy podobni do siebie: obaj jesteśmy kop-nięci.

Znowu wybucheliśmy śmiechem, ale czułem, że o wiele lepiej być kopniętym, na którym komuś zależy, niż być nor-malnym, ale zawsze samotnym.

– Słuchajcie, może byśmy się czegoś napili? – powie-dział Carlos, ciągle jeszcze podekscytowany wypadkami tego wieczoru. – Kto ma forszę?

Wszyscy byliśmy spłukani.

– Zorganizuję trochę forsy – odezwałem się.

– Jak? Obrobisz kogoś? – spytał Izrael.

– Zgadłeś, stary. Pójdiesz ze mną? Izrael stuknął mnie pięścią w ramię:

– Jesteś dobry, Nicky. Człowieku, ty zupełnie nie masz serca, nic nie czujesz. Chcesz się tylko bić. Chodźmy, stary. Idziemy z tobą.

Spojrzałem na Carlosa, myśląc, że on poprowadzi. Ale Carlos stał i czekał, gotów pójść za mną. To była dla mnie pierwsza wskazówka, że chłopaki pójdą zawsze za tym, który jest najokrutniejszy, najbardziej żądny krwi, najodważniej-szy.

Wstaliśmy z rowu i przebiegliśmy przez ulicę w mrok jednego z zaułków. Stąd widać było światło w jadłodajni na rogu czynnej całą noc. Wszedłem tam pierwszy. W jadłodajni były trzy osoby. Dwie za kontuarem, a trze-cia – starszy mężczyzna, zszedł właśnie ze stołka przy barze i płacił za swój posiłek. Podeszedłem do niego i pchnąłem go na kontuar. Odwrócił się zaskoczony i przestraszony. Gdy otwarłem nóż i lekko przycisnąłem do jego brzucha, wargi za-częły mu drżeć.

– No, dalej, stary! Dawaj to! – powiedziałem wskazując głową banknoty, które trzymał w ręce.

Mężczyzna za kontuarem ruszył w kierunku automatu telefonicznego wiszącego na ścianie. Izrael otworzył nóż, złapał go za fartuch pod szyją, przyciągnął silnie do siebie nad ladą i powiedział:

– Ej ty, chcesz, żebym cię zabił?

Usłyszałem, jak kobieta gwałtownie nabrała powietrza i chwyciła się za usta, by stłumić krzyk. Izrael pchnął barmana na tacę z ciastkami i zdjął słuchawkę. Chcesz zadzwonić po gliniarzy, grubasie? – powiedział uśmiechając się szyderczo. No to łap.

Zerwał przewód słuchawki i rzucił nią w barmana.

– Dzwoni se po nich.

Barman złapał słuchawkę i stał oszołomiony.

– Pośpiesz się stary. Nie mogę czekać całą noc – warknąłem do stojącego przede mną mężczyzny. Uniósł drżącą rękę a ja wyszarpnąłem mu banknoty.

— To wszystko? – spytałem.

Próbował odpowiedzieć, ale nie udało mu się wydobyć głosu. Oczy podeszły mu w górę, ślina pociekła z kącika ust i zaczął śmiesznie postękiwać.

– Zjeżdżajmy – powiedział jeden z chłopaków.

Carlos uderzył w klawisz kasy, zgarnął wszystkie banknoty i cofnęliśmy się do wyjścia. Stary upadł na kolana, chwycił się za pierś i jakoś tak cmokał śmiesznie.

– Hej, czekajcie! – zawołał Izrael i złapał pełną garść drobnych z kasy.

Monety potoczyły się po podłodze. Izrael zachichotał i powiedział:

– Nigdy nie wychodźcie z restauracji nie zostawiając napiwku.

Roześmialiśmy się wszyscy. Kobieta i mężczyzna stali przerażeni u drugiego końca kontuaru, a stary klęczał na podłodze, zgięty w pasie.

Chwyciłem ciężką cukiernicę i z całej siły rzuciłem nią w wielkie okno od ulicy.

Człowieku! Zwariowałeś? – zawołał Carlos, gdy rzuciliśmy się do ucieczki.

Ściągniesz nam na kark wszystkich gliniarzy z całego Brooklynu. Zwiemy stąd!

Stary upadł twarzą na podłogę, a my popędziliśmy przez ciemne ulice do domu, śmiejąc się i pokrzykując.

Dwa miesiące później Carlosa złapała policja i dostał 6 miesięcy. Tej samej nocy cały gang zebrał się w auli szkoły numer 67. Nikomu nie wolno było przebywać na terenie szkoły po lekcjach, ale uzgodniliśmy to z Firpo, wiceprezesem Kapelanów, którego stary był dozorcą w tej szkole i pozwalał nam przeprowadzać nocami zebrania w auli, bo bał się o swojego syna. Tej nocy wybraliśmy Izraela na prezesa, a ja zostałem jednogłośnie wybrany wiceprezesem. Po zebraniu zrobiliśmy ubaw w suterenie szkoły. Była kupa dziewczyn z gangu i jeden z chłopaków przedstawił mi; swojej siostrze, Lydii, która mieszkała naprzeciw szkoły. Bawiliśmy się długo. Paliliśmy „trawę”, pili tanie wino, niektóre pary szły na ciemną klatkę schodową popieścić się, inne tańczyły przy gramofonie.

Pociągnąłem Lydię za rękę.

– Chodźmy stąd.

Gdy wychodziliśmy ze szkoły, Lydia przytuliła się do mnie.

– Jestem twoja na zawsze, Nicky. Kiedy tylko będziesz mnie chciał, będę twoja.

Poszliśmy do Washington Park, ale nie było tam żadnego odosobnionego miejsca.

W końcu podsadziłem Lydię na ogrodzenie i upadła śmiejąc się po drugiej stronie. Poszedłem w jej ślady i leżeliśmy objęci wśród wysokiej trawy.

Pieściłem Lydię, a ona chichotała. Nagle odniosłem wrażenie, że ktoś nas obserwuje. Podniosłem wzrok na stojący po drugiej stronie ulicy budynek i zobaczyłem twarze kilkunastu dziewczyn przyglądających się nam z okien domu pielęgniarek. Poczujęm się tak, jakbyśmy się kochali na scenie w operze.

Zacząłem się podnosić i Lydia spytała:

– Co się stało?

– Popatrz w górę. Całe to przeklęte miasto patrzy na nas – szepnąłem.

– No to co? – zachichotała Lydia i pociągnęła mnie w dół.

Później wiele razy przychodziliśmy do parku, zupełnie nie zwracając uwagi na zaciekawione twarze w oknach ani na inne pary, mogące leżeć w trawie niedaleko nas.

Następne cztery miesiące zeszły mi na walkach, rabunkach i innych zajęciach w gangu. Cztery razy brała mnie policja, ale nigdy nie potrafili mi niczego udowodnić i wypuszczali mnie z ostrzeżeniem.

Członkowie gangu lubili mnie i szanowali. Nie bałem się niczego i równie chętnie biłem się w biały dzień, jak i pod osłoną nocy.

Pewnego dnia jeden z Mau Mau powiedział mi, że Lydia wydała mnie jednemu z Apaczów. Ogarnęła mnie wściekłość i oznajmiłem, że ją zabiję. Poszedłem do swojego mieszkania po rewolwer. Jeden z chłopaków powiedział o tym bratu Lydii, który pobiegł ją ostrzec. Kiedy przyszedłem do jej mieszkania, zastałem tam Luisa, jej starszego brata. Luis powiedział mi, że poprzedniego wieczora ten Apacz dopadł Lydię na ulicy i bił ją, chcąc się dowiedzieć, gdzie mieszkam, żeby przyjść do mnie i zabić mnie.

Wyszedłem z mieszkania Lydii i poszedłem do Izraela, poszliśmy razem szukać

tego Apacza, o którym mówił Luis. Znaleźliśmy go na rogu Lafayette i Fort Greene, przed Harry's Meat House. Szóstka Mau Mau otoczyła nas ciasnym kręgiem. Zwaliłem tego chłopaka na ziemię i walnąłem go żelazną rurką. On zaczął błagać, żebym go nie zabijał. Chłopaki z mojego gangu zaczęły się śmiać, a ja zacząłem go raz po razie okładać rurką, aż był cały zakrwawiony. Przechodnie zaczęli uciekać. W końcu nie mógł już ruszać rękami, żeby się zasłaniać od uderzeń. Wtedy zacząłem walić go z całej siły po ramionach i nie przestałem, dopóki nie stracił przytomności leżąc w kałuży krwi.

– Ty parszywy draniu! To cię nauczy bić moją dziewczynę – powiedziałem i zwaliśmy.

Spieszyłem się do Lydii, żeby jej powiedzieć, co zrobiłem w obronie jej honoru, chociaż jeszcze godzinę temu byłem go-tów ją zabić.

W miarę upływu lata walki na ulicach nasiliły się. Upał w mieszkaniach był nie do wytrzymania i zostawialiśmy na ulicach większą część nocy. Rzadko która noc mijiała bez jakiejś akcji gangu.

Żaden z nas nie miał samochodu. Jeśli chcieliśmy się gdzieś udać, jechaliśmy metrem albo kradliśmy samochód. Nie umiałem prowadzić, ale pewnej nocy przyszedł do mnie Mannie Durango i powiedział:

Chodź, rąbniemy auto i przejedziemy się.

Masz coś upatrzonego? – spytałem.

Tak, stary. Zaraz za tym blokiem. Jest bombowy, a jakiś idiota zostawił w środku kluczyki.

Poszedłem z nim i rzeczywiście stał tam przed domem, ten wóz. Mannie miał rację. Wóz był bombowy: Chevrolet ze składanym dachem. wskoczyliśmy do środka i Mannie usiadł za kierownicą. Rozsiadłem się w fotelu i paliłem papierosa, strząsając popiół nad drzwiczkami jak jaki bogacz. Mannie kręcił kierownicą tam i z powrotem i naśladował pisk opon i ryk silnika:

– Rrrrrrruummmmm! Rrruuuuuummm! Zacząłem się śmiać.

– Hej, Mannie, czy ty na pewno potrafisz poprowadzić ten wóz?

– Jasne, stary. Tylko się przypatrz.

Przekręcił kluczyk tkwiący w stacyjce i silnik zawarczał. Włączył wsteczny bieg i nadepnął na pedał gazu. Samochód wyrznął w stojący za nim wóz dostawczy. Usłyszeliśmy, jak sypie się szkło.

– Człowieku! – zawołałem ze śmiechem. – Jesteś na-prawdę dobrym kierowcą. Świetnie sobie z tym radzisz. Zo-baczymy, jak ci pójdzie do przodu.

Mannie szarpnął dźwignię biegów do przodu, a ja zapar-łem się w fotelu, bo wóz skoczył do przodu prosto na stojący przed nami samochód. Znowu usłyszeliśmy huk i sypiące się szkło.

Śmialiśmy się tak bardzo, że nie zauważyliśmy mężczyz-ny, który z krzykiem wybiegł z bramy stojącego obok do-mu.

– Wynoście się do diabła z mojego auta, parszywe portorykańskie gnojki! – wrzasnął, próbując mnie wyciągnąć z samochodu.

Mannie wrzucił wsteczny bieg i auto pociągnęło mężczyz-nę do tyłu. Porwałem leżącą na przednim siedzeniu butelkę od coca-coli i tak wyrznąłem go w rękę, którą rozpaczliwie chwytał za krawędź drzwiczek, że zawył z bólu. Mannie wrzucił je-dynkę i pomknęliśmy ulicą. Ciągle siedziałem rozparty w fote-lu i śmiałem się. Wyrzuciłem butelkę na chodnik. Słychać by-ło, jak rozbiła się za nami z brzękiem.

Mannie nie umiał prowadzić. Z piskiem opon skręcił za róg i wjechał pod prąd w Park Avenue. Ledwo uniknęliśmy zderzenia z dwoma samochodami, a trzeci z rykiem klaksonu wjechał na chodnik, uciekając przed czołowym zderzeniem. Obaj śmialiśmy się i wrzeszczeli na całe gardło. Mannie przeje-chał przez stację obsługi i skręcił w boczną ulicę.

– Chodź, spalimy tego grata – powiedział.

– Nie, człowieku, to jest piękny samochód. Zostawmy go sobie. Chodź, pokażemy go dziewczynom.

Ale Mannie nie umiał zawrócić i w końcu wjechał z rozpędem w tył stojącej tam ciężarówce. Wskoczyliśmy z auta na chodnik i uciekliśmy, zostawiając pokiereszowany samochód wbity pod skrzynię ciężarówce.

Lubiłem Manniego, bo był taki jak ja. Nawet się wtedy nie domyślałem, jak okropny los go czeka.

Każdy dzień wypełniała nam gorączkowa działalność prze-stępcza. Noce były jeszcze gorsze. Pewnej nocy Tony i czte-rech innych chłopaków złapali

wracając do domu kobietę i zaciągnęli ją do parku, gdzie cała piątka przeleciała ją po dwa razy. Tony chciał ją udusić swoim pasem. Kobieta rozpoznała go potem i posadzili go do więzienia na dwanaście lat. Dwa tygodnie później we dwunastu złapaliśmy chłopaka, włocha, który szedł przez rejon Mau Mau. Otoczyliśmy go i zwalili na ziemię. Stałem nad nim i zacząłem go straszyć nożem: zamierzałem się w jego grdykę i stukałem czubkiem ostrza w guziki jego koszuli. Chłopak zaczął mi wymyślać i wytrącił mi nóż z ręki. Zanim zdążyłem się ruszyć, Tico porwał nóż i ciachnął go przez twarz. Chłopak zawył, a Tico zdarł z niego koszulę i wyciął mu na plecach wielkie „M”. – To cię nauczy nie wchodzić na teren Mau Mau – powiedział. Uciekliśmy, zostawiając na chodniku zalanego krwią chłopa.

Codziennie gazety przynosiły opisy morderstw na podwórkach, w metro, w bocznych ulicach, na klatkach schodowych czynszowych domów, w przejazdach między blokami. Noc w noc gangi staczały ze sobą walki. Władze szkolne Technikum Brooklyńskiego założyły grube żelazne kraty na wszystkie drzwi i okna budynku szkolnego. Okratowane zostały nawet okna na piątym piętrze. Wielu właścicieli sklepów kupowało psy policyjne i zostawiało je w sklepach na noc.

Gangi stawały się coraz lepiej zorganizowane, tworzyły się też nowe. W naszej okolicy powstały trzy nowe gangi: wicekrólowie i Quentos.

Wkrótce odkryliśmy, że prawo miasta Nowy Jork zabrania policjantom rewidowania dziewcząt. Od tego czasu dziewczęta zaczęły nosić nasze noże i rewolwery, które braliśmy od nich w razie potrzeby. Jeśli gliniarz chciał nas zrewidować, dziewczyny stawały niedaleko i krzyczały: Zostaw go w spokoju, glino! On nic nie ma. On jest czysty. Spróbuj mnie obmacać tymi swoimi brudnymi łapami, to cię wsadzę do twojego własnego pudła. Hej, gliniarzu, chcesz mnie dotknąć swoimi łapskami? No chodź!

Nauczyliśmy się robić prymitywne pistolety kalibru 22 z anten samochodowych i elementów zamków do drzwi. Pistolety te czasem wybuchały w rękach chłopaków albo strzelały w przeciwną stronę i oslepiały. Ale produkowaliśmy je w dużych ilościach i sprzedawali członkom innych gangów, wiedząc, że skierują je przeciwko nam, gdy tylko nadarzy się okazja.

Tego lata 4 Lipca wszystkie gangi zebrały się na Coney Island. Gazety oszacowały, że ponad 8000 członków gangów młodzieżowych wcisnęło się na teren Coney Island. Nikt z nich nie zapłacił. Po prostu przeszli przez bramę i nikt nie śmiał się odezwać. To samo było z jeżdżeniem metrem.

1 sierpnia Izraela zabrała policja. Kiedy go wypuścili, powiedział, że dookoła niego robi się gorąco i chce sobie na jakiś czas dać spokój, dopóki sprawy nie przycichną. Zgodziliśmy się i gang wybrał mnie na prezesa, a Izraelowi pozwolił być wiceprezesem, dopóki się wszystko nie uspokoi. Było to po sześciu miesiącach od mojego wstąpienia do gangu.

Wkrótce zorientowałem się, że wszyscy boją się Mau Mau i że ja osiągnąłem szeroki rozgłos jako krwiożerczy zabijaka. Pławiłem się w chwale.

Pewnego wieczora poszliśmy na wielką zabawę, organizowaną przez ośrodek przy kościele św. Edwarda i Michała. Kościół próbował robić coś, żeby młodzież nie wałęsała się po ulicach, i w stołówce poniżej komisariatu policji co weekend organizował zabawy. W każdy piątek wieczorem grał tam duży zespół i wszyscy członkowie gangów przychodzili do ośrodka potańczyć. Gromadzili się dookoła budynku, pili piwo i tanie wino. Tydzień wcześniej upiliśmy się i kiedy księża chcieli nas uspokoić, pobiliśmy ich i opluli. Przyszła policja i rozpedziła nas. Rzadko kiedy piątkowa zabawa w stołówce nie kończyła się awanturą.

Tego wieczora poszedłem tam z Mannie i Paco. Piliśmy dużo i palili marihuanę. Przyuważyłem niezłą blondynkę i tańczyłem z nią kilka razy. Powiedziała mi, że jej brat ma kłopoty z widmowymi władcami. Chcą go zabić. Gdzie jest twój brat? – spytałem. – Nikt go nie tknie, jak ja zabronię. Chcę z nim pogadać.

Zaprowadziła mnie na koniec sali i przedstawiła swojego brata – powiedział mi, że widmowi władcy z Bedford Avenue chcą go zabić za umawianie się z dziewczyną z ich gangu. Chłopak był pijany i przerażony.

Wiesz co – powiedziałem – masz niezłą siostrę. Myślę że ją gdzieś zabiorę. Spodobała mi się i dlatego zaopiekuje się też tobą.

Umówiłem się już z dziewczyną do kina. Oświadczyłem, że musi robić wszystko, co zechcę, bo jestem prezesem Mau Mau. Przestraszyła się i powiedziała, że

pójdzie ze mną, ale nie chce, żeby inne chłopaki też się z nią zabawiały. Pocało-waliśmy się i powiedziałem jej, że jak długo będzie ze mną, będzie pod moją opieką.

W tym momencie do sali weszło trzech widmowych wład-ców. Ubrani byli w jaskrawe marynarki i kraciaste spodnie, z długimi dewizkami. Jeden z nich, kręcąc w palcach dewizką, podszedł i mrugnął do blondynki. Dziewczyna cofnęła się, a ja objąłem ją ramieniem.

– Hej, mała – powiedział szyderczo chłopak. – Może pójdziesz ze mną? Mój brat ma tu przed domem samochód i możemy mieć dla siebie całe tylne siedzenie.

– Chcesz być zabity? – warknąłem.

– Ty, ważniaku – roześmiał się widmowy władca. – Planujemy już zabicie twojego zalanego przyjaciela. Mogli-byśmy przy okazji zabić i ciebie, gnojku!

Mannie parsknął pogardliwie. Chłopak odwrócił się gwałtownie:

– Kto to zrobił?

Mannie zaczął się śmiać, ale ja, przeczuwając kłopoty, po-wiedziałem:

– Nikt.

Zacząłem się cofać, ale chłopak rzucił się na Manniego zwałił go na ziemię. Prócz Izraela, Mannie był moim najlepszym przyjacielem i nikomu nie uszłoby coś takiego na sucho. Skoczyłem i z całej siły uderzyłem chłopaka w plecy, w okolicę nerek. Chłopak zawył z bólu i złapał się za uderzone miejsce. Mannie pozbierał się i wyciągnął nóż. Ja sięgnąłem po swój, bo chłopaki w sali utworzyły półkole i ruszyły na nas.

Było ich za dużo, żeby się z nimi bić, więc zaczęliśmy się cofać ku drzwiom. Gdy wyszliśmy na schody, jakiś wielki chłopak skoczył na mnie z nożem. Nie trafił, ale nóż rozciął mi marynarkę. Gdy chłopak przelatywał obok mnie, wałnąłem go w tył głowy i kopnięciem strąciłem z betonowych schodów. Skoczyło na mnie dwóch następnych. Mannie szarpnął mnie za marynarkę i odskoczyliśmy.

– Chodźmy! – krzyknąłem. – Skoczę po Mau Mau i spalimy tę budę.

Tamci spojrzeli po sobie. Nie wiedzieli, że jestem Mau Mau, bo tego wieczora byłem w garniturze i krawacie. Za-częli się wycofywać do sali, a ja i Mannie odwróciliśmy się i poszliśmy.

Następnego dnia wpadłem po Manniego i Paco. Mieliśmy iść poszukać Santo, widmowego władcy, który odgrażał się bratu tej blondynki. Obaj z Manniem popiliśmy zdrowo i mieliśmy niezłe w czubie. Poszliśmy do cukierni na Trzeciej Ulicy i zobaczyliśmy tam kilku widmowych władców.

– Który z was jest Santo? – spytałem. Jeden z nich spojrzął w kierunku wysokiego kędzierzawego chłopaka.

– Słuchaj, kochasiu, jak masz na mię? Santo Claus? – spytałem.

Mannie się roześmiał, a ten chłopak odwrócił się do mnie i nazwał mnie sk-synem.

– Ty, mały, chyba ci się coś pomyliło. Wiesz, co to są Mau Mau?

– Tak, słyszałem o nich. Ale oni nie są tacy głupi, żeby się tutaj włóczyć.

– Dzisiaj się tutaj włóczę, kochasiu. To są właśnie Mau Mau. A ja mam na imię Nicky. Jestem ich prezesem. Na zaw-sze zapamiętasz to imię, kochasiu.

Właściciel cukierni sięgnął po słuchawkę telefonu.

Włożyłem rękę do kieszeni i wyciągnąłem palec przez ma-teriał, jakbym tam miał schowany pistolet.

– Ty! – krzyknąłem. – Połóż to!

Wszyscy cofnęli się przestraszeni. Podszedłem do Santo i dwukrotnie uderzyłem go w twarz. Drugą rękę ciągle trzy-małem w kieszeni.

– Może teraz mnie zapamiętasz, kochasiu.

Santo cofnął się i uderzyłem go w żołądek.

– Chodźmy stąd – powiedziałem do Paco. – Te dzieci się przestraszyły

Odwróciliśmy się i ruszyliśmy ku wyjściu. Splunąłem przez ramię i powiedziałem:

Na drugi raz powiedz mamusi, żeby ci założyła pielusz-kę zanim cię puści z domu. Jesteś jeszcze dzidzius.

Roześmialiśmy się i wyszliśmy.

Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, Mannie wsadził rękę do kieszeni kurtki, i wycelował palcem przez materiał.

– Bach! Bach! Już jesteś trup! – zawołał.

Roześmialiśmy się i powoli poszliśmy ulicą.

Tego samego wieczora przyszedł Izrael i powiedział, że widmowi władcy przygotowują się do wielkiej wojny z powo-du bójki w cukierni.

Skoczyliśmy z Izraelem po Manniego i udaliśmy się w re-jon widmowych władców,

żeby ich zaskoczyć. Kiedy pode-szliśmy w pobliże Mostu Brooklyńskiego, rozdzieliliśmy się. Izrael i Mannie ruszyli za blok, a ja poszedłem prosto. Po chwili usłyszałem wołanie Izraela i pobiegłem za dom. Okaza-ło się, że Izrael i Mannie zaskoczyli samotnego widmowego władcę. Teraz leżał na chodniku i błagał o litość.

– Ściągnijcie mu portki – zarządziłem. Chłopcy rozpięli mu pas, ściągnęli spodnie i wrzucili je do ścieku. Potem zdarli z niego kalesony.

– Wstawaj, dziwołagu, i biegiem marsz! Patrzyliśmy, jak ucieka przerażony, śmialiśmy się i wy-zywali go.

– Chodźcie – powiedział Izrael – nie ma tu już żadnego z tych łachmytów. Wracamy do domu.

Zawróciliśmy, gdy nagle otoczyło nas kilkunastu widmo-wych władców. Wpadliśmy w zasadzkę. Rozpoznałem wśród nich również kilku członków gangu żydowskiego. Jeden chłopak skoczył na mnie z nożem, ale walnąłem go rurką. Rzucił się na mnie drugi, więc odwinąłem się i uderzyłem go rurką w bok głowy.

Nagle poczułem, jakby mi coś eksplodowało z tyłu czaszki i znalazłem się na chodniku. Czułem się tak, jakby mi lada moment miała głowa odlecieć. Gdy próbowałem popatrzeć w górę, ktoś kopnął mnie w twarz nabijanym gwoździami butem. Ktoś inny kopnął mnie w krzyż. Próbowałem się podnieść, ale dostałem rurką nad okiem. Wiedziałem, że mnie zabiją jeśli nie ucieknę, ale nie byłem w stanie się podnieść.

Opadłem znów twarzą na chodnik i poczułem, że ten chłopak w podkutych butach skoczył na moje nogi, a potem na po-śladki. Gwoździe w jego butach były wyostrzone jak brzytwy. Czułem, jak ostra stal przecina mi spodnie i rozdziera ciało na biodrach i pośladkach. Zemdlałem z bólu.

Gdy wróciła mi świadomość, Izrael i Mannie wlekli mnie przejściem między domami. Musiałem być poważnie pokale-czony, bo nie mogłem ruszać nogami.

– Szybko, szybko – powtarzali Mannie i Izrael. – Te dranie zaraz tu wrócą. Musimy zwiewać.

Znów zemdlałem z bólu, a gdy się ocknąłem, leżałem na podłodze w swoim mieszkaniu. Chłopcy wlekli mnie przez całą drogę i na górę do mojego pokoju. Pomogli mi wczołgać się na łóżko, gdzie znów zemdlałem. Gdy odzyskałem przy-tomność, słońce mocno przygrzewało przez okno. Wygramoli-łem się z łóżka. Byłem tak zesztyniały, że ledwo mogłem się ruszać. Dolną połowę ciała miałem pokrytą zakrzepłą krwią. Próbowałem zdjąć spodnie, ale przywarły do ran i wydawało mi się, że zdzieram własną skórę. Powlokłem się piętro niżej, do wspólnej łazienki, i w ubraniu wszedłem pod prysznic. Sta-łem pod nim tak długo, aż zaschnięta krew rozmiękła i udało mi się oderwać przyklejoną odzież. Biodra i plecy miałem całe pokryte ranami, pełne siniaków. Powlokłem się nago na górę. Przypomniał mi się chłopak, uciekający ulicą bez spodni.

„O rany! – pomyślałem. – Gdyby on mnie teraz zoba-czył”.

Dowlokłem się do swojego pokoju i resztę dnia spędzi-łem opatrując rany. Pozycja prezesa Mau Mau była niezła, ale od czasu do czasu równała się niemal samobójstwu. Tym ra-zem prawie tak się stało.

6. PODPALACZE PIEKŁA.

Tej jesieni mój brat Louis, mieszkający w Bronx, zja-wił się u mnie w domu i zaczął namawiać, żebym się do niego przeprowadził. Przeczytał w gazetach nowojorskich o moich kłopotach z policją.

– Nicky, igrasz ze śmiercią, a to jest niebezpieczna za-bawa. Zabijają cię – powiedział.

Potem oznajmił, że omówił tę sprawę z żoną i postano-wili, że się do nich przeprowadzę. Roześmiałem się.

– Jakżeście na to wpadli? – spytałem. – Nikt mnie nie chce. Skąd właśnie wam przyszło do głowy, że wy mnie chce-cie?

– To wcale nie jest tak, Nicky. Wszyscy cię chcą. Frank, Gene, wszyscy cię chcemy. Ale musisz okazać chęć ustątkowania się.

– Słuchaj – powiedziałem. – Nikt mnie nie chce. Nie oszukasz mnie. Ani ty, ani Frank, ani Gene, ani ojciec czy matka...

No, to już grubo przesadziłeś – przerwał mi Louis. – Rodzice cię kochają.

Tak? No to jak wpadli na to, żeby wysłać mnie z domu? Co na to powiesz, mądralo? Wysłali Cię, bo nie mogli sobie z tobą poradzić. Jesteś jak dzikus... jakbyś stale przed czymś uciekał.

Tak? A może właśnie uciekam przed taką rodziną? Słuchaj, wiesz ile razy ojciec w ogóle ze mną spokojnie porozmawiał? Tylko jeden jedyny raz usiadł i rozmawiał ze mną. I opowiedział mi historyjkę o jakimś głupim ptaszku, jeden raz! Tyle tylko. Człowieku, nie opowiadaj mi tu, że on mnie kocha. On nie ma czasu dla nikogo prócz siebie.

Louis wstał i zaczął chodzić po pokoju.

– Nicky, dlaczego nie chcesz słuchać głosu rozsądku?

– A po co mam się do ciebie przeprowadzać? Będziesz mnie zmuszał do chodzenia do szkoły, tak jak Frank. Tutaj mam to z głowy. Mam 200 chłopaków, którzy robią to, co im każę, i 75 dziewczyn, które idą ze mną, ile razy je o to poproszę. Oni dają mi pieniądze na wszystko, czego potrzebuję. Pomagają mi płacić za mieszkanie. Nawet policja się mnie boi. Po co mam iść z tobą? Gang jest moją rodziną. Nie potrzebuję niczego innego.

Louis do późna w nocy siedział na łóżku w moim pokoju i próbował mnie przekonać, że kiedyś to wszystko się zmieni. Mówił, że jeśli nie zginę albo nie trafię do więzienia, będę w końcu musiał iść do jakiejś pracy i będzie mi potrzebne jakieś wykształcenie. Oświadczyłem, że nie ma o czym mówić. Jest mi dobrze tak jak jest i nie mam zamiaru się wycofywać.

Następnego popołudnia strach, który dotąd tak głęboko ukrywałem, całkiem mnie opanował. Leżałem samotnie na łóżku i piłem wino, dopóki nie upiłem się tak, że nie mogłem wstać. Zasnąłem w ubraniu, ale nie byłem przygotowany na to, co mnie miało spotkać. Koszmary! Okropne, mrozące krew w żyłach koszmary! Śnił mi się ojciec. Był przykuty łańcuchami w jaskini. Miał zęby jak wilk i ciało obrosnięte skóttunio-ną sierścią. Wył żałośnie; chciałem podejść bliżej, ale bałem się, że mnie ugryzie.

Potem śniły mi się ptaki. Louis krążył przede mną, sie-dząc okrakiem na ptaku unoszącym go w niebo, a jego twarz to zbliżała się do mnie, to oddalała. Nagle opadły mnie miliony oszalałych ptaków, które szarpały moje ciało i dziobały moje oczy. Ilekroć udało mi się od nich opędzić, widziałem Louisa jako punkcik na niebie, odlatującego ku jakiejś nieznanej wolności.

Obudziłem się z krzykiem:

– Nie boję się! Nie boję się!

Ale kiedy znów zasnąłem, znowu zobaczyłem ojca przyku-tego w ciemności i znowu atakowało mnie stado ptaków.

Koszmary zaczęły się powtarzać co noc. Przez ponad dwa lata bałem się iść spać. Ilekroć ogarniał mnie sen, pojawiały się te okropne widziadła.

Wspominałem ojca i pragnąłem, żeby przyjechał do Nowego Jorku i wypędził ze mnie demony. Opa-nowany przez strach i poczucie winy, leżałem nocami na łóżku walcząc ze snem i powtarzając w kółko:

– Niedobrze. Niedobrze. Nie ma wyjścia. Nie ma wyjścia, jedynie aktywność w gangu broniła mnie przed całkowitym szaleństwem.

Gang Mau Mau stał się częścią mojego życia. Choć stanowiliśmy wystarczającą siłę, by działać samodzielnie, od czasu do czasu zawieraliśmy przymierza z innymi gangami. Zimą

1955 roku Podpalacze Piekła z Williamsburga wystąpili do nas o zawarcie przymierza.

Było już prawie ciemno. Kilku z nas zebrało się na boisku szkoły nr 67, żeby omówić czekającą nas bitwę z Biskupami. Podniosłem głowę i zobaczyłem trzech chłopaków wyłaniających się z mroku i kierujących się w naszą stronę.

Nie-zwłocznie przygotowaliśmy się do odparcia ewentualnego ataku. Jeden Mau Mau zniknął w ciemności, żeby zejść od tyłu zbliżającą się trójkę.

– Hej, czego chcecie, chłopaki? – krzyknąłem.

– Szukamy Nicky'ego, przywódcy Mau Mau – odezwał się jeden z nich.

Wiedziałem, że to może być podstęp.

– A czego chcecie od Nicky'ego? – spytałem.

– Człowieku, słuchaj, to nie podstęp. Mamy kłopoty i musimy porozmawiać z Nickym.

Wciąż jeszcze nie wyzbyłem się podejrzeń.

– Jakie kłopoty?

– Nazywam się Willie Rzeźnik – odpowiedział chłopak, który zdążył już podejść tak blisko, że zobaczyłem go wyraźnie. – Jestem przywódcą Podpalaczy Piekła. Potrzebujemy pomocy.

Doszedłem do wniosku, że mówi prawdę.

– Jakiej pomocy?

– Słyszeliście, co widmowi władcy zrobili Ike'owi? – Kiwnął głową w kierunku jednego z towarzyszących mu chłopaków.

Słyszałem. Pisali o tym w gazetach. Ike miał 14 lat i mieszkał na Keap Street. Bawił się z dwoma kolegami, gdy zaatakowała ich grupa widmowych władców. Tamci dwaj uciekli, a Ike'a widmowi władcy przyparli do ogrodzenia. Kiedy próbował się bronić, rzucili się na niego wszyscy naraz i zaciągnęli do piwnicy po drugiej stronie ulicy. Tam, jak pisano w gazetach związano mu ręce, po czym bili go i kopali, dopóki nie stracił przytomności. Wtedy oblali mu ręce benzyną do zapalniczek i podpalili. Ike wyostał się na ulicę i tam, leżącego

bez przytomności, znalazł go przejeżdżający patrol policyjny.

Rzuciłem okiem na chłopaka, którego Willie przedstawił jako Ike'a. Chłopak miał całe ręce zabandażowane i twarz pas-kudnie posiniaczoną.

Willie ciągnął dalej:

– Tylko wy możecie nam pomóc. Chcemy być waszym bratnim klubem. Wszyscy boją się Mau Mau. Potrzebujemy waszej pomocy przeciw widmowym władcom. Jak nie pomści-my Ike'a, będziemy mięczakami.

Ja i Mau Mau byliśmy znani wśród nowojorskich gangów. Nie po raz pierwszy ktoś zwracał się do nas o pomoc. Udziela-liśmy jej chętnie, ponieważ była pretekstem do walki.

– A co, jak wam nie pomogę?

– Wtedy widmowi władcy odbiorą nam nasz rejon. Tej nocy byli w naszym rejonie i spalili naszą cukiernię.

– Spalili waszą cukiernię? Dobra, stary. To ja im dam popalić. Wszystkim. W nocy przyjdę do rejonu Podpalaczy Pie-kła i pogadamy, jak wykończyć tych łalusiów.

Na drugi dzień, kiedy się ściemniło, wyszedłem z domu i poszedłem do Williamsburga. Po drodze zabrałem dziesięciu członków mojego gangu. Gdy weszliśmy do rejonu Podpalaczy Piekła, wyczuliśmy atmosferę pełną napięcia. Podpalacze Pie-kła bali się, toteż ukryli się na dachach. Nagle zaczęli nas bombardować kamieniami i butelkami. Na szczęście rzucali niecelnie i zdążyliśmy wpaść do bramy jakiegoś budynku i skryć się przed sypiącą się na nas z góry lawiną szkła i ka-mieni.

Powiedziałem chłopakom, żeby się nigdzie nie ruszali i po-szedłem po schodach na ostatnie piętro. Tam znalazłem drabi-nę prowadzącą do kłapy w suficie. Uchyliłem klapę i zobaczyłem chłopaków leżących na skra-ju dachu od strony ulicy i wyglądających w dół. Po cichu wy-szedłem na dach i ukryłem się za kominem wentylacyjnym.

Następnie podkradłem się od tyłu do dwóch z nich i klep-nąłem ich w ramiona.

– Aaaaa! – wrzasnęli obaj i o mało nie spadli na ulicę. Leżeli teraz, kurczowo ściskając krawędź dachu, z głowami zwróconymi w moim kierunku, z oczyma okrągłymi z przera-żenia i otwartymi ustami.

– K-k-toś t-ty? – wyjąkali.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu.

Cześć, chłopaki. Jestem Nicky. A wy? Sowa czy co?

C-co z-za Nicky? – wyjąkał jeden z nich.

No chłopaki, jestem przywódcą Mau Mau. Gdzie jest wasz przywódca? Gdzie jest Willie Rzeźnik?

Willie był na innym dachu. Zaprowadzili mnie do niego.

Dołączyli do nas przybyli ze mną Mau Mau i kilkunastu Podpalaczy Piekła. Willie powiedział mi, że próbują odpierać ataki widmowych władców, ale jak dotąd nie odnoszą sukcesów. Tej nocy jest spokojnie, ale w każdej chwili tamci mogą przyjść i rozbić ich w puch. Policja wie, że toczy się wojna gangów, ale niczego nie może zrobić, żeby jej położyć kres, Willie miał w ręce rewolwer, ale, o ile mogłem się zorien-tować, nikt prócz niego nie miał broni palnej.

Wysłuchawszy, zacząłem im wykładać strategię bitwy. Gang umilkł i słuchał moich słów.

– Przegrywacie dlatego, że jesteście w defensywie. Po-zwalacie im przychodzić tutaj i musicie bronić własnego rejo-nu. A trzeba iść do nich i tam walczyć. Zrobiłem pauzę dla większego efektu moich słów.

– I żadnych rewolwerów.

W grupie zapanowało poruszenie.

– Bez rewolwerów? Jak można walczyć bez rewolwerów?

– Użyjemy cichej broni.

Sięgnąłem pod kurtkę i wyciągnąłem długi na pół metra bagnet w pochwie.

Wysunąłem bagnet z pochwy i z rozmachem przeciąłem nim powietrze. Usłyszałem ciche gwizdy w grupie stojących wokół mnie chłopaków.

Zdobyłem ich podziw i szacunek. Teraz słuchali pilnie, pragnąc dowiedzieć się, jak mam zamiar nimi pokierować.

Zwróciłem się znów do willego.

– Daj mi twoich pięciu najtwardszych chłopaków. My weźmiemy pięciu naszych.

Jutro wieczorem pójdziemy do rejonu widmowych władców pomówić z ich przywódcami. Nie będą chcieli mieć Mau Mau przeciw sobie. Powiem im, że jesteśmy zaprzyjaźnionymi klubami i jeśli nie zostawią, was w spokoju, będą musieli walczyć również z nami. Jak się nie zgodzą, spalimy ich cukiernię, żeby się przekonali, że nie żartujemy. Dobra?

W grupie zapanowało poruszenie.

Jasne, stary. Wykończymy tych gnojków. Rozwalimy ich. Jasne, pokażemy im, stary.

Na drugi dzień razem z pięcioma naszymi chłopakami przyszedłem na terytorium Podpalaczy Piekła, do cukierni na White Street. Sklep był już wyremontowany,

bo od bitwy gangów upłynęło kilka dni. W cukierni czekało na nas pięciu Podpalaczy Piekła, a wśród nich Willie Rzeźnik. Porozmawiałem z właścicielem i powiedziałem, że przykro nam, że widmowi władcy zniszczyli jego sklep i że chcemy załatwić, żeby to się więcej nie powtórzyło. Potem poprosiłem go o przechowanie mojego bagnetu, dopóki nie wrócimy.

Było około piątej po południu i w chłodnym świetle zmierzchającego dnia mżył deszcz. Wyszliśmy ze sklepu i poszliśmy przez miasto na Trzecią Ulicę, do rejonu widmowych władców. W cukierni zastaliśmy ich pięciu. Gdy nas zobaczyli, nie mogli już uciec, bo obstawiliśmy drzwi.

Wszyscy staliśmy z rękami w kieszeniach płaszczy, jak-byśmy mieli rewolwery. Podszedłem do chłopaków, którzy podnieśli się i stali, każdy za swoim stolikiem.

– Gdzie wasz przywódca? – spytałem i zakląłem. Groźnie wyglądający chłopak w ciemnych okularach odezwał się:

– Freddy jest naszym przywódcą.

– Który z was jest Freddy?

Mniej więcej osiemnastoletni pryszczaty chłopak z kręconymi włosami wystąpił naprzód i powiedział:

– Ja jestem Freddy, a wy, do diabła, coście za jedni? Stałem ciągle z rękami w kieszeniach, z podniesionym kołnierzem płaszcza przeciwdeszczowego.

– Ja jestem Nicky, prezes Mau Mau. Słyszeliście o Mau Mau? To jest Willie Rzeźnik, przywódca Podpalaczy Piekła. Zawarliśmy sojusz. Chcemy odwołać walkę.

– Dobra człowieku – powiedział Freddy. – Chodźmy tam, pogadamy.

Odeszliśmy na bok, żeby porozmawiać, ale jeden z widmowych władców obrzucił przekleństwami williego. Zanim zdążyłem zareagować, willie wyciągnął rękę z kieszeni i otworzył nóż sprężynowy. Tamten się jednak nie cofnął, tylko uderzył williego końcem parasola. Wyostrzony metalowy szpikulec przebił przeciwdeszczowy płaszcz williego i rozdarł mu skórę na żebrach. Niemal w tym samym momencie jeden z Podpalaczy Piekła porwał z lady ciężką cukiernicę, rzucił w tego chłopaka z parasolem i trafiwszy go w ramie powalił na ziemię. Freddy zaczął krzyczeć:

Hej, przestańcie! – ale nikt go nie słuchał i chłopaki zaczęły się kotłować po sklepie. Freddy zwrócił się do mnie: – zatrzymaj ich!

Człowieku ty ich zatrzymaj. To twoje chłopaki zaczęły

w tym momencie ktoś uderzył mnie w tył głowy. Równocześnie usłyszałem brzęk tłuczonego szkła, gdy butelka trafiła w lustro za ladą.

Na ulicy zapiszczały opony samochodu patrolowego, który zahamował gwałtownie na środku jezdni błyskając czerwonymi światłami. Dwaj policjanci wyskoczyli z niego, zostawiając szeroko otwarte drzwi, i pobiegli w kierunku cukierni z pałkami w rękach.

Reszta chłopaków zobaczyła ich w tym samym momencie. Jak na komendę wyskoczyliśmy wszyscy na ulicę i rozbiegli się pomiędzy samochodami. Jeden z policjantów pobiegł za mną, ale przewróciłem za sobą wielki pojemnik na śmieci i to go zatrzymało na czas wystarczający mi do oddalenia się na bezpieczną odległość.

wielka bitwa była już jednak nie do uniknięcia.

Następnego dnia wieczór ponad stu Mau Mau zebrało się przed cukiernią w rejonie Podpalaczy Piekła. Był tam też Willie Rzeźnik i ponad pięćdziesięciu jego chłopaków. Środkiem ulicy pomaszerowaliśmy do cukierni w rejonie Widmo-wych Władców.

Charlie Cortez, jeden z Mau Mau, przez ostatni tydzień był na dużych dawkach heroiny i miał dziś nastrój do walki. Kiedy dotarliśmy do cukierni, szarpnął drzwi i pochwycił jed-nego z widmowych Władców, który próbował wyrwać się i uciec. Charlie chciał go uderzyć nożem, ale nie trafił i tylko pchnął go w moim kierunku.

Roześmiałem się. Takie proporcje lubiłem: 150 do 15. Za-machnąłem się i uderzyłem chłopaka ciężką ołowianą rurką z dużym złączem na końcu. Trafiłem go w ramię, a on zawył z bólu. Gdy zwinął się na chodniku, uderzyłem go znowu. Tym razem w tył głowy. Ciężko opadł na beton i z głębokie-go rozcięcia popłynęła mu krew.

Ktoś wrzasnął:

– Chodźcie, rozwalimy im cały rejon!

Chłopcy się rozbiegli. Część wpadła do cukierni, inni do znajdującej się obok sali bilardowej. Porwany przez tłum, znalazłem się w cukierni. Zacząłem swoją ołowianą rurką walić po wszystkim, co mi podpadło pod rękę. Okna były już powybijane, a sprzedawca kulił się za ladą, próbując tam się schronić. Chłopcy się rozhułali. Niszczyli wszystko. Któryś przewrócił szafę grającą, a ja wskoczyłem na nią i zacząłem ją rozbijać rurką na drobne kawałki. Inni weszli za ladę i zrywali półki ze ściany, rozbijali szklanki i talerze. Ktoś opróżnił kasę, po czym dwóch chłopaków zamachnęło się i wyrzuciło ją przez okno wystawowe.

Wybiegłem na ulicę. Po twarzy, skaleczonej odpryskiem szkła, ciekła mi krew. Zacząłem biegać po ulicy tam i z po-wrotem, waląc rurką w szyby aut.

Około pięćdziesięciu chłopaków było w sali bilardowej. Powywracali wszystkie stoły i połamali kije. Teraz zaczęli wybiegać na ulicę i rzucać kulami w wystawy wszystkich sklepów znajdujących się w pobliżu.

Grupa chłopaków zatrzymała samochód na środku ulicy. Wskoczywszy na maskę i na dach, skakali po nim, dopóki cał-kiem nie stracił kształtu. Wszyscy śmiali się, krzyczeli i rozbi-jali.

Zawyły syreny i samochody policyjne nadjechały pędem z obu końców ulicy.

Zwykle był to dla chłopaków sygnał do ucieczki. Ale tym razem tłum był ogarnięty gorączką niszczenia i nikt się nie przestraszył policji.

Samochód policyjny przecisnął się przed cukiernię, ale policjanci nie byli w stanie otworzyć drzwi: chłopcy ciasno otoczyli auto, okładając je butelkami, cegłami i pałkami. Po-wybijali reflektory i szyby w oknach. Zamknięci w środku policjanci próbowali wzywać pomocy przez radio, ale wsco-czyliśmy na dach i zerwaliśmy antenę. Jeden z chłopców kopał w syrenę tak długo, aż oderwała się i spadła na ulicę.

Kolejne wozy policyjne z piskiem opon zatrzymały się na końcach opanowanego przez nas odcinka ulicy, na którym po-nad 150 chłopaków biło się, wrzeszczało, wywracało samocho-dy, rozbijało szyby. Policjanci rzucili się z pałkami na rozsza-lały, wyjący tłum. Zobaczyłem Charliego walczącego na środ-ku jezdni z dwoma policjantami. Skoczyłem mu na pomoc, ale w tym momencie usłyszałem strzały. Trzeba było ucie-kać.

Rozprysnęliśmy się na wszystkie strony. Część chłopaków uciekła w najbliższy zaułek między domami. Inni wskoczyli do bram, pobiegli na najwyższe piętra i wydostali się na dachy. W kilka chwil plac boju opustoszał i widać było tylko powsze-chne zniszczenie. Ani jeden samochód nie ocalał. Cukiernia była kompletnie zdemolowana. Sala bilardowa tak samo. Wszystkie szyby w barze po drugiej stronie ulicy były wybite i zniknęła prawie cała whisky z wystawy. Ktoś, otworzywszy drzwi jednego z samochodów, rozciął i podpalił siedzenia. Policja próbowała ugasić ogień, ale gdy uciekaliśmy, samochód ciągle się palił. Uciekliśmy wszyscy, oprócz Charliego Corteza i trzech Podpalaczy Piekła. Prawo gangów mówiło, że jeśli ktoś został złapany, nie wolno mu było nikogo zdradzić. Jeśli zaczynał „śpiewać” albo „sypać”, gang go karał. A jeśli był w więzieniu, karano jego rodzinę. Charlie dostał trzy lata, trzej pozo-stali również otrzymali wyroki.

Ale widmowi władcy już nigdy nie przyszli na teren Podpalaczy Piekła.

7. DZIECKO LUCYFERA.

Gdy nadeszło drugie lato, zdawało się, że całe getto zapłonęło nienawiścią i przemocą. Gangi w ciągu zimy przekształciły się w silne, doskonale zorganizowane grupy. Przez całą zimę robiliśmy pistolety, kradli broń palną i gromadzili amunicję. Zyskałem reputację najokrutniejszego przywódcy gangu w Brooklynie. Aresztowano mnie 18 razy, a raz podczas tej zimy spędziłem 30 dni w areszcie, oczekując na rozprawę. Ale nigdy nie mieli przeciwko mnie niezbitych dowodów.

Gdy nastały ciepłe dni, zaczęliśmy się zachowywać jak banda oszalałych dzikusów. Smoki prowadziły nieustającą wojnę z wicekrólami, 1 maja Mingo, prezes Kapelanów, wszedł do cukierni niosąc w ręce strzelbę z obciętą lufą.

– Hej, ty! – powiedział, wskazując opartą na przedramieniu strzelbą na chłopaka siedzącego przy stoliku. – Ty jesteś Sawgrass?

– Tak, to ja. I co z tego?

Mingo zamiast odpowiedzi podniósł strzelbę i wycelował w głowę Sawgrassa.

– Hej, chłopie – Sawgrass uśmiechnął się blado, wstał i cofnął się – nie celuj tym we mnie, bo to może wystrzeżić.

Mingo był po sporej dawce heroiny. Patrząc bez wyrazu na stojącego przed nim chłopaka pociągnął za spust. Strzał trafił w czoło nad nosem i zniósł Sawgrassowi wierzch głowy – krew, odłamki kości i śrut bryznęły na ścianę. Ciało Sawgrassa upadło na podłogę kurcząc się w agonii.

Mingo odwrócił się i wyszedł z cukierni. Kiedy dopadli go policjanci, szedł sobie spokojnie ze strzelbą dyndającą w luźno zwieszanej ręce. Policjanci krzyknęli, żeby się zatrzymał. Na to Mingo odwrócił się i wycelował w nich. Policjanci otworzyli ogień i Mingo upadł na chodnik, podziurawiony kulami. Wewnątrz byliśmy takimi samymi Mingami. Było tak jakby całe miasto oszalało. Tego lata wypowiedzieliśmy wojnę policji. Napisaliśmy list do gliniarzy w 88 Obwodzie i do policji osiedlowej. Napisaliśmy że wypowiadamy im wojnę i od tej chwili każdy gliniarz który wejdzie do naszego rejonu, zostanie potraktowany jak wróg i zabity.

Policja podwoiła patrole, toteż często policjanci obchodzili rewiry po trzech. Nie powstrzymywało nas to wcale. Groma-dziliśmy się na dachach i rzucaliśmy w policjantów cegłami, butelkami i pojemnikami na śmieci. Kiedy zatrzymywali się, chcąc zobaczyć, kto w nich rzuca, otwieraliśmy ogień. Nasze strzały chybiały jednak. Robione przez nas pistolety nadawały się jedynie do strzelania na krótkie odległości. Największym marzeniem każdego chłopaka było jednak zabicie gliniarza.

Jedną z naszych ulubionych zabaw stanowiło rzucanie „bomb benzynowych”. Nocami kradliśmy benzynę z zaparkowanych samochodów i napełnialiśmy nią butelki po winie i wodzie sodowej. Zatykaliśmy je szmatami, podpalaliśmy i rzucali w ścianę domu albo w samochód policyjny. Butelki wybuchały masą płomieni. Czasami zdarzały się wypadki. Pewnego dnia Dan Brunson, członek naszego gangu, zapalił bombę benzynową, żeby nią rzucić w komisariat. Knot zapalił się zbyt szybko i bomba wybuchła mu w twarz. Zanim ktokolwiek zdążył się do niego zbliżyć, objęły go płomienie. Gliniarze wybiegli i stłamsili na nim ogień własnymi rękami. Jeden z nich poparzył się przy tym poważnie. Potem prędko zawieźli Dana do szpitala, ale lekarze powiedzieli że miną lata zanim Dań przyjdzie choć trochę do siebie. W następnym tygodniu nasza wojna przygasła, ale wkrótce rozpałała się z jeszcze większą gwałtownością.

Ulubionymi dniami walk gangów były święta. W Wielkanoc, w Dzień Pojednania i 4 Lipca większość z 285 gangów młodzieżowych Nowego Jorku gromadziła się na Coney Island. Każdy miał na sobie najlepsze ubranie i popisywał się, jak umiał, co prowadziło do zajadłych i często tragicznych w skutkach walk. Tego 4 Lipca Biskupi zabił Larry'ego Steina, jednego z naszych chłopaków. Miał dopiero 13 lat. Pięciu ich zatłukło go na śmierć łańcuchami rowerowymi, a potem zakopało w piasku pod pomostem spacerowym. Jego ciało zostało znalezione dopiero po tygodniu.

Kiedy dowiedzieliśmy się o tym, zebrało się nas w szkolnej piwnicy prawie 200 i zaczęliśmy radzić nad sposobem pomśzczenia Larry'ego. Zioniliśmy nienawiścią. Połowa chłopaków była pijana i chciała w tej chwili iść, spalić domy, w których mieszkają Biskupi i podłożyć ogień pod całą okolicę Bedford

Avenue. Pomimo to udało mi się opanować sytuację i uzgodniliśmy, że na drugi dzień po południu wszyscy idziemy na pogrzeb Larry'ego, a wieczorem spotkamy się ponownie i omówimy plan walki.

Następnego popołudnia zebraliśmy się na cmentarzu. Zajechały dwa samochody i wysiadła grupka żałobników. Poznałem rodziców Larry'ego i jego czterech braci. My byliśmy w głębi cmentarza i gdy pojawił się kondukt, wyszliśmy na-przód – ponad 200 chłopców i dziewcząt, w większości ubra-nych w czarne kurtki z podwójnym czerwonym M na plecach.

Podszedłem, żeby porozmawiać z panią Stein. Gdy mnie zobaczyła, zaczęła krzyczeć:

– Zabierzcie ich stąd! Zabierzcie ich stąd! Potwory! Dia-bły!

Odwróciła się i chciała wrócić do samochodu, ale po kil-ku niepewnych krokach upadła na trawę. Jej mąż ukląkł przy niej, a mali bracia Larry'ego stali i z przerażeniem patrzyli na nasz gang wyłaniający się spomiędzy nagrobków i otacza-jący grób Larry'ego.

Pan Stein popatrzył na mnie i zaklął.

– To wy jesteście za to odpowiedzialni. Gdyby nie wy i wasz przeklęty gang, Larry żyłby teraz – wykrzyknął i rzucił się w moim kierunku ze wzrokiem pełnym nienawiści – ale przedstawiciel przedsiębiorstwa pogrzebowego chwycił go za łokieć, pociągnął do tyłu i powiedział do mnie:

– Proszę was, zostańcie po drugiej stronie grobu. Dajcie nam szansę, dobrze? Posłuchałem go i cofnęliśmy się za grób. Pani Stein została ocucona i podjęto ceremonię pogrzebową.

Tego wieczora spotkaliśmy się znowu. Tym razem nic nas już nie mogło zatrzymać. Dowiedzieliśmy się tego popołudnia, że GGI zabili jednego z Biskupów i że na drugi dzień ma się odbyć pogrzeb. Chłopcy chcieli rozbić kondukt rzucając bomby benzynowe z okolicznych domów. Poczucie więzi między członkami gangu, pchające ich do pomszczenia zabitego kolegi, było zdumiewająco silne. Nienawiść kipiała w nich i zmuszała ich do działania.

Mannie pierwszy porwał się z miejsca i krzyknął, że idzie do domu pogrzebowego, w którym ciało tego Biskupa czekało na pochówek.

Chodźmy, rozwalimy tę budę! – zawołał. – Jutro bę-dzie za późno, chodźmy teraz! Tak! Tak! Chodźmy teraz! – zakrzyknął chór głosów.

Kilkunastu chłopaków pobiegło do małego murzyńskiego domu pogrzebowego, powywracało trumny i nożami pocięło zasłony.

Pogrzeb odbył się na drugi dzień pod silną osłoną policji, ale my uważaliśmy, że nasz kolega został pomszczony.

Straszniejsze od walk ulicznych były jedynie paroksyzmy nienawiści gotujące się w mojej duszy. Byłem zwierzęciem bez świadomości, moralności, rozsądku i jakiegokolwiek poczucia dobra i zła. Gang utrzymywał mnie ze swych rozbojów i Frank trochę mi pomagał, ale najbardziej lubiłem zdobywać pieniądze na własną rękę.

Wiosną 1957 roku Frank przyszedł do mnie i powiedział, że rodzice przyjechali w odwiedziny z Puerto Rico. Chciał, że-bym przyszedł do jego mieszkania na następny dzień wieczo-rem i zobaczył się z nimi. Odmówiłem. Nie potrzebo-wałem ich. Odrzucili mnie i teraz nie chciałem mieć z nimi nic wspól-nego.

Nazajutrz wieczorem Frank przyprowadził ojca do mojego pokoju. Powiedział, że mama odmówiła przyjscia, bo nie chciałem się z nią zobaczyć.

Siedziałem na łóżku, a ojciec długo stał w drzwiach i pa-rzył na mnie.

– Frank mi o tobie opowiadał – zaczął mówić, podnosząc głos w miarę mówienia, aż w końcu niemal krzyczał. – Mówił że jesteś przywódcą gangu i że ściga cię policja. To prawda? Nie odpowiedziałem mu, tylko zwróciłem się do stojącego obok ojca Franka i warknąłem:

– Coś ty mu, do diabła, naopowiadał? Mówiłem ci, że nie chcę widzieć ani jego, ani jej.

Powiedziałem mu prawdę – odparł spokojnie Frank.

Chyba już czas, żebyś sam ją sobie uświadomił.

– On ma demona – powiedział ojciec wpatrując się we mnie nie mrugającymi oczyma. – Jest opętany. Muszę go uwolnić.

Popatrzyłem na ojca i zaśmiałem się nerwowo,

– W tamtym roku myślałem, że mam demona. Ale teraz nawet demony się mnie boją.

Ojciec podszedł i położył mi ciężką rękę na ramieniu. Na-ciskając silnie zmusił mnie do uklęknięcia na podłodze. Sta-nął potem nade mną i swoimi

wielkimi rękami unieruchomił mnie tak, jakby mnie skuł łańcuchami.

– Czuję w nim pięć złych duchów – powiedział. Kiwnął na Franka, żeby ten przyszedł i potrzymał mi ręce nad głową. Zacząłem się wyrywać, ale oni byli silniejsi ode mnie.

– Pięć demonów! – ojciec zaintonował monotonną me-lodię. – Dlatego jest przestępcą! Dzisiaj go wyleczymy.

Ścisnął dłońmi wierzch mojej głowy i pchając mocno w dół wykonywał takie ruchy, jakby chciał odkręcić wieczko słoja.

– Wynoście się! Wynoście! Rozkazuję wam odejść! – krzyczał do demonów siedzących w mojej głowie.

Potem zaczął uderzać mnie po uszach dłońmi na płasko. Równocześnie krzyczał na demony, żeby wyszły z moich uszu.

Frank ciągle trzymał mi ręce nad głową, a ojciec zabrał się teraz do mojego gardła: objął je swoimi ogromnymi dłońmi i zaczął mnie dusić.

– W jego języku siedzi demon. Wynoś się, demonie! Wy-noś się! – wołał i nagle krzyknął: – Jest! Widzę go! Wy-chodzi!

– Jego serce też jest czarne – powiedział w następnej chwili i kilkakrotnie uderzył mnie z taką siłą pięściami w że-bra, iż myślałem, że mi je połamię. W końcu chwycił mnie za biodra, postawił na nogi i klepiąc mnie w okolicach pachwiny rozkazywał demonom opuścić moje lędźwie.

Wreszcie podniósł mnie i Frank odstąpił ode mnie mówiąc:

– Ojciec okazał ci wielką łaskę, Nicky. Byłeś nawiedzo-ny, ale on cię oczyścił.

Ojciec stał na środku pokoju drżąc jak liść. Zakląłem, wypadłem na korytarz i zbiegłem po schodach na ulicę. Dwie godziny później znalazłem w parku pijanego marynarza, śpiącego na ławce. Obróciłem go i wyjąłem mu z kieszeni portfel.

Jeśli ojciec wypędził ze mnie jakieś demony, powrót nie zabrał im dużo czasu.

Dalej byłem dzieckiem Lucyfera. Nawiedzające mnie nocą koszmary stały się jeszcze gorsze. Wizyta ojca chyba pogłębiła mój strach przed przyszłością. Noc po nocy budziłem się co chwilę z krzykiem, dręczony przez powracające zmyry. Podwoiłem wysiłki w celu zwalczenia zżerającego mnie strachu.

Tego lata nasze walki z policją nasiliły się jeszcze bar-dziej. Co noc czatowaliśmy na dachach czekając na przecho-dzących ulicą gliniarzy.

Spuszczaliśmy z dachów worki z pias-kiem, rzucaliśmy butelkami i kamieniami, ale potrzebne nam były pistolety, a zwłaszcza karabiny. A one kosztowały słono. Wpadłem na pomysł łatwego rabunku.

Zauważyłem, że co sobotę o trzeciej nad ranem jakiś czło-wiek podjeżdżał pod jeden z domów czynszowych wielkim Cadillakiem. Chłopcy często mu się przyglądali i dowcipkowali na jego temat. Wiedzieliśmy, że jest z Jersey i że zawsze cze-ka, dopóki Mario Silvario nie wyjdzie do pracy. Doszliśmy do wniosku, że ten gość sypia z żoną Maria.

Pewnej nocy chłopcy namówili mnie i Alberta, żebyśmy podpatrzyli, co oni robią. Weszliśmy więc na drabinkę poza-rową i patrzyliśmy, jak ten facet idzie do łóżka z panią Silvario.

Co sobotę o trzeciej rano wszystko było tak samo. Ten facet parkował swojego Cadillaca, zamykał go i szedł na górę do mieszkania Maria.

Powiedziałem do Manniego, że to powinna być łatwa robota, a on się ze mną zgodził. Poprosiliśmy williego Rzeźnika, żeby przyniósł swój rewolwer i czekał na nas o drugiej w nocy.

Kiedy weszliśmy na klatkę schodową, willie już tam był i sprawdzał swój rewolwer. Wyjął wszystkie naboje i ustawił je szeregiem na stopniu. Gdy zobaczył, że idziemy, załadował broń i wsadził ją za pas.

Umówiliśmy się że willie i Mannie że schowają się za domem. Kiedy ten gość wysiądzie z auta, ja podejdem i spytam go o coś. Wtedy willie i Mannie wyjdą i willie przytrzyma go na muszce, a my obaj obszukamy go i zabierzemy mu forszę. Zegar na budynku na rogu Houston wybił trzecią i willie powiedział, że chce sprawdzić jeszcze raz swój rewolwer, poszedł za dom. Po kilku minutach wrócił i powiedział że wszystko jest w porządku.

Około trzeciej piętnaście Cadillac wyjechał z za rogu i stanął przed bramą.

Willie i Mannie skryli się w ciemności, a ja obciągnąłem swój płaszcz od deszczu i wyszedłem na chodnik. Mężczyzna wysiadł z samochodu. Był wysoki, około czter-dziesiątki, miał na sobie drogi płaszcz i kapelusz. Starannie zamknął samochód i ruszył w kierunku bramy. Ulice były puste. Ciszę naruszały jedynie samochody, przejeżdżające po-bliską główną ulicą.

Mężczyzna zobaczył mnie i zatrzymał się.

– Hej, panie – powiedziałem – zgubiłem się. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak dojść do Lafayette Avenue? Mężczyzna cofnął się i rozejrzał na wszystkie strony.

– Daj spokój, chłopcze. Nie chcę żadnych kłopotów.

– Hej, człowieku, chcę tylko wiedzieć, jak dojść do La-fayette Avenue.

Uśmiechnąłem się i wsadziłem rękę do kieszeni płaszcza, udając, że celuję do niego z ukrytego tam rewolweru.

– Ratunku! Rabują! – wrzasnął mężczyzna cofając się ku swojemu samochodowi.

Przyskoczyłem do niego:

– Zamknij się, bo cię zabiję.

Ucichł na chwilę i popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Potem znowu zaczął krzyczeć:

– Ratunku! Pomocy!

W tym momencie Willie otoczył mu szyję ramieniem, przytknął mu lufę do policzka i wyszeptał:

– Jak się jeszcze raz odezwiesz, to cię zabiję. Mężczyzna zamarł i stał bez ruchu, a my obszukaliśmy go. W kieszeni jego płaszcza znaleźliśmy największy plik pie-niędzy, jaki kiedykolwiek widziałem. Banknoty były zwinięte w rolkę i ściągnięte gumką. Domyśliłem się, że niósł je żonie Maria.

– Hej, popatrz, Willie. Jak ci się to podoba? Ten facet jest bogaty.

Człowieku, popatrz na tę całą forszę.

Cofnąłem się ze śmiechem. Zgarnęliśmy kupę forsy. Zacząłem tańczyć na ulicy i żartować sobie z niego.

– Hej, ty, jak ci pozwolę spać z moją starą, będziesz mi co tydzień dawał trochę forsy?

Mannie włączył się do żartów i zaczął odpinąć mężczyźnie pasek.

– Co człowieku? Chyba nie będziesz miał nic przeciwko zdejmujemy ci portki, żeby wszystkie damy zobaczyły, jaki jesteś przystojny?

Mężczyzna zacisnął zęby i zaczął jęczeć.

No człowieku, robimy ci grzeczność – powiedział Mannie.

Dalej, spuszczaaj portki, bądź dobrym chłopczykiem. Mannie odpiął sprzączkę i mężczyzna znowu zaczął krzyczeć:

Ratunku! Ratu...

Podbiegiem i zatkałem mu usta, na co on z całej siły ugryzł mnie w dłoń.

Odskoczyłem i wrzasnąłem:

– Strzelaj Willie! Kropnij go! On mnie ugryzł!

Willie cofnął się, chwycił rewolwer w obie dłonie, wy-celował mężczyźnie w plecy i pociągnął za spust. Usłyszałem stuknięcie kurka, ale strzał nie nastąpił.

Z całej siły uderzyłem mężczyznę zdrową ręką w brzuch. On zgiął się wpół i wtedy uderzyłem go w bok głowy drugą ręką, ale zabołało mnie tak, że omal nie zemdlałem. Usunąłem się na bok i krzyknąłem:

– Wał w niego, Willie, niech ma za swoje. Willie znowu pociągnął za spust i znowu rewolwer nie wystrzelił. Willie zaczął próbować raz za razem, ale broń nie chciała wypalić.

Wyrwałem rewolwer Willy'emu i uderzyłem mężczyznę w twarz. Usłyszałem stuk metalu o kość. Ciało rozstało się i zobaczyłem biel kości, obramowaną czerwonymi brzegami rany. Mężczyzna próbował jeszcze raz krzyknąć, ale uderzy-łem go w wierzch głowy. Upadł na skraj jezdni. Ręka zwiśla mu w głąb otwartego kanału ściekowego.

Nie czekaliśmy dłużej. W oknach zapalały się już światła i ktoś krzyczał.

Pobiegliśmy ulicą i po chwili skręciliśmy w zaułek prowadzący na zaplecze szkoły. W biegu zerwałem z siebie płaszc i wrzuciłem go do pojemnika na śmieci.

Rozdzieliliśmy się na następnej ulicy. Pobiegłem do domu, wpadłem do pokoju, zamknąłem drzwi na klucz i stanąłem w ciemności łapiąc oddech i śmiejąc się.

To było życie! Zaświeciłem światło i obejrzałem dłoń. Widać było wyraźne ślady zębów tego mężczyzny. Obmyłem rękę winem i owinałem chusteczką. Potem zgasiłem światło i rzuciłem się na łóżko. Usłyszałem syreny policyjne i roześmiałem się. „Ale kupa forsy!” – pomyślałem i sięgnąłem do kieszeni po zwitek banknotów.

Boże! Nie było go tam! Skoczyłem na równe nogi i zacząłem gorączkowo przeszukiwać kieszenie. Nagle olśniło mnie: kiedy zaczęliśmy bić tego człowieka, wetknąłem pieniądze do kieszeni płaszcza. No tak! Płaszcz wrzuciłem do pojemnika śmieci! I rewolwer! Rewolwer Williego też przepadł! Musiałem go

upuścić zaraz potem, jak uderzyłem tego mężczyznę.
Nie mogłem tam teraz wracać. Tam się już roiło od gliniarzy. Musiałem poczekać do rana, ale przez ten czas śmieciarz mógł przyjechać i płaszcz z pieniędzmi mógł przepaść
Upadłem z powrotem na łóżko i z całej siły walnąłem pięściami w materac. Tyle zachodu na nic.

8. ŚMIECH SZATANA..

Przez te dwa lata, w ciągu których byłem przywódcą Mau Mau, zginęło siedemnaście osób. Aresztowany byłem tyle razy, że nie jestem w stanie policzyć. Żyliśmy wszyscy w gan-gach tak, jakby nie było żadnego prawa. Nic nie było dla mnie święte, prócz naszej wzajemnej lojalności, a zwłaszcza tego szczególnie silnego poczucia lojalności w stosunku do Izraela i Manniego. Pewnej nocy Izrael podkradł się pod drzwi mojego pokoju i wręczył do środka gołębia. Potem stał przed drzwiami i śmiał się słysząc, jak krzyczę z przerażenia. Kiedy otworzył drzwi i zaświecił światło, zobaczył mnie ukrytego pod łóżkiem. Gdy wyganiał gołębia przez okno, usiłowałem zamaskować strach śmiechem. Ale kiedy poszedł, położyłem się na łóżku i dygotałem, a w uszach długo jeszcze brzmiał mi łopot skrzydeł. Gdy wreszcie zapadłem w nerwową drzemkę, przyśniło mi się że spadam. Obudziłem się myśląc, że słyszałem śmiech szatana.

Następnego dnia rano Izrael wrócił z wiadomością, że Mannie został zraniony nożem i jest w szpitalu.

Co jest Nicky? – spytał Izrael, kiedy skończył mi o tym opowiadać.

Co się z tobą dzieje?

Miałem żołądek ściśnięty w twardą grudę i czułem, jak krew odpływa mi z twarzy. Mannie i Izrael byli moimi jedynymi przyjaciółmi. Nagle, gdy usłyszałem od Izraela, jak blisko śmierci był Mannie, uczułem, że moje poczucie bezpieczeństwa gdzieś znika. Potrzęsnałem głową.

– Nic mi nie jest. Tylko jestem wściekły. Dostanę się do Manniego, dowiemy się, kto to zrobił, i załatwimy go.

Po południu próbowałem wejść do szpitala, ale w drzwiach stali dwaj policjanci. Wszedłem więc po drabince pożarowej i zastukałem w okno. Mannie otworzył je, ale był tak słaby że ledwo dowlókł się z powrotem do łóżka.

– Kto to zrobił, stary? – spytałem. – Nie będzie tak żeby ktoś cię dziabnął i chodził sobie spokojnie.

– To byli Biskupi. Dorwali mnie samego i dostałem dwa razy. Raz w nogę, a raz w bok.

– Który to? – spytałem. – wiesz który to zrobił?

– Tak. To był ten, co go wołają Joe. On jest ich nowymi wiceprezesem. Cały czas zgrywa się na ważnego faceta. Kiedy uciekał, powiedział, że wrócą i zabiją mnie. Dlatego gliniarze tam stoją.

– Dobra. Wyzdrowiej szybko. A jak wyjdiesz, dopadniemy tego brudnego czarnucha. Zszedłem po drabince i jeszcze tego samego wieczora spotkałem się z Izraelem i Homerem Belanchi, naszym radcą wojennym, żeby omówić akcję odwetową.

Zdecydowaliśmy się na kidnaping.

Na drugi dzień Homer ukradł samochód. Schowaliśmy go za starym magazynem i stał tam przez dwa tygodnie, dopóki Mannie nie wyszedł ze szpitala.

Na akcję wyruszyliśmy na kilka dni przed świętami Boże-go Narodzenia 1957 r. Homer prowadził samochód. Po drodze zabraliśmy Manniego, który ciągle jeszcze kulał i podpierał się laską. Augie i Paco usiedli ze mną z tyłu. Powoli prze-jechaliśmy ulicą St. Edward obok ośrodka katolickiego. Tego wieczora odbywała się tam zabawa z okazji nadchodzących świąt Bożego Narodzenia i przed drzwiami stało dwóch poli-cjantów. Nie widać było żadnego Biskupa w okolicy, więc po-jechaliśmy do cukierni i zaparkowaliśmy po przeciwnej stronie jezdni. Była już prawie jedenasta.

Powiedzieliśmy Manniemu, żeby zaczekał w samochodzie, a sami poszliśmy na drugą stronę ulicy do cukierni. w środku było kilku Biskupów.

– Hej, chłopaki, szukamy naszego przyjaciela, wicepre-zesa Biskupów.

Słyszeliśmy, że chce zawrzeć pokój i przy-szliśmy pogadać z nim o tym. On tu gdzieś jest? – spytałem.

Jeden z Biskupów odezwał się:

– Mówisz o Joe? Tak, jest tam w kącie. Całuje dziewczynę.

Podeszliśmy do kąta, gdzie na podłodze siedział z dziewczyną Joe. Popatrzył na nas i wtedy Augie powiedział:

– Człowieku to my, Mau Mau. Przyszliśmy po ciebie. Joe próbował wstać, ale Augie postawił mu nogę na ramieniu i pchnął go z powrotem na podłogę. Obaj mieliśmy pistolety w kieszeniach i Joe widział, że celujemy do niego. Zaczął krzyczeć. Augie wyciągnął pistolet i skierował w stronę pozostałych chłopaków. Nie ruszać się. Kto się ruszy pierwszy, ten zginie. Właściciel cukierni wyglądał tak, jakby zaraz miał ze strachu zrobić jakieś głupstwo. Augie powiedział do niego:

Nie zrobimy ci nic złego. Siedz spokojnie, za chwilę nas tu nie będzie. Zwróciłem się do Joe'go, który ciągle siedział na podłodze obok przerażonej dziewczyny.

– Słuchaj, gnojku, masz do wyboru dwie możliwości. Albo idziesz z nami, albo zabijemy cię na miejscu. Chcesz chwilę o tym pomyśleć?

Joe zaczął coś jąkać, na co ja powiedziałem:

– Dobra. Fajnie, żeś to już przemyślał.

Szarpnięciem postawiłem go na nogi. Gdy wychodziliśmy, Izrael trzymał resztę chłopaków na muszce.

– Powiedzcie Biskupom, że odwieziemy go, kiedy nauczymy go co to znaczy dziabnąć kogoś z Mau Mau – powiedział Augie.

Zamknęliśmy drzwi i pobiegliśmy z Joe do auta. Posa-dziliśmy go na tylnym siedzeniu. Augie i ja usiedliśmy po bokach z wycelowanymi w niego pistoletami. Homer ruszył i pojechaliśmy do opuszczonego domu niedaleko Manhattan Bridge. Wprowadziliśmy Joe do środka, zakneblowaliśmy mu usta i przywiązali go do krzesła.

– Może cię zabijemy szybko, a może zostaniesz tu do końca życia – warknąłem do niego. Augie splunął mu w twarz i wyszliśmy, ryglując za sobą drzwi. Była północ. Wróciliśmy po dwóch dniach, przyprawiając ze sobą 25 Mau Mau. Joe leżał razem z krzesłem na podłodze. Próbował się wyswobodzić, ale był zbyt silnie przywiązany. Podnieśliśmy go i włączyliśmy światło. Przez dwie doby nie miał w ustach jedzenia ani wody. W domu było mroźno. Teraz patrzył na nas z przerażeniem i mrugał nerwowo, gdy stanęliśmy wokół niego.

Zawołałem Manniego, żeby podszedł i stanął przed Joem

– Mannie, czy ten chłopak poranił cię nożem i groził że cię zabije? Mannie podszedł, ciężko wspierając się na lasce.

– Tak, to on. To właśnie ten.

Wyciągnąłem knebel z ust Joe'go. Wargi i język miał opuchnięte i popękane, gardło wyschnięte. Chciał coś powie-dzieć, ale z krtani wydobyło mu się tylko chrypienie.

– Patrzcie, przyznaje się, że to on – powiedziałem ze śmiechem.

Augie chwycił Joe'go za długie włosy i przechylił mu głowę do tyłu. Mannie strzepnął popiół z papierosa, który przyłożył do szyi Joe'go. Oczy chłopaka stały się okrągłe z przerażenia i Mannie roześmiał się, delikatnie przytykając żarzące się papierosa do napiętej skóry. Joe krzyknął z bólu i Mannie odjął papierosa.

– Jeszcze raz – powiedział Augie. – On cię dwa razy uderzył nożem.

Tym razem Mannie powoli rozgniółł papierosa na ustach Joe'go specjalnie wpychając go pomiędzy zaciśnięte, popękane wargi. Chłopakowi drgnęła broda i przesunął suchym językiem po ognistoczerwonych pęcherzach, próbując pozbyć się przylepionego popiołu i okruchów tytoniu.

– No, chłopaki, teraz wasza kolej – powiedział Augie.

Wszyscy chłopcy zapalili papierosy i zbliżyli się. Augie znowu chwycił Joe'go za włosy i odciągnął mu głowę do tyłu. Chłopak krzyknął ze strachu, ale z gardła wydobyło mu się tylko śmieszne skrzypienie, podobne do dźwięku pocierania papierem ściernym o drucianą siatkę. Chłopcy zaczęli kolejno gasić papierosy na jego twarzy i szyi. Joe krzyczał bez przerwy, aż wreszcie zemdlał z bólu.

Odwiązaliśmy go i upadł na podłogę, w kurz i pajęczyny. Przeklinając głośno chłopcy zaczęli go kopać, łamiąc mu zebra i szczękę. Potem wrzuciliśmy go do samochodu i pojechaliśmy do cukierni w rejonie Biskupów. Augie przypiął mu do pleców kartkę z napisem: „Nikt, kto zrani Mau Mau, nie będzie sobie spokojnie chodził”. Powoli podjechaliśmy pod cukiernię, wypchnęliśmy bezwładne ciało na

ulicę i z rykiem silnika od-jechaliśmy.

W dzień Bożego Narodzenia spotkałem Manniego z Giną. Siedzieliśmy na stołkach przed barem, paliliśmy papierosy i śmialiśmy się z tego, co zrobiliśmy tydzień wcześniej.

W pewnej chwili spojrzałem przez okno i zobaczyłem pięciu biskupów przechodzących przez ulicę. Rozejrzałem się i zobaczyłem, że chociaż znajdujemy się w samym sercu terytorium Mau Mau, jesteśmy sami. Trąciłem Manniego:

– Stary, Biskupi. Zwiewajmy stąd.

Ale było już za późno. Zobaczyli nas, gdy chowaliśmy się kontuarem, żeby się wymknąć przez boczne drzwi.

Wyskoczyliśmy na ulicę, przebiegliśmy przez jezdnię i wpadliśmy w zaułek.

Biegliśmy najszybciej, jak mogliśmy, ale osłabiony Mannie nie nadażał za mną.

Kiedy wybiegliśmy zza rogu domu na ulicę, Biskupi już tam na nas czekali.

Opuściłem głowę i przebiłem się przez nich. Byli zasko-czeni moją odwagą i nie przygotowani na atak. Uderzyłem jednego z nich głową w brzuch. Wywrócił się na chodnik i po-jechał kawałek na siedzeniu. Oparłem się ręką o maskę

za-parkowanego samochodu i skoczyłem ponad nią na jezdnię. Nadjeżdżająca

ciężarówka zaryczała na mnie klaksonem, gdy przebiegłem przed nią, pędząc ku

ocaleniu. Miałem nadzieję, że Mannie wykorzystał mój atak i ucieka za mną.

Nagle zorientowałem się, że Manniego przy mnie nie ma, obejrzałem się. Żaden

Biskup mnie nie gonił. Zatrzymałem się i wróciłem kawałek, żeby zorientować

się w sytuacji. Zo-baczyłem, jak Mannie kuli się przy ścianie domu, a cała

piątka Biskupów bije go pięściami i kopie w brzuch i pachwinę.

Niespodziewanie w słońcu błysnęło ostrze noża. Pobiegłem do nich i sięgając po swój nóż krzyknąłem:

– Dranie! Parszywe świnie! Zostawcie go! Zabiję was!

Ale było już za późno. Chłopak z nożem zamachnął się i z całej siły wbił go

Manniemu od dołu między zebra. Mannie szarpnął się i wyprostował. Stał przez

chwilę, po czym powoli upadł twarzą na beton. Gdy już leżał, tamten jeszcze

raz z całej siły wbił mu nóż w piersi. Zatrzymałem się na krawężniku. Nie

przy puszczałem, że będą chcieli go zabić. Wpadłem w szal. Skoczyłem między

nich tnąc nożem i waląc pięścią na lewo i na prawo, Biskupi odskoczyli i

uciekli ulicą w obie strony. Mannie leżał na chodniku. Z ust i nosa płynęła mu

krwawość, a w miejscu, w którym wyciekała spod skórzanej kurtki, zaczęła już

tworzyć się kałuża.

Leżał na brzuchu, z głową skrzyconą w bok i patrzył na mnie oczyma pełnymi przerażenia. Próbował coś powiedzieć, ale z ust wydobyły mu się jedynie krwawe bańki.

Ukląknąłem i odwróciłem go na plecy. Uniosłem mu głowę i ułożyłem na swoich kolanach, przytulając ją do mojej skórzanej kurtki. Jego krew plamiła mi spodnie i czułem ją, lepka, na rękach.

Ciągle próbował coś powiedzieć. Oczy miał okrągłe ze strachu. Ale kiedy

otwierał usta, słyszałem tylko bulgotanie w jego płucach i na wargi

występowała mu krwawa piana,

– Mannie, Mannie! – krzyknąłem. – Nie umieraj! Nie umieraj, Mannie!

Mannie lekko rozchylił usta i usłyszałem, jak uchodzi z niego powietrze. To

brzmiało tak, jak cichy syk opony osiadającej na jezdni. Głowa Manniego

obróciła się luźno w moich dłoniach i poczułem, jak pod kurtką zapada mu się

klatka piersiowa.

Siedziałem i wytrzeszczałem na niego oczy. Był martwy!

– Mannie! Mannie! Mannie! – wrzasnąłem na całe gar-dło, głosem pełnym dzikiego przerażenia, którym napełniło mnie to, czego byłem świadkiem.

Usłyszałem głosy ludzi. Jakaś kobieta krzyczała:

– Hej, co się tam dzieje!

Nie mogłem dłużej zostać. Biorąc pod uwagę to, co miała na mój temat w kartotece policja, było pewne, że zostałem oskarżony.

Głosy były coraz bliżej. Powoli wstałem z kolan. Bez-władne ciało Manniego

ciężko opadło na chodnik. Gdy biegłem zaułkiem na drugą ulicę, każdy krok

brzmiał mi w uszach jak głuchy stuk jego głowy o twardy beton. Przed oczyma

wciąż miałem Manniego, leżącego tam na chodniku z otwartymi, przerażonymi

oczyma, pokrytymi szkliwem śmierci. Bałem się.

Biegłem całą drogę do mojego mieszkania. Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, porwałem

rewolwer z szafy. Dysząc ciężko usiadłem na skraju łóżka i drżąc wymierzyłem w zamknięte drzwi. Bałem się śmiertelnie.

Nigdy jeszcze nie widziałem śmierci z tak bliska. Nigdy nie stanąłem z nią twarzą w twarz. To był mój przyjaciel. Śmiał się i rozmawiał, a za chwilę leżał na ulicy, bluzgając krwią. Nie mogłem sobie z tym poradzić. Myślałem, że jestem odważny i niczego się nie boję. Ale śmierć – to było dla mnie zbyt wiele. Zrobiło mi się niedobrze. Zaczęły mną szar-pać torsje. wymiotowałem długo. Chciało mi się płakać, ale nie wiedziałem, jak to się robi.

Zerwałem się na równe nogi, rozpędziłem się i uderzyłem w ścianę.

– Nie boję się! Nie boję się! – krzychałem w kółko.

Byłem jak opętany. Popatrzyłem na swoje ręce i zobaczyłem zaschniętą krew na skórze i pod paznokciami. Znowu przed oczyma stanęły mi jego popękane wargi i szklisty wzrok. Zacząłem walić głową o ścianę i krzyczeć.

Nikt mnie nie może zranić! Nikt mnie nie może zranić! Nikt...

Wyczerpany upadłem na podłogę i ciężko dyszałem. Strach! Przytłaczający, przeraźliwy, nieodparty, nieopanowany strach! Było to tak, jakby moje nocne koszmary stały się rzeczywistością. Leżałem na podłodze, objawszy rękami klatkę piersiową i kołysałem się bez ustanku, jęcząc i krzycząc. Wy-dawało mi się, że ściany pokoju zbliżają się do mnie, a sufit odjeżdża w górę, aż dziesięć kilometrów. Leżałem na małym prostokącie podłogi, a drzwi i okna były tysiące metrów nade mną. Jak bym był wciśnięty na dno prostokątnej, wysokiej na dziesięć kilometrów słomki do lemoniady, bez szans ucieczki. Wówczas u samej góry pojawiła się gęsta czarna chmura i zaczęła opadać powoli w dół tej słomki, prosto na mnie. Du-siłem się. Rozchyliłem wargi, żeby krzyknąć, ale z ust wydo-była mi się tylko krwawa piana. Drapałem paznokciami ściany chcąc się jakoś wydostać, ale głowa wciąż opadała mi i ude-rzała w podłogę z takim samym stukiem, jak głowa Manniego, kiedy uderzyła o beton staczając się z moich kolan.

Czarna chmura opadła; leżąc na plecach wyciągnąłem w górę ręce i nogi próbując ją odepchnąć. To była chmura śmierci – śmierci – śmierci – i przybyła po mnie. Usłysza-łem cichy syk powietrza uchodzącego z moich płuc. Szarpnęły mną torsje i próbowałem krzyknąć, ale z ust wydobyło mi się tylko trochę krwawej piany, a potem ten głośny bulgot, który słyszałem w piersi Manniego, gdy krew przez płuca rzuciła mu się do gardła. Słyszałem ten bulgot we własnej piersi. Nagle czarna chmura pochłonięła mnie całkiem i usłyszałem głuchy śmiech odbijający się od ścian. Śmiech ten brzmiał bez końca. Śmierć... śmierć... śmierć... To był śmiech szatana. Gdy się ocknąłem, był już dzień. Słońce próbowało zajrzeć w moje brudne okno. Leżałem wciąż na podłodze, skulony, brudny i zmarznięty. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były moje dłonie, ciągle jeszcze pokryte zakrzepłą, zeschniętą krwią.

9. NA DNO.

Było to na trzy dni przed wielkanocą. Staliśmy we czterech na rogu Auburn i St. Edward, przed kościołem św. Edwarda i Michała. Wiedzieliśmy, że księża w czasie nabożeństw w tygodniu wielkanocnym zbierają dużo pieniędzy i planowaliśmy włamanie do kościoła.

Z komisariatu osiedlowego po drugiej stronie ulicy wy-szedł policjant i zobaczył nas, opartych o żelazne ogrodzenie kościoła. Przeszedł przez jezdnię i powiedział:

– Wynocha stąd, portorykańskie świny! Nie poruszyliśmy się. Staliśmy z rękami przewieszonymi przez ogrodzenie i patrzyliśmy na niego bez wyrazu.

– Powiedziałem, żebyście zjeżdżali, gnojki – powtórzył. Chłopcy powoli odeszli, ale ja się nie ruszyłem. Gliniarz popatrzył na mnie ze wściekłością.

– Mówię ci, gnojku jeden, żebyś się ruszył.

Zamierzył się pałką, jak by mnie chciał uderzyć. Pluna-łem na niego. Gliniarz zamachnął się na mnie. Uchyliłem się i pałka uderzyła w ogrodzenie. Rzuciłem się na niego, a on chwycił mnie za szyję. Był dwa razy większy ode mnie, ale ja miałem zamiar go zabić, jeśli się tylko mi to uda. Sięgnąłem po nóż, ale w tej samej chwili zobaczyłem, że on odpina kaburę i wyciąga rewolwer.

Równocześnie zaczął wołać o pomoc.

Szybko odskoczyłem i podniosłem ręce.

– Poddaję się! Poddaję się!

Policjanci wysypali się z komisariatu i podbiegli do nas. Złapali mnie i

powlekli z powrotem przez jezdnię i po schodkach do środka.

Gliniarz, który się przedtem ze mną szarpał, uderzył mnie silnie w twarz. Poczułem krew na wargach.

- Jesteś ważniak z rewolwerem, ale w środku jesteś tchórz, jak reszta tych parszywych gliniarzy – powiedziałem.

Uderzył mnie znowu. Udałem, że zemdlałem, i upadłem na podłogę.

- Wstawaj, ty brudna świnię. Tym razem wysłemy cię stąd na dobre.

Gdy ciągnęli mnie do drugiego pokoju, usłyszałem, jak dyżurny sierżant mruczy:

- Ten chłopak jest chyba szalony. Powinni go wsadzić na dobre, zanim kogoś zabije.

Już wiele razy policja mnie łąpała, ale nigdy nie mogli mnie zatrzymać. Nikt nigdy nie świadczył przeciwko mnie, bo wiadano, że kiedy wyjdę, to zabiję takiego albo Mau Mau zabiją w moim imieniu.

Tym razem przewieźli mnie przez miasto i wsadzili do celi. Strażnik popchnął mnie, gdy wchodziłem do środka. Od-wróciłem się i skoczyłem na niego z pięściami. Wtedy on wyciągnął mnie na korytarz, inny gliniarz mnie trzymał, a on bił mnie pięściami.

- Jest tylko jeden sposób obchodzenia się z tymi sk-synami: wybić z nich diabła – powiedział. - To banda śmier-dzących, brudnych świń. Mamy tu pełno czarnuchów, włoskich świń i portorykańskich brudasów. Ty jesteś taki sam jak oni wszyscy i jeśli będziesz podskakiwał, to pożałujesz, że żyjesz. Wepchnęli mnie z powrotem do celi. Leżałem na podłodze i przeklinałem ich.

- No co, łobuzie? – powiedział strażnik, zamykając drzwi - Nie wstajesz i nie podskakujesz? Nie jesteś taki twardy, co?

Zagryzłem wargi i nie odpowiedziałem. Ale postanowiłem, że zabiję go kiedy wyjdę z więzienia.

Na drugi dzień strażnik wrócił do mojej celi. Gdy otworzył drzwi, znowu skoczyłem na niego, aż zatoczył się na korytarz. Uderzył mnie kluczami w głowę. Poczułem krew płynącą z rozcięcia nad okiem, dalej, bij mnie! – wrzasnąłem. - Ale jeszcze przyjdę do twojego domu i zabiję twoją żonę i dzieci. Tylko poczekaj, zobaczysz!

Zostałem zatrzymany za drobne wykroczenie: opór przy aresztowaniu i niepodporządkowanie się poleceniom policjanta.

Ale ciągle pogarszałem swoją sprawę. Strażnik wtrącił mnie z powrotem do celi i zamknął drzwi na klucz.

- Dobra, portorykański brudasie. Siedź tu, aż zgnijesz

Rozprawa odbyła się w następnym tygodniu. Założyli mi kajdanki i zaprowadzili na salę rozpraw. Siedziałem, a policjant czytał, o co jestem oskarżony.

Sędzia, mężczyzna po pięćdziesiątce o surowej twarzy, w okularach bez oprawy, powiedział:

- Chwileczkę, czy ten chłopak nie stawał już kiedyś przede mną?

- Tak, panie sędzio – odpowiedział policjant. - To już jego trzecia rozprawa w tym sądzie. Oprócz tego był już 21 razy aresztowany i oskarżony o wszystko: od rozboju po usiłowanie zabójstwa.

Sędzia popatrzył na mnie.

- Ile masz lat, młody człowieku?

Siedziałem na krześle zgarbiony i patrzyłem w podłogę.

- Wstań, kiedy do ciebie mówię! – powiedział ostro sędzia.

Wstałem i popatrzyłem na niego.

- Pytałem cię, ile masz lat – powtórzył surowym tonem.

- Osiemnaście – odpowiedziałem.

- Masz osiemnaście lat, byłeś już 21 razy aresztowany i trzy razy stawałeś przed tym sądem. Dlaczego rodzice się tobą nie zajmą?

- Są w Puerto Rico – odpowiedziałem.

- Z kim mieszkasz?

- Z nikim. Nie potrzebuję nikogo. Mieszkam sam ze sobą.

- Jak długo mieszkasz samotnie?

- Odkąd przyjechałem do Nowego Jorku trzy lata temu.

- Panie sędzio – przerwał policjant – to zły chłopak.

On jest prezesem Mau Mau. On jest przyczyną wszystkich kłopotów, jakie mamy w osiedlu. Nigdy jeszcze nie spotkałem chłopaka tak złego i okrutnego jak on. On jest jak zwierzę; a jedyne, co można zrobić ze wściekłym psem, to zamknąć go w klatce. Jeśli wolno mi doradzić, byłoby dobrze, Panie sędzio, wsadzić go do

więzienia, dopóki nie skończy 21 lat; może wtedy udałoby się nam przywrócić jako taki porządek w Fort Greene.

Sędzia popatrzył na policjanta.

– Mówi pan, że on jest jak zwierzę? Jak wściekły pies?

Właśnie, panie sędzio. I jeśli pan go wypuści, on do wieczora zdąży kogoś zabić. Tak, myślę, że ma pan rację – powiedział sędzia, patrząc znowu na mnie. – Ale myślę, że musimy chociaż spróbować odkryć, co sprawia, że on jest jak zwierzę. Dlaczego jest taki zły. Dlaczego chce nienawidzić i kraść, walczyć i zabijać. Przez nasze sądy przechodzą codziennie setki takich jak on i myślę, że ten kraj ma niejaki obowiązek próbować ocalić część z tych chłopców, a nie po prostu zamykać ich na resztę życia. I wierzę, że gdzieś głęboko w tym „wściekłym psie” kryje się dusza, która może być zbawiona.

Zwrócił się do policjanta.

Nie sądzi pan, że powinniśmy spróbować?

Nie wiem, panie sędzio – powiedział policjant. – Te szczeniaki zabiły trzech policjantów podczas ostatnich dwóch lat i mieliśmy tam pięćdziesiąt morderstw od czasu, kiedy pracuję w tamtym rewirze. Można na nich wpłynąć tylko przemocą. Wiem też, że jeśli go pan wypuści, będziemy go musieli znowu zamknąć, tylko tym razem prawdopodobnie za morderstwo.

Sędzia popatrzył na leżący przed nim arkusz papieru.

– Cruz, tak? Podejź tu, Nicky Cruz, i stań przed stołem sędziowskim.

Podszedłem na środek sali. Poczułem, że zaczynają mi drżeć kolana. Sędzia pochylił się nad stołem i popatrzył mi w oczy.

– Nicky, mam chłopca w twoim wieku. Chodzi do szkoły. Mieszka w dobrym domu, w miłym sąsiedztwie. Nie sprawia nam kłopotów, gra w szkolnej drużynie baseballowej i ma dobre stopnie. Nie jest wściekłym psem jak ty. Nie jest wściekłym psem, dlatego że ma kogoś, kto go kocha. Bez wątpienia ty nie masz nikogo, kto by cię kochał, i ty też nikogo nie kochasz. Nie jesteś w stanie kochać. Jesteś chory, Nicky, ale chcę wiedzieć, dlaczego. Chcę wiedzieć, co zmusza cię do takiej nienawiści. Nie jesteś normalny jak inni chłopcy. Ten policjant ma rację. Jesteś zwierzęciem. Żyjesz jak zwierzę i zachowujesz się jak zwierzę. Powinienem potraktować cię jak zwierzę, ale chcę zrozumieć, dlaczego jesteś anormalny. Oddam cię pod nadzór naszego sądowego psychologa, doktora Johna Goodmana. Nie mam kwalifikacji, by ocenić, czy jesteś psychopatą, czy nie. On cię przebada i podejmie ostateczną decyzję. Kiwnąłem głową. Nie wiedziałem, czy ma zamiar mnie wypuścić, czy zatrzymać w areszcie, ale zrozumiałem, że wyśle mnie do więzienia – przynajmniej nie od razu.

– I jeszcze jedno, Nicky – powiedział sędzia. – Jeśli wplącesz się w coś jeszcze, jeśli usłyszysz choć jedną skargę na ciebie, jeśli w ogóle zachowasz się niewłaściwie, uznam że jesteś całkowicie niezdolny do przyjmowania poleceń i odpowiedzialnego reagowania i wyśle cię niezwłocznie do Elmiry do obozu pracy. Jasne?

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem. Samego mnie to zaskoczyło. Po raz pierwszy w życiu powiedziałem do kogoś: „proszę pana”. Ale w tym wypadku wydało mi się to zupełnie na miejscu.

Na drugi dzień rano przyszedł do mojej celi psycholog sądowy, dr John Goodman. Był to wysoki mężczyzna z przed-wcześnie posiwiałymi skroniami i głęboką szramą na twarzy. Miał wystrzępiony kołnierzyk od koszuli i niewyglansowane buty.

– Polecono mi zbadać twój przypadek – powiedział sia-dając na mojej pryczy i zakładając nogę na nogę – Oznacza to, że musimy przez jakiś czas przebywać razem.

– Pewnie, ważniaku. Masz zupełną rację.

– Słuchaj, łobuzie, rozmawiam codziennie z dwudziesto-ma takimi szczeniakami jak ty. Spróbuj jeszcze raz odpyskować, a pożalujesz. Zaskoczyła mnie jego gwałtowna reakcja, ale odpowie-działem aroganckim tonem:

– Dużo gadasz jak na łapacza wariatów. A może chciał-byś, żeby cię którejs nocy odwiedzili Mau Mau?

Zanim zdążyłem się ruszyć, doktor złapał mnie za ko-szulę na piersi i niemal podniósł w powietrze.

– Słuchaj, pyskaczu. Byłem cztery lata w gangach i trzy lata w marynarce wojennej, zanim poszedłem na studia. Wi-dzisz tę bliznę? – odwrócił głowę, żeby zobaczyć głęboką bliznę biegnącą przez cały policzek i szyję aż po

kołnierzyk koszuli. – Zarobiłem to, kiedy byłem w gangu, ale wcześniej prawie zatłukłem 6 innych łobuzów kijem baseballowym. Jak chcesz iść na udry, to trafiłeś na właściwego człowieka.

Odepchnął mnie od siebie. Prycza podcięła mi nogi i usiadłem na niej z rozmachem.

Splunąłem na podłogę, ale nie powiedziałem nic.

Doktor powiedział znowu rzeczowym tonem:

– Jutro rano muszę pojechać do Bear Mountain. Możesz jechać ze mną i porozmawiamy.

Przez cały następny dzień psycholog prowadził nieformalne badanie.

wyjechaliśmy z miasta na północ, w głąb stanu Nowy Jork. Był to mój pierwszy wyjazd, od przyjazdu z Puerto Rico, za asfaltową dżunglę. Czułem dreszcz podniecenia, czasem byłem ponury i arogancko odpowiadałem na jego pytania.

Po krótkiej wizycie w klinice psycholog zabrał mnie do zoo w parku miejskim. Szliśmy alejką, wzdłuż klatek. Zatrzymałem się i zacząłem patrzeć na dzikie zwierzęta, chodzące za kratami tam i z powrotem.

Lubisz ogrody zoologiczne, Nicky? – spytał doktor.

Nie cierpię – odparłem. Odwróciłem się od klatek i ruszyłem alejką z powrotem. O, dlaczego?

Nie cierpię tych śmierdzących zwierzątek. Zawsze łażą. Zawsze chcą się wyrwać.

Usiedliśmy na ławce w parku i rozmawialiśmy. Doktor John wyjął z teczek zeszyty i poprosił mnie, żebym narysował kilka rzeczy. Konie. Krowy. Domy. Narysowałem dom z wielkimi drzwiami frontowymi.

– Dlaczego narysowałeś w tym domu takie wielkie drzwi? – spytał.

– Żeby głupi łapacz wariatów mógł tam wleźć – odpowiedziałem.

– Nie przyjmuję tego. Daj mi inną odpowiedź.

– No dobra, żebym mógł szybko się wydostać, jak mnie ktoś będzie gonił.

– Ludzie zwykle rysują drzwi, żeby się dostać do środka.

Ja nie, ja chcę się wydostać.

Narysuj mi teraz drzewo.

Narysowałem drzewo. Potem pomyślałem, że na drzewie powinien siedzieć ptak, więc narysowałem ptaka na czubku drzewa.

Dr Goodman popatrzył na rysunek i powiedział:

– Lubisz ptaki, Nicky?

Nienawidzę ich.

Wydaje mi się, że ty wszystkiego nienawidzisz.

Tak. Może. Ale najbardziej ptaków.

Dlaczego? – spytał – Bo są wolne?

W oddali głucho przetoczył się grzmot. Zaczynałem się bać pytań tego człowieka. Wziąłem ołówek i przedziurawiłem wizerunek ptaka.

Dobra. Zapomnijmy o ptaku. Już go zabiłem.

– Uważasz, że możesz się pozbyć wszystkiego, czego się boisz, zabijając. Prawda?

– Co, do diabła, myślisz, że kto ty jesteś, ty głupi szarlatan! –

krzyknąłem. Zerwałem się z ławki, stanąłem przed nim i zacząłem krzyczeć na cały głos: – Myślisz, że możesz mi zadawać idiotyczne pytania i wszystkiego

się o mnie dowiedzieć? Nie boję się nikogo. Spytaj Biskupów, to ci o mnie opowiedzą. Nie ma w Nowym Jorku gangu, który chciałby się bić z Mau Mau. Nie boję się nikogo!

Dr Goodman ciągle coś pisał w swoim notesie. Spojrzał tylko na mnie i powiedział:

– Siadaj, Nicky. Mnie tym nie zaimponujesz.

– Słuchaj, człowieku, jak będziesz ze mną zadzierał, to nie pożyjesz długo.

Stałem przed nim roztrzęsiony. W tym momencie zahuczał nowy, o wiele silniejszy grzmot. Dr Goodman popatrzył na mnie i chciał coś powiedzieć, ale na alejkę wokół nas zaczęły padać krople deszczu. Doktor pokręcił głową.

– Lepiej chodźmy, zanim nas zleje – powiedział.

Ledwo zatrzasnęliśmy drzwi od samochodu, lunął rześisty deszcz i ciężkie krople zaczęły walić w przednią szybę. Dr John długo siedział bez słowa, zanim włączył silnik i ruszył.

– Nie wiem, Nicky – powiedział. – Po prostu nie wiem.

Droga powrotna upłynęła w ponurym nastroju. Deszcz bezlitośnie walił w blachę samochodu. Dr John prowadził bez słowa. Ja byłem pogrążony w rozmyślaniach.

Przygnębiała mnie świadomość, że wracamy do Nowego Jorku. Myśl o areszt-cie budziła we mnie lęk. Nie mogłem znieść tego, że zamykają mnie do klatki jak dzikie zwierzę.

Gdy wjechaliśmy pomiędzy setki wysokich brudnych do-mów czynszowych, deszcz przestał padać, ale słońce już za-szło. Czułem się, jakbym wjeżdżał do pułapki. Chciało mi się wyskoczyć z samochodu i uciekać. Ale zamiast skręcić w stronę aresztu, dr John zwolnił i skręcił w Lafayette, w kierunku osiedla Fort Greene.

– Nie wieszysz mnie do aresztu? – spytałem zaskoczony.

– Nie. Mam uprawnienia do zamknięcia cię albo wypuszczenia. Uważam, że więzienie nie wyjdzie ci na dobre. Uśmiechnąłem się.

– Tak, człowieku. Teraz gadasz do rzeczy.

Nie, nie rozumiesz mnie. Nie sądzę, żeby cokolwiek było dla ciebie dobre. Roześmiałem się.

A co, doktorze, uważasz, że mój stan jest beznadziejny? Doktor zatrzymał samochód na rogu Lafayette i Fort Greene Place.

Właśnie, Nicky. Od wielu lat pracuję z takimi chłopakami. Mieszkałem w getcie. Ale nigdy jeszcze nie widziałem chłopaka tak twardego, zimnego i dzikiego jak ty. Nie zareagowałeś pozytywnie na ani jedną z rzeczy, które mówiłem.

Nienawidzisz wszystkich i boisz się każdego, kto mógłby za-grozić twojemu bezpieczeństwu.

Otwarłem drzwi samochodu i wysiadłem.

Dobra, możesz iść do diabła, doktoru. Nie potrzebuję ani ciebie, ani nikogo innego.

Nicky – powiedział doktor, gdy odwracałem się, żeby odejść. – Powiem ci wprost: jesteś skazany. Nie ma dla ciebie nadziei. I jeśli się nie zmienisz, pójdiesz prostą drogą do więzienia, na krzesło elektryczne i do piekła.

– Tak? Dobra. Spotkamy się tam – odpowiedziałem.

– Gdzie? – spytał doktor.

– W piekle, człowieku – powiedziałem ze śmiechem. Doktor pokiwał głową i odjechał w ciemność. Próbowałem dalej się śmiać, ale śmiech zamarł mi na ustach. Stałem na rogu ulicy z rękami w kieszeniach płaszczka od deszczu. Była siódma wieczór i ulice były pełne bezimiennych twarzy, śpieszących się nóg... idących, idących, idących. Czułem się jak liść na powierzchni ludzkiego morza, unoszony w różne strony przez własne bezsensowne namiętności. Przy-głądałem się ludziom. Nikt nie stał w miejscu. Niektórzy biegli. Był maj, ale wiatr był zimny. Smagał mi nogi i całego przej-mował mnie chłodem.

Słowa psychologa wciąż brzmiały mi w uszach jak zacięta płyta: „Pójdiesz prostą drogą do więzienia, na krzesło elek-tryczne i do piekła”.

Nigdy naprawdę nie przyjrzałem się sobie. O, lubiłem oglądać się w lustrze.

Zawsze byłem czystym chłopakiem, co jest trochę nietypowe jak na Portorykańczyka z mojej dzielnicy. W przeciwieństwie do chłopaków z gangu dbałem o swój wygląd. Starąłem się chodzić w krawacie i kolorowych koszulach. Starąłem się zawsze, by moje spodnie były wyprasowane, i dbałem o swoją cerę. Nie chciałem palić zbyt dużo, bo to czyniło mój oddech nieświeżym. Ale w środku nagle poczułem się brudny. Nicky, którego widziałem w lustrze, nie był prawdziwy. A ten Nicky na którego patrzyłem teraz, był brudny... obrzydliwy... zgubiony.

Szafa grająca w Papa John's ryczała głośną bitpopową melodię. Samochody jechały zderzak przy zderzaku. Trąbiły klaksony, przeszywały powietrze gwizdki, krzyczeli ludzie. Patrzyłem na ich puste, bezimienne twarze. Nikt się nie uśmiechał. Wszyscy się spieszyli. Niektórzy byli pijani. Większość płaczących się pod barem narkomanów była „nagrzana”. To był prawdziwy Brooklyn. To był prawdziwy Nicky.

Ruszyłem w górę ulicy, w kierunku mojego domu na Fort Greene. Wiatr rzucał gazety na żelazne ogrodzenia i kraty przed sklepami. Na chodniku poniewierały się rozbite butelki i puste puszki po piwie. Woń tłustych potraw niosła się po ulicy, przyprowadzając mnie o mdłości. Chodnik drgał pod moimi stopami, gdy pociągi metra z łoskotem przelatowały pod nim i znikwały w niewiadomej ciemności. Dogoniłem jakąś starą, nędznie wyglądającą kobietę. Po-wiedziałem „starą”, ale od tyłu nie mogłem rozpoznać jej wie-ku. Była niska, niższa ode mnie. Głowę miała ciasno owiniętą czarnym szalikiem. Spod jego brzegów wystawały farbowane, rudo-żółte włosy. Miała na sobie starą marynarską kurtkę, za dużą o

jakieś sześć numerów. Jej chude nogi w czarnych spodniach sterczały spod kurtki jak wykałaczki. Miała męskie pół-butę ubrane na boso stopy.

Nienawidziłem jej. Symbolizowała wszystko co brudne i plugawe w moim życiu. Sięgnąłem do kieszeni po nóż. Nie wygłupiałem się wcale. Zastanawiałem się, jak mocno powinniem pchnąć, żeby przebić gruby filc kurtki i wbić ostrze w jej plecy. Doznałem ciepło lepkiego uczucia na myśl o krwi ściekającej z brzegu jej kurtki i zbierającej się w kałużę na ulicy.

W tym momencie z przeciwka nadbiegł mały piesek i skręcił, żeby ją ominąć. Kobieta odwróciła głowę w bok i patrzyła na niego nienawidzącym spojrzeniem. Poznałem ją. Była to jedna z tych zużytych prostytutek, które mieszkały w naszym bloku. Po jej oczach – opadających powiekach i pustynnym wzroku – poznałem, że jest po zastrzyku heroiny.

Zostawiłem nóż, myśląc znowu o sobie, i zacząłem ją wyprzedzać. Wtedy zobaczyłem jej bezmyślne spojrzenie skierowane na jaskrawoczerwony balonik, pchany przez wiatr środkiem ulicy.

Balonik! W pierwszym odruchu chciałem skoczyć na jezdnię i rozdeptać go. Do diabła! Nienawidziłem go! Był wolny!

Nagle zalała mnie fala współczucia. Utożsamiałem się z tym głupim podskakującym balonikiem. Dziwne, że gdy po raz pierwszy w życiu odczułem litość, skierowana ona była ku martwemu przedmiotowi pędzonemu wiatrem donikąd.

Więc zamiast pobiec na jezdnię i rozdeptać go, minąłem kobietę i przyspieszyłem kroku, żeby nadążyć za balonem toczącym się i podskakującym po brudnej ulicy. Balonik był w tym obskurnym otoczeniu całkiem nie na miejscu. Dookoła zimny wiatr przeganiał stare gazety i śmieci, na chodnikach walały się porozbijane butelki po winie i rozgniecione puszki od piwa, po obu stronach wznosiły się ciemne, ponure, kamiennie-betonowe ściany dożywotniego więzienia, w którym mieszkałem. A tu, pośrodku tego wszystkiego, był wolny czerwony balonik, niesiony niewidzialnym tchnieniem przyrody.

Cóż takiego zainteresowało mnie w tym głupim baloniku? Przyspieszyłem, żeby się z nim zrównać. Przytapałem się na nadziei, że balonik nie trafi na odłamek szkła i nie pęknie. Ale równocześnie wiedziałem, że to nie może trwać długo. Był zbyt delikatny. Zbyt wrażliwy. Był zbyt czysty i dosko-nały, żeby istnieć dłużej pośrodku tego całego piekła.

Wstrzymywałem oddech za każdym razem, gdy balonik po kolejnym podskoku opadał na ulicę. On jednak wciąż kon-tynuował swoją wesołą wędrówkę środkiem jezdni. Powtarza-łem w myśli: „Może mu się uda. Może zdoła przebyć całą drogę do przecznicy i dostać się z wiatrem do parku. Może jednak ma szansę”.

Prawie modliłem się o to. Ale gdy pomyślałem o parku, ogarnęło mnie zniechęcenie. Ten parszywy park. No i co z tego, że dostanie się do parku? I co dalej? Nic mu to nie pomoże. Uderzy o zardzewiałe ogrodzenie i pęknie. A jeśli nawet prze-dostanie się przez ogrodzenie, to i tak nadzieje się na coś w trawie czy chwastach, i tyle go będzie.

„Albo – myślałem – jeśli ktoś go podniesie, to weźmie go tylko do swojego obskurnego mieszkania i uwięzi do końca jego życia. Nie ma nadziei ani dla niego, ani dla mnie”.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, nadjechał samochód policyjny. Zanim zdałem sobie sprawę z tego, co się dzieje, najechał na balonik i usłyszałem żalosne „puf”, gdy bezlitośnie rozgniół go na jezdni. Samochód skręcił za najbliższy róg. Nawet nie wiedział co zrobił, a choćby i wiedział, niewiele by go to obchodziło. Chciałem pobiec za nimi z krzykiem: „Parszywi blacharze! Nic was nie obchodzi?” Chciałem ich zabić za to, że wgnietli mnie w jezdnię.

Ale uszła ze mnie chęć do życia. Stałem na krawężniku i patrzyłem na ciemną jezdnię, lecz nigdzie nie było śladu balonika. Wgnieciony w śmieci i pył ulicy Fort Greene zmieszał się z brudem Brooklynu.

Zawróciłem pod swój dom i usiadłem na schodkach. Stara prostytutka powlokła się ulicą w ciemność. Wiatr ciągle gwizdał i gnał jezdnią papiery i śmieci, przyklejając je do ogro-dzenia parku. Pod spodem jeszcze jeden pociąg metro z łosko-tem pomknął w ciemność. Bałem się. Ja, Nicky, bałem się. Drżałem nie z zimna, ale z lęku. Oparłem głowę na rękach i myślałem: „wszystko przepadło. Jestem skazany. Tak, jak powiedział dr John. Nie ma nadziei dla Nicky’ego, tylko wię-zienie, krzesło elektryczne i piekło”.

Od tego dnia przestało mi na czymkolwiek zależeć. Odda-łem prezesurę gangu znowu Izraelowi. Upadłem na dno. Głę-biej już nie mogłem upaść. Nie było dla

mnie żadnej nadziei. Mógłbym równie dobrze, jak wszyscy inni w getcie, zwrócić się ku strzykawce. Zmęczony byłem już tą ciągłą ucieczką. Czego mi trzeba według sędziego? Miłości! Ale skąd wziąć miłość na tym dniu?

10. TWARZĄ W TWARZ.

– Było to gorące popołudnie, w piątek, w lipcu 1958 roku. Siedziałem z Lydią i Izraelem na schodach przed swoim do-mem, kiedy zobaczyliśmy biegnących chłopaków.

– Hej, co się dzieje? – krzyknąłem do nich.

– Przed szkołą jest cyrk! – odkrzyknął jeden z nich. Rozrywki są w Brooklynie rzadkie. Jest to jedna z przy-czyn, dla których musieliśmy sami organizować sobie rozrywki w postaci walk, narkotyków i seksu. Wszystko było lepsze niż beczynne siedzenie. Pobiegliśmy więc przez park do szkoły przy St. Edward Street.

Gdy dotarliśmy tam, przed szkołą nr 67 stał już spory tłum. Roztrącając dzieci przepchnęliśmy się do przodu, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Jakiś człowiek stał na hydrancie i grał na trąbce „Na-przód żołnierze Chrystusa”. Grał w kółko tę samą melodię. Koło niego na chodniku stał drugi mężczyzna. Nie widziałem jeszcze tak chudego, wątłego i mizernie wyglądającego człowieka. Ponad nim powiewała na kiju flaga amerykańska.

Trębacz w końcu przestał grać i tłum zaczął na niego krzyczeć. Zebrała się prawie setka chłopców i dziewcząt, blokując jezdnię i chodnik.

Chudy mężczyzna miał taboret od fortepianu, który dali mu ze szkoły. wszedł na taboret i otworzył jakąś czarną książkę. Zaczęliśmy krzyczeć na niego. Stał tam z pochyloną głową i widać było, że się boi. Krzyki były coraz głośniejsze.

W ścisłości obejmowałem Lydię i próbowałem sięgnąć jej za dekollet swetra, a ona chichotała. Nagle uświadomiłem sobie, że wszystko ucichło. Przestałem zajmować się Lydią i spojrzałem na tego człowieka na taborecie. Stał ze schyloną głową, trzymając tę swoją czarną książkę otwartą przed sobą. Ogarnęło mnie niesamowite uczucie, jak w domu, kiedy ojciec wykonywał swoje czarnoksiężskie praktyki. Było dziwnie cicho, nawet samochody na Park Avenue, o kilka domów od nas, nie robiły żadnego hałasu, był to niezwykły spokój. Przestraszyłem się.

Opanował mnie dawny lęk, którego nie odczuwałem od wstąpienia do Mau Mau. Był to ten sam lęk, z którym wal-czyłem w sądzie, stając przed sędzią. Ten sam, który czułem tego wieczora, kiedy szedłem do domu po dniu spędzonym z psychologiem sądowym. Za każdym razem udawało mi się od tego strachu uwolnić, uciec od niego. Ale teraz napełniał całe moje ciało i czułem, że ogarnia nawet duszę. Chciałem odejść stąd, uciec, ale wszyscy słuchali... czekali.

Nagle ten chudy człowiek podniósł głowę i głosem tak słabym, że ledwo go było słychać, zaczął czytać z tej czarnej książki: „Albowiem Bóg tak umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny”.

Zadrżałem ze strachu. Ten gość musiał być księdzem lub czarownikiem czy kimś w tym rodzaju. Mówił o miłości. Wie-działem, co to „miłość”. Byłem w tej dziedzinie ekspertem. Wyciągnąłem rękę i uszczypnąłem Lydię w biodro.

Popatrzyła na mnie:

– Słuchaj go, Nicky.

Nachmurzyłem się i znowu zwróciłem głowę w kierunku tego chudego człowieka. On powiedział coś o proszeniu o to, żeby zdarzył się cud. Nie wiedziałem, co to cud, ale wszyscy słuchali i nie chciałem być inny.

Skończył mówić i stał czekając na coś. Potem powiedział, że chce rozmawiać z prezesami i wiceprezesami gangów. Po-czułem, że ten człowiek jest niebezpieczny. Wdzierał się do naszego świata, a ja nie chciałem, żeby się tu pchali jacyś obcy.

Mówił dalej:

– Jeśli jesteście tacy ważni i twardzi, nie boicie się chyba podejść tu i uścisnąć rękę jakiemuś chudemu pasto-rowi, prawda?

Tłum się poruszył. Ktoś z tyłu zawołał:

Hej, Fura, co jest, boisz się? To było do Fury, prezesa Kapelanów, naszego bratniego gangu.

Usłyszałem poruszenie za plecami tłumu. Popatrzyłem tam i zobaczyłem Furę razem z Dylizanssem i jeszcze dwoma Murzynami z ich gangu. Szli do chudego pastora, który zszedłszy z taboretu stał i czekał na nich.

Denerwowałem się coraz bardziej. Całkiem mi się to nie podobało. Rozejrzałem się, ale wszyscy się uśmiechali i rozstępowali, żeby przepuścić Furę i Dylizansa. Przywitali się z pastorem, a potem ten trębacz i pastor wzięli Furę, Dylizansa i tych dwóch chłopaków, co z nimi byli, i podeszli razem do bramy szkoły. Stali tam i rozmawiali.

Zostawiłem Lydię i podeszedłem do Izraela.

– Co oni robią? – spytałem go.

Izrael nie odpowiedział. Miał jakąś dziwną minę.

Nagle zobaczyłem, że tamci klękają na ulicy. Fura i Dylizans zdjęli kapelusze, trzymali je w rękach i klęczeli na chodniku. Potem podnieśli się i ruszyli z powrotem. Zawołałem na Furę:

– Hej, Fura, nawróciłeś się już?

Fura był wielkim chłopem, miał około 1,85 m i ważył prawie 90 kilo. Odwrócił głowę i popatrzył na mnie tak, jak jeszcze nigdy nie patrzył. Twarz miał poważną, śmiertelnie poważną. Przeszył mnie wzrokiem i zrozumiałem, co chciał powiedzieć, chociaż nie wiedziałem, co mu się stało. Powiedział mi oczyma: „Lepiej się odwal, Nicky, to nie jest odpowiednia chwila na wygłupy”.

Nagle ktoś zawołał do mnie:

– Hej, Nicky, pokaż, że nie jesteś gorszy. Chyba się nie boisz podejść, co? Izrael uszczyptał mnie i kiwnął głową w kierunku tych dwóch ludzi.

– Chodź, Nicky. Idziemy.

Zobaczyłem, że mówi serio, i cofnąłem się. W tym wszystkim było coś złowróżbnego... coś niebezpiecznego i podstępnego. Miało to posmak śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Tłum zaczął hałasować i krzyczeć:

– Hej, patrzcie na naszego przywódcę! On się boi tego chudego pastora! Izrael pociągnął mnie za kurtkę.

Chodź, Nicky, Idziemy.

Nie miałem wyboru. Musiałem podejść i stanąć twarzą w twarz z tymi dwoma ludźmi. Izrael podał im rękę. Ja ciągle się bałem i zwlekałem. Chudy mężczyzna podeszedł do mnie i wyciągnął rękę.

– Nicky, nazywam się David Wilkerson. Jestem pastorem z Pensylwanii.

Popatrzyłem tylko na niego i powiedziałem:

– Idź do diabła, pastorze!

– Nie podobam ci się, Nicky – odpowiedział pastor – ale ja czuję do ciebie coś zupełnie innego: kocham cię. I nie tylko to. Przybyłem, żeby ci powiedzieć o Jezusie, który też cię kocha.

Czułem się jak schwytane zwierzę, które wsadzają do klatki. Za mną był tłum. Przede mną była uśmiechnięta twarz tego chudego człowieka, mówiącego o miłości. Nikt mnie nie kocha. Nikt mnie nigdy nie kochał. Gdy tak stałem, w mojej pamięci pojawiła się ta chwila sprzed wielu lat, gdy usłyszałem, jak moja matka mówi mi: „Nie kocham cię, Nicky”. Po-myślałem: „Jeśli własna matka mówi ci, że cię nie kocha, to znaczy, że nikt cię nie kocha – i nigdy nie pokocha”.

Pastor ciągle stał z wyciągniętą ręką i uśmiechał się... Zawsze byłem dumny z tego, że się nie boję. Ale teraz bałem się. Bardzo bałem się tego człowieka, który chciał wsadzić mnie do klatki. Chciał zabrać mi przyjaciół. Chciał wszystko zniszczyć i dlatego nienawidziłem go.

– Jak się do mnie zbliżysz, pastorze, to cię zabiję – powiedziałem, cofając się w stronę dającego mi poczucie bezpieczeństwa tłumu. Bałem się i nie wiedziałem, jak sobie z tym poradzić.

Przepełniał mnie strach. Wpadłem nieomal w panikę. Prychnąłem gniewnie, odwróciłem się i poszedłem w tłum.

– Ten facet to komunista, chłopaki – krzyknąłem – zostawcie go, to komunista. Nie wiedziałem, co to znaczy „komunista”, ale wiedziałem, że to jest coś, co się powinno ludziom nie podobać. Uciekłem i zdawałem sobie z tego sprawę. Ale nie umiałem walczyć w ten sposób. Gdyby on mnie zaatakował nożem, walczyłbym z nim. Gdyby przyszedł i prosił, błagał, wyśmiałbym go i kopnąłbym go w zęby. Ale on przyszedł i powiedział: „Kocham cię”. Jeszcze nigdy mnie nikt tak nie potraktował. Przepchnąłem się przez tłum z podniesioną głową i wypiętą pierśią. Chwyciłem Lydię za ramiona i pociągnąłem ją za sobą ulicą St. Edward, byle dalej od szkoły.

Kilku chłopaków poszło za mną. Poszliśmy do naszej piwnicy i nastawiłem

gramofon na cały głos. Próbowałem zagłuszyć brzące mi w uszach słowa: „Jezus cię kocha”. Dlaczego tak bardzo wyprowadzało mnie to z równowagi? Tańczyłem trochę z Lydią, wypiliśmy pół butelki taniego wina i wypaliłem paczkę papierosów. Paliłem bez przerwy, odpalając jednego od drugiego. Lydia widziała, że jestem zdenerwowany.

- Nicky, a może powinieneś porozmawiać z pastorem? Może chrześcijaństwo nie jest takie złe, jak myślisz?

Popatrzyłem na nią tak, że opuściła głowę.

Byłem nieszczęśliwy. I bałem się. Nagle zrobił się ja-kiś ruch w drzwiach. Popatrzyłem w tamtą stronę i zobaczyłem że wchodzi ten chudy pastor. W swoim porządnym ubraniu, białej koszuli i eleganckim krawacie nie pasował do naszej brudnej piwnicy. Wszedł i spytał jednego z chłopaków:

- Gdzie jest Nicky?

Chłopak wskazał na drugi koniec piwnicy, gdzie siedziałem z głową opartą na rękach i papierosem zwisającym z kącika ust.

Wilkerson podszedł do mnie tak, jakby to była jego piwnica. Uśmiechał się szeroko. Znowu wyciągnął rękę i powiedział:

- Nicky, chciałem ci tylko uściśnąć rękę i...

Zanim zdążył dokończyć, uderzyłem go w twarz. Mocno. Próbował uśmiechnąć się na siłę, ale widać było, że zrobiło to na nim wrażenie. Nie cofnął się jednak i strach znowu podszedł mi do gardła tak, że zrobiło mi się niedobrze. Żeby mu za to odpłacić, zrobiłem jedyną rzecz, jaka mi przyszła do głowy: plunąłem na niego.

- Nicky, Jezusa też opluwali, a on modlił się: „Ojcze, odpuść im, albowiem nie wiemy, co czynią”.

- Zjeżdżaj stąd, do diabła! - krzyknąłem i pchnąłem go w kierunku drzwi.

Nicky, zanim odejdę, pozwól, że powiem ci jedną rzecz: Jezus cię kocha.

Wynoś się, zwariowany pastore! Nie wiesz, co mówisz. Daję Ci 24 godziny na wyniesienie się z mojego rejonu, a jak nie, to cię zabiję.

Wilkerson cofnął się do drzwi uśmiechając się ciągle.

Pamiętaj, Nicky, Jezus cię kocha.

Tego już było dla mnie za wiele. Schyliłem się, podniosłem pustą butelkę po winie i z całej siły cisnąłem nią o podłogę. Nigdy jeszcze nie byłem tak wytracony z równowagi.

Poniesiony ambicją skoczyłem do drzwi. Zdawałem sobie sprawę, że wszystkie chłopaki zorientowały się, że ten mocno zalał mi za skórę. Nie widziałem innego sposobu działania, jak działać twardo. Wiedziałem, że jeśli choć na chwilę okażę swoje prawdziwe uczucia, stracę cały gang.

- Durny, pomyłony czarownik - powiedziałem. - Jak tu jeszcze wróci, to go spalę. Zatrzasnąłem drzwi za sobą i stanąłem na chodniku, patrząc, jak pastor odchodzi energicznym krokiem. „Zarozumialec” - pomyślałem. Ale jednak w głębi duszy czułem, że za tym dziwnym człowiekiem stoi jakaś prawda.

Odróciłem się i ruszyłem w przeciwnym kierunku. Wszedłem do sali bilardowej, poprosiłem o kule i próbowałem skupić uwagę na końcu kija. Ale w uszach nie przestawał mi brzmieć głos chudego pastora, mówiącego: „Jezus cię kocha”.

„Nic mnie to nie obchodzi - myślałem - On mnie nie przestraszy. Nikt mnie nie przestraszy”.

Zepsułem dwa kolejne uderzenia i rzuciłem kij na stół. „Jezus cię kocha” - brzmiało mi w uszach. Powiedziałem chłopakom, że źle się czuję, i poszedłem do domu.

Przestraszyłem się, że naprawdę jestem chory. Było w pół do jedenastej, a ja nigdy nie kładłem się do łóżka przed trzecią lub czwartą rano. Zamknąłem drzwi od pokoju na klucz. Drżąc podszedłem do łóżka i zapaliłem lampkę na stojącym obok stoliku. Wyjąłem z szafy rewolwer, załadowałem go dwoma nabojami i położyłem przy łóżku. Zrzuciłem z nóg buty i przebrałem się. Położyłem na stoliku paczkę papierosów, rzuciłem się na łóżko i zacząłem patrzeć w sufit. Wciąż słyszałem słowa Davida Wilkersona: „Jezus cię kocha, Nicky, Jezus cię kocha”.

Wyciągnąłem rękę, zgasiliśmy światło i zapaliłem papierosa. Paliłem jednego po drugim. Nie mogłem uleżeć spokojnie. Przewracałem się z boku na bok. Nie mogłem zasnąć. Mijały godziny. W końcu usiadłem, zapaliłem światło i popatrzyłem na zegarek. Była piąta rano. Przewracałem się na łóżku przez całą noc.

wstałem, ubrałem się i schowałem rewolwer z powrotem do szafy. Wziąłem papierosy, zszedłem po schodach i otworzyłem frontowe drzwi domu. Niebo zaczynało szarzeć. W oddali słychać było, jak wielkie miasto ziewa i przeciąga się przed nowym dniem.

Usiadłem na schodkach i oparłem głowę na rękach. „Jezus cię kocha... Jezus cię kocha... Jezus cię kocha...”

Usłyszałem, że przed domem zatrzymuje się samochód i trzaskają drzwiczki. Czyjaś ręka poklepała mnie po ramieniu.

Podniosłem swoją zmęczoną głowę i zobaczyłem przed sobą chudego pastora. Uśmiechając się powiedział:

– Cześć Nicky. Pamiętasz, co ci wczoraj wieczorem powiedziałem? Chciałem tylko wpaść i powiedzieć ci to jeszcze raz. Nicky, Jezus cię kocha.

Skoczyłem na równe nogi i zamachnąłem się. Wilkerson zmądrzał przez noc, bo odskoczył poza zasięg mojej ręki. Stałem warcząc jak zwierzę gotujące się do skoku. Wilkerson spojrzał mi prosto w oczy i powiedział:

– Mógłbyś mnie zabić, Nicky. Mógłbyś mnie pociąć na tysiąc kawałków i rozrzucić je po całej ulicy. Ale każdy kawałek wołałby, że Jezus cię kocha. I nigdzie przed tym nie uciekniesz.

Wbijałem w niego zabójcze spojrzenie, ale on mówił dalej:

– Nicky, nie boję się ciebie. Twoje słowa są groźne, ale w środku jesteś taki sam jak my wszyscy. Boisz się. Obrzydły ci własne grzechy. Jesteś samotny. Ale Jezus cię kocha.

Zaskoczyło mnie to. Skąd on wie, że jestem samotny? Nie wiedziałem, o czym mówi, kiedy powiedział „grzechy”. Bałem się przyznać do strachu. Ale skąd on wiedział, że jestem samotny? Zawsze był ze mną gang. Miałem każdą dziewczynę, jaką chciałem. Ludzie się mnie bali: kiedy widzieli, że nadchodzi, schodzili z chodnika na jezdnię. Byłem przywódcą gangu. Jak mógł pomyśleć, że jestem samotny? A jednak był. A teraz wiedział o tym ten pastor.

Próbowałem szydzić z tego, co mówi:

Uważasz, że zmienisz mnie, ot tak? – powiedziałem, pstrykając palcami. – Myślisz, że jak wysłucham tego, co powiesz, to złapię Biblię i będę z nią paradował jak pastor, a ludzie zaczną mówić: „Nicky Cruz to anioł! Święty!” Zdawałem sobie jednak sprawę, że on mówi poważnie, z głębi serca.

– Nicky, nie spałeś dużo tej nocy, prawda?

Znowu mnie zaskoczył. Skąd wiedział, że nie spałem?

– Ja też niewiele spałem tej nocy, Nicky – ciągnął Wilkerson – tylko modliłem się za ciebie. Ale zanim to zrobiłem, porozmawiałem z twoimi chłopakami. Powiedzieli mi, że nikt się do ciebie nie zbliża. Wszyscy się ciebie boją. Ale ja, Nicky, przyszedłem ci powiedzieć, że komuś jednak na tobie zależy. Tym kimś jest Jezus. On cię kocha. – Popatrzył mi w oczy i dodał: – Pewnego dnia, i to już wkrótce, Duch Boży zajmie się tobą. Pewnego dnia przestaniesz uciekać i przybiegniesz do Niego.

Nie odezwałem się. Wstałem, odwróciłem się do niego plecami i wszedłem do domu, zamykając za sobą drzwi. Poszedłem do swojego pokoju, usiadłem na łóżku i wyjrzałem przez okno. Gdy popatrzyłem na dół, jego samochodu już nie było. Niebo na wschodzie zaczynało przybierać różowy odcień. Po drugiej stronie ulicy wielki budynek, w którym mieściło się Technikum Brooklyńskie, przesłaniało mi horyzont. Ale nagle, jak zapach morza dolatujący do kogoś, kto jest jeszcze wiele kilometrów od ujścia rzeki, ogarnęło mnie uczucie, że życie to nie tylko to. To więcej, niż te wznoszące się wysoko beto-nowe budynki, te ściany więzienia ze szkła i kamienia.

Pomyślałem o jego słowach: „Pewnego dnia przestaniesz uciekać i przybiegniesz do Niego”. Nie wiedziałem nawet, kim On jest. Pomyślałem jednak, siedząc tak na łóżku i wyglądając na zaśmieconą ulicę, po której niosły się odgłosy ciężarówek pędzących z rykiem pobliską główną ulicą, że On musi być jak słońce wynurzające się z oceanu w bezchmurny dzień. Albo jak gwiazda poranna wisząca na jaśniejącym niebie. Mo-że... Kiedyś...

Chwila ta była bliżej, niż mogłem przypuszczać.

Przez następnych kilka dni nie udało mi się zapomnieć o tym człowieku występującym w imieniu Boga. To Izrael zadrezczał mnie ciągłym mówieniem o nim. Ilekroć spotkaliś-my się, mówił coś o Bogu.

– Do diabła, Izrael, jak nie przestaniesz w kółko gadać o tym całym Bogu, to cię zabiję!

Ale Izrael nie przestawał mówić na ten temat i podejrze- wałem, że ukradkiem widywał się z wilkersonem. Nie podo- bało mi się to. Czułem, że wilkerson jest człowiekiem, który może zniszczyć nasz gang. Teraz, kiedy zabrakło Manniego, został mi już tylko Izrael. I nawet on wydawał się oddalać ode mnie. Jego ciągłe powoływanie się na wilkersona, ciągłe wyciąganie mnie na rozmowy doprowadzało mnie do rozpacz.

Nie mogłem tego dłużej znieść. Noc przed 4 Lipca, dniem w którym wszystkie gangi gromadziły się na Coney Island, Izrael spędził ze mną. Do późna mówił, próbując przekonać mnie żebym nie jechał na Coney Island, tylko poszedł porozmawiać z wilkersonem. Zatkaną sobie uszy próbując odgradzić się od jego ciągłej gadaniny. wreszcie Izrael zasnął. Leżałem w łóżku, patrząc tępo w ciemny sufit, ogarnięty lękiem. Musiałem to przerwać. Musiałem zmusić Izraela do milczenia. Nie mogłem już więcej słuchać o wilkersonie.

Sięgnąłem pod materac i zacisnąłem dłoń na drewnianej rękojeści schowanego tam szpikulca do rąbania lodu. Słyszałem głęboki oddech Izraela, leżącego w łóżku obok. Im dłużej myślałem o tym, jak mi wierci dziurę w brzuchu gadaniem o Bogu, tym większa furia mnie ogarniała.

W końcu nie mogłem już dłużej wytrzymać.

– To cię odczy czepiać się mnie! – wrzasnąłem.

Wyrwałem szpikulec spod materaca i uderzyłem, mierzając w plecy Izraela.

Ten, obudzony moim krzykiem, poderwał się i szpikulec wbił się w materac z tyłu za nim.

Wyciągnąłem go i próbowałem ponownie uderzyć krzy- cząc:

– Powiedziałem ci, żebyś nie gadał o Bogu! Dlaczego gadałeś? Dlaczego?

Dlaczego? Dlaczego?

W ślepej furii uderzałem gdzie popadnie. Izrael rzucił się na mnie i mocując się, stoczyliśmy się na podłogę. Rozciągnął mnie na wznak, usiadł na mnie okra-kiem i przycisnął moje ręce do podłogi za głową.

– Dlaczego nie przestałeś gadać?! – krzyczałem ciągle.

– Co ci się stało?! – krzyknął Izrael. – Zwariowałeś? To ja, twój przyjaciel.

Co ci się stało?

Nagle zorientowałem się, że krzycząc i walcząc ze mną, płakał. Łzy lały mu się po twarzy.

– Nicky, Nicky, przestań. Jestem twoim przyjacielem. Nie zmuszaj mnie, żebym ci zrobił krzywdę. Proszę cię, prze- stań. Jestem twoim przyjacielem. Kocham cię. Właśnie tak powiedział. Spadło to na mnie tak, jakby mi wylał na twarz wiadro lodowatej wody. Powiedział to tak, jak to mówił wilkerson. Rozluźniłem chwyt i Izrael wydarł mi szpikulec z dłoni. Nigdy dotąd nie widziałem go płaczącego.

Dlaczego płakał?

Trzymał szpikulec uniesiony nad moją twarzą. Ścisnął go w dłoni tak mocno, że widziałem w półmroku, jak zbiegły mu kostki palców. Mięśnie miał tak napięte, że drżał. Przez chwilę myślałem, że uderzy mnie nim w głowę, ale po chwili z całej siły rzucił go w koniec pokoju. Ciągłe płacząc rzucił się na swoje łóżko. Podniosłem się zagubiony, zażenowany i wyczerpany, co się ze mną dzieje? Przed chwilą próbowałem zabić swojego przyjaciela!

wypadłem z pokoju i pobiegłem schodami na górę, na dach. Na dworze było ciemno i parno. Poszedłem po dachu do klatki, w której stary Gonzales trzymał swoje gołębie. Wywa-żyłem drzwiczki i złapałem jednego ptaka. Reszta, łopocząc skrzydłami i obijając się o pręty klatki, uciekła w noc.

Przyciskając gołębia do nagiej piersi podszedłem do ko-mina wentylacyjnego i usiadłem.

Ptaki! Nie cierpiałem ich. Takie swobodne. Boże, jak ja nienawidziłem wszystkiego co swobodne. Izrael zmierzał ku wolności. Czułem to. Ten ptak był wolny, ale ja byłem zamknięty w swojej klatce nienawiści i strachu.

Poczułem, jak moje palce zaciskają się wokół głowy pta-ka i odrywają ją od ciała. „Nie boję się”.

Ptak pisnął słabo i żałośnie, po czym drgnął w chwili gdy rozstąpiły się kręgi jego szyi. „Patrz, mam, nie boję się”.

Straciłem panowanie nad sobą. Zacząłem zginać szyję ptaka to w jedną, to w drugą stronę, aż poczułem, że skóra i kości popękały i wtedy jednym szarpnięciem oderwałem gło-wę od ciała. Ciepła krew trysnęła mi na ręce i pociekła po kolanach na smołowany dach. Trzymałem okrwawioną głowę w ręce,

patrzyłem na nią i wołałem:

– Już nie jesteś wolny. Nikt nie jest wolny.

Cisnąłem głowę ptaka daleko od siebie i z całej siły rzuciłem ciągle jeszcze drgającym ciałem o dach. Nareszcie ten przeklęty ptak jest martwy, nie będzie mnie już nawiedzał we śnie.

Siedziałem na dachu to zasypiając, to budząc się. Ilekroć zasnąłem, koszmary pojawiały się znowu, jeszcze straszniejsze niż kiedykolwiek dotąd. O świcie wróciłem do swojego po-koju. Izraela już nie było.

Szukałem go prawie cały dzień. Wreszcie znalazłem go siedzącego samotnie w piwnicy, w której urządzaliśmy ubawy. Wszyscy inni pojechali na Coney Island.

– Hej, chłopie, przepraszam za tę noc – zacząłem

– Nie przejmuj się tym – powiedział Izrael z uśmiechem.

– Nie, stary, przykro mi. To do mnie niepodobne. Cos ze mną nie w porządku.

Izrael wstał i udał, że wali mnie pięścią, w szczękę.

– Oczywiście, stary. Jesteś całkiem jak ja: kopnięty.

Resztę dnia spędziliśmy razem. Po raz pierwszy od trzech lat nie pojechałem 4 lipca na Coney Island.

W drugim tygodniu lipca 1958 Izrael przyszedł do mnie i powiedział, że Wilkerson organizuje wielkie zgromadzenie w St. Nicholas. Był tu, rozmawiał z Izraelem i zaprosił Mau Mau. Miał być specjalny autobus sprzed szkoły nr 67 i mieli zarezerwować dla nas specjalne miejsca na przedzie widowni. Izrael obiecał Wilkersonowi, że Mau Mau przyjdą.

Pokręciłem głową i wstałem ze schodków, żeby wrócić do domu. Nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Strach znowu zaczął we mnie falować i chwycił mnie za gardło tak silnie, że ledwo mogłem mówić.

– Hej, chłopie – zawołał Izrael, kiedy się odwracałem – chyba nie jesteś tchórzem?

Trafił w moje słabe miejsce, w szczelinę w mojej zbroi. Odwróciłem się do niego.

– Nicky nie boi się nikogo... tego chudego pastora... cie-bie... ani nawet Boga.

A Izrael tylko stał z uśmiechem na tej swojej przystojnej twarzy.

– Wygląda mi, że się boisz albo coś takiego. Inaczej, czemu byś nie miał iść?

Pamiętałem Furę i Dylizansa klęczących tam na chodniku przed szkołą.

Wiedziałem, że jeśli mogło się to przydarzyć im... Znałem tylko jeden sposób: uciekać, bez przerwy ucie-kać. Ale ucieczka teraz, po tym jak Izrael rzucił mi wyzwanie, sprawiłaby wrażenie, że się boję. Naprawdę się boję.

– O której ma być ten autobus? – spytałem.

– O siódmej wieczorem – odpowiedział Izrael. – Spotkanie zaczyna się o 7.30.

Przyjdiesz?

– Jasne, stary! Myślisz, że jestem tchórz albo co? Zbierz-my cały gang, jedźmy tam i rozwalmy tę budę. Izrael kiwnął głową i odszedł kołysząc biodrami i tańcząc. Odwróciłem się i poszedłem na górę do swojego pokoju, dwa piętra wyżej. Czułem się chory.

Zamknąłem się na klucz i rzuciłem na łóżko. Sięgnąłem po skręta marihuanowego.

A nuż mi to pomoże? Ale skrętów już nie było, więc zapaliłem zwykłego papierosa. Myśli mknęły mi przez głowę jak woda przez otwartą bramę śluzy.

Byłem przerażony. Papieros drżał mi w ręce. Popiół spadł mi na koszulę i stoczył się na brudną pościel. Bałem się wsiąść do tego autobusu. Najchętniej

w ogóle nie opuszczałbym własnego rejonu. Myśl o konieczności wyjechania poza mały kawałek znajomego terenu napełniała moje serce przerażeniem. Bałem się, że jeśli znajdę się w tłumie, wtopię się weń, stanę się nikiem. Wiedziałem, że kiedy znajdę się w hali będę musiał coś zrobić, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Ale przede wszystkim bałem się tego, co widziałem wte-dy tam, na ulicy. Bałem się, że ktoś lub coś większego i po-tężniejszego niż ja rzuci mnie na kolana wobec wszystkich i że będę płakał. Rozpaczliwie bałem się łez. Łzy były główną oznaką słabości, porażki, miękkości i dziecinnego charakteru. Nie płakałem od ósmego roku życia. Coś zmusiło do płaczu Izraela, ale nie mnie – nigdy.

Tak, jeśli nie pójdę, zostanę przez Izraela i resztę gangu napiętnowany jako tchórz. Nie mam wyboru.

Gorąco było tego lipcowego wieczora, kiedy wsiadaliśmy do autobusu. W środku było kilku mężczyzn w garniturach i w krawatach, którzy mieli pilnować porządku. Ale równie dobrze mogliby zostać w domu. Hałas w autobusie był ogłu-szający.

Z moją paczką od razu poczułem się lepiej. To samotność w moim pokoju działała

na mnie tak przygnębiająco. W auto-busie było zupełnie inaczej. Wpakowało się do niego ponad 50 Mau Mau. Znękani mężczyźni w garniturach próbowali zaprowadzić jakiś porządek, ale w końcu machnęli ręką i pozwolili nam robić, co chcemy. Chłopcy rozpychali się, przeklinali na cały głos, otwierali okna, palili, pili wino i szarpali za sznur od dzwonka wołając do kierowcy, żeby ruszał.

Kiedy zajechaliśmy przed halę, otwarliśmy zapasowe drzwi, a kilku nawet wylazło przez okna. Przed halą stało kilkanaście nastolatków w obcisłych szortach, z wielkimi dekolta-mi. Okrzyki w rodzaju: „Hej, dzidzia, zabawimy się?“, czy „Chodź ze mną, mała, idziemy na niezły ubaw!“, rozlegały się w wieczornej ciszy. Kilka dziewcząt dołączyło do nas i wmaszerowaliśmy do środka. Razem z Izraelem wprowadziliśmy nasz pochód na widow-nię. Przy wewnętrznych drzwiach usiłował nas zatrzymać bi-leter. Zobaczyliśmy, że na sali ludzie zaczęli się odwracać i patrzeć, jak szturmujemy foyer.

– Hej, człowieku, wpuść nas – powiedział Izrael – to my, Mau Mau. Sam pastor mnie zaprosił. Mamy zarezerwowane miejsca.

Z przodu sali zobaczył nas jeden z kapelanów; wstał i krzyknął:

– Hej, Nicky, stary, chodźcie tu, te miejsca są dla was!

Przepchnąwszy się koło zdumionego i bezradnego bile-tera wpadliśmy na widownię. Byliśmy ubrani w uniformy naszego gangu. Żaden z nas nie zdjął czarnego kapelusza. Przemaszerowaliśmy przejściem, głośno stukając łaskami, gwizdząc i pokrzykując.

Rozejrzałem się i zobaczyłem członków wrogich gangów. Byli tu Biskupi, GGI, a także niektórzy z widmowych wład-ców z Bedford Avenue Park. Widownia była prawie pełna i zapowiadała się rozróżba na całego. Okazywało się, że może tu być całkiem niezłe.

Wrzawa była ogłuszająca. Zajęliśmy nasze miejsca i do-łączyliśmy się do hałasów, gwizdząc, krzyząc i stukając łas-kami o podłogę.

Z boku jakaś dziewczyna zaczęła grać na organkach. Ja-kiś młody portorykański chłopak wstał, przycisnął ręce do pier-si, odrzucił w tył głowę i zawołał:

– O Jeeezu! Zbaw moją wielką czarną duszę! – i opadł na krzesło wśród wrzasków i salw śmiechu gangów.

Koło organów wstało kilkanaścioro chłopaków i dziewczyn i zaczęli robić „rybę”. Dziewczeta podrzucały biodrami w rytmie dwa razy szybszym od tempa muzyki, a chłopcy krą-żyli wokół nich wyginając się w tańcu. Ich występy zostały nagrodzone oklaskami i okrzykami uznania. Organizatorzy już niemal nie panowali nad sytuacją.

Nagle na scenie pojawiła się jakaś dziewczyna. Podeszła do przodu, stanęła przed mikrofonem i trzymając ręce splecio-ne przed sobą, czekała, aż hałas ucichnie. Ale hałas jeszcze bardziej się wzmógł. Ktoś krzyknął:

– Hej, mała, pokręć się trochę! A może byśmy się umó-wili, kochanie?

Jakiś chudzielec, którego nigdy dotąd nie widziałem, wstał, zamknął oczy, wyciągnął ręce i powiedział głosem Ala Jolsena:

– Maaamo!

Oklaski i gwizdy tłumu stały się jeszcze głośniejsze.

Dziewczyna na scenie zaczęła śpiewać. Nawet z naszych dobrych miejsc w trzecim rzędzie nie było jej słyhać w tym hałasie. W czasie jej występu część dziewcząt i chłopców weszła na krzesła i zaczęła wirować w tańcu. Dziewczeta w swoich krótkich szortach i skąpych bluzkach, a chłopcy w czarnych kurtkach Mau Mau, w spiczastych butach i kapeluszach ozdobionych zapałkami i srebrnymi gwiazdami z przodu.

Dziewczyna skończyła śpiewać i nerwowo zerknęła za kulisy. Zaczęliśmy klaskać, krzyczeć i domagać się drugiej piosenki. Ona jednak zeszła ze sceny i nagle pojawił się chudy pastor.

Nie widziałem go od czasu naszej utarczki przed kilkoma tygodniami. Serce uderzyło mi silniej i znowu przepełnił mnie strach. Przypominało to ciemną, posępną chmurę ogarniającą mnie całego. Izrael zerwał się.

– Hej, Davie! Tu jestem. Widzisz, powiedziałem ci, że przyjdę. I patrz, kto tu jest – dodał pokazując na mnie.

Musiałem coś zrobić, żeby nie zwariować ze strachu. Sko-czyłem na równe nogi i krzyknąłem:

– Hej, pastarze... czego chcesz... nawrócić nas czy co? Mau Mau wybuchnęli śmiechem i usiadłem czując się le-piej. Ciągłe jeszcze uznawali moje

przywództwo. Pomimo tego, że byłem sparaliżowany strachem i przekazałem prezesurą Izraelowi. Wciąż jeszcze jestem ich liderem i wciąż jeszcze śmieją się z moich dowcipów. Znowu panowałem nad sytuacją.

Wilkerson zaczął mówić:

– To jest ostatni wieczór naszej, obejmującej całe miasto, krucjaty. Dziś zrobimy coś innego niż zwykle. Poproszę moich przyjaciół Mau Mau o zebranie datków.

Rozpętało się istne piekło. Członkowie gangów na sali do-brze nas znali. Poproszenie Mau Mau o zebranie datków było jak wynajęcie Kuby Rozpruwacza do pilnowania dzieci. Widownia zaczęła się śmiać i wrzeszczeć. Ale ja w jednej chwili zerwałem się na nogi. Czekałem na okazję, żeby się popisać, żeby w jakiś efektowny sposób zwrócić na siebie uwagę. To było właśnie to. Nie mieściło mi się w głowie, że pastor mógł nas poprosić, ale jeśli chce, że-byśmy to zrobili, nie będziemy się wzbraniać.

Wskazałem jeszcze pięciu, w tym Izraela.

– Ty, ty, ty... idziemy.

Nasza szóstka wyszła przed rzędy krzeseł i ustawiła się szeregiem, twarzą do sceny. Za naszymi plecami zapadła cisza. Martwa cisza.

Wilkerson pochylił się i wręczył każdemu z nas duży kar-ton po lodach.

– A teraz – powiedział – ustawcie się w szeregu, tu przed estradą. Organy zaczął grać, a ja poproszę ludzi, żeby podchodzili tu i składali ofiary. Potem przejście za zasłonę i na górę, na scenę. Ja tu zaczekam, aż mi je przyniesiecie.

To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe. Nikt nie miał wątpliwości, co zrobimy. Każdy, kto nie wykorzystałby takiej sytuacji, byłby głupcem.

Datków zebrało się dużo. Przejścia były pełne ludzi podchodzących do przodu. Wielu dorosłych wrzucało do pudeł grube banknoty, inni dawali czek. Kiedy już mieliśmy zbierać te datki, zdecydowany byłem postarać się o to, żeby były one okazałe. Niektórzy członkowie gangów podchodzili tanecznym krokiem i albo udawali, że wrzucają pieniądze, albo próbowali wyjąć coś z pudeł. Kiedy to się zdarzało, wsuwałem rękę do kieszeni, jakbym sięgał po nóż i mówiłem:

– Hej, chwileczkę, stary. Zapomniałeś tu coś wrzucić.

Wtedy próbowali się śmiać, ale zaraz poznawali, że nie żartuję:

– Człowieku, pastor powiedział, żeby dawać... dasz czy mam powiedzieć swoim chłopakom, żeby ci to wykroili?

Prawie każdy dawał jakiś datek.

Kiedy wszyscy przeszli już przed nami, kiwnąłem głową i wyszliśmy z prawej strony widowni przez zasłony wiszące przy ścianie. Wprost nad naszymi głowami wielkie czerwone litery głosiły „WYJŚCIE”. Wszyscy widzieli ten napis i gdy zniknęliśmy za zasłoną, sala zaczęła się śmiać.

Z początku śmiech był cichy – tylko pojedyncze chicho-ty. Potem usłyszeliśmy, jak wzmaga się, aż cała widownia za-trzęsała się od salw śmiechu z biednego pastora, którego wyki-wali Mau Mau.

Staliśmy za kurtyną. Chłopcy patrzyli na mnie, czekając, żebym im powiedział, co mają robić. Umieliśmy porozumiewać się wzrokiem. Czekali na sygnał, na spojrzenie w kierunku wyjścia mówiące: „Wiejemy. Bierzemy tę forszę i dajemy stąd nogę”.

Ale coś w środku ciągnęło mnie w przeciwnym kierunku. Pastor wybrał mnie i okazał mi zaufanie. Mogłem zrobić to, co oczekiwał po mnie tłum, albo postąpić tak, żeby nie zawieść zaufania, które pastor we mnie pokładał. Zaufanie pastora rozpałiło w mojej duszy jakąś iskrę. Zamiast wskazać wzrokiem na drzwi, pokręciłem głową: „nie”.

– Chodźcie – powiedziałem. – Zaniesiemy to temu chudemu pastorowi. Chłopcy nie wierzyli własnym uszom, ale musieli zrobić to, co im kazałem. Gdy ruszyliśmy schodami na estradę, za mną szło dwóch chłopaków. Jeden z nich sięgnął do kartonu, wziął dwudziestodolarowy banknot i wsadził go do kieszeni kurtki.

– Hej, ty, co robisz, do diabła!? Oddaj te pieniądze. One są pastora.

Chłopcy odwrócili się i popatrzyli na mnie z niedowierzaniem.

– Nicky, nie gorączkuj się tak. Popatrz na tę całą forszę. Nikt się nie połapie. Nie wygłupiaj się, jest tego taka kupa, że wystarczy dla nas wszystkich i dla niego.

Sięgnąłem do kieszeni i błyskawicznym ruchem wyciągnąłem nóż. Otwarłem go z trzaskiem i powiedziałem:

– Człowieku, tutaj będzie twój cmentarz, jak nie poło-żysz tego z powrotem. Nie dyskutował ze mną dłużej, tylko pokornie wrzucił zmięty banknot do pudła.

– Czekał, jeszcze nie koniec. – powiedziałem. – Ile masz w kieszeni forsy, spryciarzu?

– No, Nicky, daj spokój – zająknął się. – To moja for-sa. Matka mi ją dała, żebym sobie kupił portki.

– Ile masz? – spytałem znowu, przykładając lśniące ostrze do jego grdyki. Chłopak poczerwieniał, sięgnął do kieszeni i wyjął dwie dziesięciodolarówki i jedną pięciodolarówkę.

– Do pudła – powiedziałem.

– Człowieku, zwariowałeś czy co, moja stara żywcem obedrze mnie ze skóry, jak to stracę. – Chłopak prawie krzy-czał.

– Wiesz, co ci powiem, spryciarzu? Jak nie wrzucisz, to obedrę cię ze skóry tu, na miejscu. Do pudła!

Chłopak popatrzył na mnie z niedowierzaniem. Nóż upew-nił go, że nie żartuję. Zmiał banknoty i wrzucił je do pu-dła.

– A teraz idziemy – powiedziałem.

Gęsiego weszliśmy na estradę.

Wielu chłopaków zaczęło głośno wyrażać swój zawód. Już myśleli, że wystrychnęliśmy pastora na dudka, i teraz żałowa-li, że jednak nie zwialiśmy przez te drzwi tak, jak oni by zrobili. Ale świadomość, że postąpiłem słusznie, uczciwie, obu-dziła we mnie ciepłe, przyjemne uczucie. Po raz pierwszy w życiu uczyniłem dobrze, bo chciałem uczynić dobrze. Było to bardzo przyjemne uczucie.

Proszę, pastorze – powiedziałem. – To jest pana. Czułem się nieswojo stojąc tak przed całą widownią. Ale gdy wręczyłem pastorowi pieniądze, w sali znowu zapadła cisza. Wilkerson wziął od nas kartony i popatrzył mi prosto w oczy. Dziękuję, Nicky. wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Odwrociliśmy się i odmaszerowaliśmy na swoje miejsca. W sali było cicho jak makiem zasiał.

Wilkerson rozpoczął kazanie.

Mówił przez jakieś 15 minut. Wszyscy byli cicho, ale ja nie słyszałem ani słowa. Myślałem ciągle o tym ciepłym uczu-ciu, jakie mnie ogarnęło, gdy wręczałem mu te pieniądze. wyrzucałem sobie w myślach, że nie umknąłem z łupem. Ale coś się we mnie zrodziło i czułem, jak rośnie. Było to poczucie, dobra, szlachetności, sprawiedliwości. Uczucie, którego nigdy dotąd nie doświadczyłem.

Z rozmyślań wyrwał mnie hałas z tyłu. Wilkerson doszedł w swym kazaniu do punktu, w którym mówił nam, że powin-niśmy się wzajemnie kochać. Mówił, że Portorykańczycy powinni kochać Włochów, Włosi powinni kochać Murzynów, Mu-rzyni powinni kochać białych i że wszyscy powinniśmy się wzajemnie kochać. Za mną wstał Augie.

– Hej, pastorze, chyba jesteś kopnięty albo co? Chcesz, żebym kochał tych cholernych Włochów? Chyba zwariowałeś! Patrz tutaj – i podciągnąwszy koszulę wskazał na wielką pur-purową szramę, którą miał na boku. – Dwa miesiące temu jeden z tych parszywych makaroniarzy wsadził mi kulę. My-ślisz, że potrafię o tym zapomnieć? Zabiję tego sk-syna, jak tylko go znowu zobaczę.

We włoskim sektorze jakiś chłopak poderwał się na rów-ne nogi i jednym szarpnięciem rozerwał na sobie koszulę.

– Tak, widzisz to? – pokazał na poszarpaną bliznę, biegnącą wokół ramienia i w dół przez pierś. – Jeden czarnuch zajechał mnie brzytwą. Już ja ich wszystkich pokocham – ołowianą rurką.

Kolorowy chłopak z tyłu wstał i zawołał jadowicie:

– Hej, makaroniarzu, chcesz od razu spróbować? Sala nagle napełniła się nienawiścią. Kolorowy chłopak od kapelanów zerwał się przewracając krzesło i próbował wydostać się ze swojego rzędu w kierunku sektora widmowych władców. Bójka wisiąta w powietrzu.

Fotoreporter jakiejś gazety pobiegł przejściem krzesłami na przód widowni, odwrócił się i zaczął robić zdjęcia.

Izrael rzucił do niego trzech chłopaków na skraju rzędu:

– Bierzcie go!

Chłopcy skoczyli i zaczęli się szamotać z reporterem. Jed-nemu z nich udało się złapać aparat fotograficzny i rzucić go na podłogę. Gdy fotoreporter

sięgnął po niego, jakiś chłopak z drugiej strony przejścia kopnął aparat po podłodze do przodu sali. Fotograf na czworakach pobiegł za aparatem. Już nie-omał go dosięgnął, gdy inny chłopak wykopał mu go spod ręki w stronę ściany. Reporter podniósł się i pobiegł za aparatem, ale zanim zdążył się do niego zbliżyć, kolejny chłopak z całej siły kopnął aparat, który pojechał po wykładanej kafelkami podłodze i trzasnął o betonową ścianę, popękany i bezużyteczny.

Wszyscy byliśmy na nogach. Atmosfera w sali naładowana była nienawiścią. Rozejrzałem się, szukając drogi do przejścia między sektorami. Zaczynała się awantura na całego.

Nagle coś zmusiło mnie do spojrzenia na wilkersona. Stał spokojnie na estradzie, ze schyloną głową i dłońmi ciasno splecionymi pod brodą. Widać było, jak zbiegały mu kostki od zaciśniętych palców. Poruszał wargami. Modlił się.

Coś minie ścisnęło za serce. Zatrzymałem się. Dookoła trwał harmider, ale ja stałem i myślałem. Oto ten chudy człowiek stoi nieulękły wśród grożącego mu niebezpieczeństwa. Skąd bierze swoją siłę? Dlaczego nie boi się tak jak my wszyscy? Poczuję wstyd i zażenowanie. Poczuję się winny.

O Bogu wiedziałem tylko tyle, ile mogłem się dowiedzieć, obserwując tego człowieka. Pomyślałem o jednym jeszcze zętknięciu z Bogiem. Gdy byłem dzieckiem, rodzice wzięli mnie do kościoła. Było tam pełno ludzi. ksiądz mamrotał coś, a ludzie odpowiadali mu śpiewem. Była to okropna godzina. Wy-nudziłem się śmiertelnie i więcej tam nie poszedłem.

Osunąłem się na krzesło. Dookoła mnie wrzało. Izrael stał i patrząc na rzędy za nami krzyczał:

– Hej, spokój, posłuchajmy, co pastor ma do powiedzenia!

Mau Mau usiedli. Izrael dalej apelował o spokój. Hałas ucichł. Jak wynurzająca się z morza mgła, spokój rozprzestrzenił się na tylne rzędy, a stamtąd na balkony. I znowu nad halą zawisła martwa cisza.

Coś się ze mną działo. Przed oczyma zaczęły mi się przesuwac obrazy z przeszłości. Dzieciństwo. Nienawiść do matki. Pierwszy dzień w Nowym Jorku, gdy biegałem jak dzikie zwierzę wypuszczone z klatki. To było tak, jakbym siedział w kinie, w którym idzie film o moich postępkach. widziałem bójki na noże... rany... nienawiść. To nieomał przekraczało moją wytrzymałość. Zupełnie nie docierało do mnie to, co działo się wokół mnie. widziałem tylko własne wspomnienia. I im więcej mi się przypominało, tym bardziej rosło uczucie winy i wstyd. Bałem się otworzyć oczy ze strachu, że ktoś może zajrzeć w nie i zobaczyć to, co ja widzę. To było odpychające.

Wilkerson znów zaczął mówić. Powiedział coś o okazywaniu żalu za grzechy. Byłem w mocy potęgi milion razy silniej-szej niż jakikolwiek narkotyk. Nie panowałem nad swoimi ruchami, czynami, słowami. Było to tak, jakbym został porwany przez jakiś rozszalały nurt. Nie miałem siły się temu opierać. Nie rozumiałem, co się we mnie dzieje. wiedziałem tylko, że strach gdzieś zniknął. Usłyszałem, jak siedzący koło mnie Izrael wyciera nos. Za sobą słyszałem płaczących ludzi. Coś niosło się przez tę ogromną halę niczym wiatr, poruszający wierzchołkami drzew. Nawet zasłony z boku sali zaczęły poruszać się i szeleścić, jak-by poruszane tajemniczym oddechem.

Wilkerson znów mówił:

– On tu jest! On jest tu, w tej hali. Przybył specjalnie dla was. Jeśli chcecie, by wasze życie się odmieniło, teraz jest właściwy moment.

Po czym zawołał z mocą:

– Powstańcie, wszyscy, którzy chcecie przyjąć Jezusa Chrystusa i odmienić się

– powstańcie! wystąpcie naprzód! Izrael wstał.

Zerwałem się. Odwróciłem się do gangu i kiwnąłem na nich.

Chodźmy.

Chłopcy spontanicznie ruszyli ze swych miejsc do przodu. Poszło z nami ponad dwudziestu pięciu Mau Mau. Za naszym przykładem poszło ponad trzydziestu chłopaków z innych gangów.

Stanęliśmy przed estradą patrząc na wilkersona. Pastor przerwał nabożeństwo i powiedział, żebyśmy przeszli z nim do pomieszczeń na zapleczu porozmawiać o chrześcijaństwie. Izrael szedł przede mną ze spuszczoną głową, ocierając oczy chusteczką. Przeszliśmy przez drzwi i znaleźliśmy się na korytarzu prowadzącym do pomieszczeń szatni. Stało tu kilkoro członków gangu i śmiało się.

– Hej, Nicky, co jest, stary, nawróciłeś się? Popatrzyłem w ich kierunku. Jedna z dziewcząt wystąpiła i stanęła przed nami. Podciągnęła stanik i pokazała nam gołe piersi.

– Idźcie tam, idźcie, ale z tym się pożegnajcie.

Teraz wiem, że dziewczęta były zazdrosne. Czuły, że będą dzielić z Bogiem naszą miłość, a chciały ją mieć całą dla siebie. Tyle tylko rozumiały z miłości. Tyle i ja rozumiałem z miłości. Ale w tej chwili było mi wszystko jedno. Odsunąłem dziewczynę na bok, splunąłem na podłogę i powiedziałem:

– Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę.

Nie obchodziło mnie teraz nic prócz tego, że chcę być wyznawcą Jezusa Chrystusa – kimkolwiek by On był.

Jakiś człowiek mówił nam o chrześcijańskim życiu. Potem przyszedł Wilkerson i powiedział:

– Dobra, chłopaki, klękajcie na podłodze, tam gdzie każdy stoi.

Pomyślałem sobie, że pastor zwariował. Nigdy jeszcze przed nikim nie ukląknę. Ale jakaś niewidzialna siła popchnęła mnie w dół. Poczułem, że uginają mi się kolana. Nie mogłem ustać na nogach. Było to tak, jakby jakaś gigantyczna ręka pchała mnie w dół, aż moje kolana uderzyły o podłogę.

Dotknięcie twardej podłogi przywróciło mi poczucie rzeczywistości. Było lato, czas walk. Otwarłem oczy i w myśli za-pytałem samego siebie: „Co ty tutaj robisz?”. Koło mnie był Izrael, płakał na głos. W tym całym napięciu roześmiałem się cicho.

– Hej, Izrael, nie nabierzesz mnie z tym płaczem.

Izrael spojrział na mnie i uśmiechnął się przez łzy. I gdy patrzyliśmy na siebie, poczułem coś dziwnego. Uczułem, jak łzy podchodzą mi do oczu i nagle, przelawszy się przez powieki, zaczynają płynąć po policzkach. Płakałem. Po raz pierwszy od dnia, w którym wypłakiwałem swoją krzywdę pod do-mem w Puerto Rico, płakałem.

Klęczeliśmy z Izraelem obok siebie i łzy lały się nam po twarzach strumieniami, a jednak równocześnie śmialiśmy się. Było to bardzo osobliwe uczucie. Łzy i śmiech. Byłem szczęśliwy, a jednak płakałem. Zachodziło w moim życiu coś, nad czym absolutnie nie panowałem... i byłem z tego powodu szczęśliwy.

Nagle odczułem na głowie dłoń Wilkersona. Modlił się – modlił się za mnie. Łzy polały mi się z oczu jeszcze obficie.

Skłoniłem głowę i w duszy mojej wymieszały się wstyd, skrucha i cudowna radość zbawienia.

Dalej Nicky – powiedział Wilkerson – dalej, płacz. Wypłacz to przed Bogiem. Wołaj do Niego.

Otwarłem usta, ale słowa, które się z nich wydobyły, nie były moimi słowami.

– O Boże, jeśli mnie kochasz, wejdź w moją duszę. Jestem zmęczony ucieczką.

Wejdź w moją duszę i odmień mnie. Proszę Cię, odmień mnie

To było wszystko. Ale ja poczułem się porwany z ziemi i uniesiony ku niebu.

Marihuana! Seks! Krew! Wszystkie sadystyczne, niemo-ralne podniety całego życia, spotęgowane milion razy nie mo-gły równać się z tym, co teraz czułem. Dosłownie pogrążyłem się w miłości.

Gdy ochłoneliśmy nieco, Wilkerson przytoczył nam słowa Pisma Świętego: „Tak więc, jeśli ktoś jest w Chrystusie, no-wym jest stworzeniem; stare przeminęło, oto wszystko stało się nowe”.

To miało sens. Po raz pierwszy w moim życiu miało to sens. Stałem się kimś nowym. Byłem Nickym, a równocześnie nie byłem Nickym. Było to tak, jakbym ja, żyjący w stary sposób, umarł, a jednocześnie żył w nowy sposób.

Szczęście. Radość. Zadowolenie. Ulga. wolność. Cudowna, cudowna wolność.

Przestałem uciekać.

Zniknął mój cały strach. Zniknęły moje trwogi. Zniknęła moja nienawiść.

Kochałem Boga... Jezusa Chrystusa... i wszy-stkich, którzy mnie otaczali.

Kochałem nawet siebie. Niena-wiść, którą do siebie czułem, zmieniła się w miłość. Nagle zdałem sobie sprawę, że przyczyną, dla której traktowałem siebie samego tak okropnie, było to, że nie kochałem siebie naprawdę tak jak Bóg chciał, żebym kochał.

Padliśmy sobie z Izraelem w objęcia. Spływającymi po twarzach łzami moczyliśmy sobie wzajemnie koszule. Kochałem go. Był moim bratem.

Wilkerson wyszedł na chwilę, ale znów wrócił. Jego również kochałem. Tego

chudego uśmiechniętego pastora, którego oplułem jeszcze kilka tygodni temu – kochałem go.

Wilkerson powiedział:

– Nicky, Izrael, chciałbym wam dać Biblię. Mam też Biblie dla Mau Mau. Chodźcie ze mną, to wam je dam.

Poszliśmy z nim do drugiego pokoju. Tam, w pudłach leżały czarne książki.

Pastor schylił się, wziął kieszonkowe wydanie Nowego Testamentu i podał je nam.

– Hej, Davie – spytałem – a te wielkie książki? Mo-glibyśmy dostać te duże?

Chcemy, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteśmy teraz chrześcijanami.

Wilkerson wyglądał na zaskoczonego. Te „wielkie książki” były rzeczywiście wielkie. To było wydanie Biblii w dużym formacie. Ale chłopcy chcieli je mieć i pastor chętnie nam je dał.

– Człowieku – powiedział Izrael uśmiechając się do mnie – i co powiesz? Dziesięciokilogramowa Biblia!

Rzeczywiście chyba tyle ważyła. Ale jej ciężar był mały w porównaniu z ciężarem, jaki zniknął z mego serca tego wie-czora, gdy moją duszę, oczyszczoną z grzechu, napełniła miłość.

Późnym wieczorem wstępowałem na schody swojego do-mu jako zupełnie inny człowiek. Było kilka minut po jedena-stej – wcześniej jak dla mnie – ale śpieszno mi było znaleźć się w swoim pokoju. Nie musiałem już uciekać. Ulice już mnie nie ciągnęły. Nie potrzebowałem ciągłych dowodów na to, że inni uznają we mnie przywódcę gangu. Nie bałem się już nocy.

Podszedłem do szafy, zdjąłem kurtkę Mau Mau, buty i włożyłem je do torby. „Nie będę ich już potrzebował” – pomyślałem. Sięgnąłem na półkę i wziąłem rewolwer. Z przyzwyczajenia zacząłem wkładać nabój do magazynka, żeby na noc położyć broń na stoliku koło łóżka. Ale nagle sobie przy-pomniałem: Jezus mnie kocha. On mnie obroni. wyjąłem na-boje, umieściłem je z powrotem w pudełku i odłożyłem re-wolwer na półkę. Rano odniosę go na policję.

Podszedłem do lustra. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Moja twarz rozjaśniona była światłem, którego nigdy dotąd nie widziałem. Uśmiechnąłem się do siebie:

– Hej, Nicky, patrz jaki jesteś przystojny. Szkoda, że musisz zrezygnować z tych wszystkich dziewczyn teraz, kiedy jesteś taki przystojny.

Roześmiałem się z tego. Ale byłem szczęśliwy. Brzemie strachu zniknęło. Mogłem się śmiać.

Ukląknąłem koło łóżka i odrzuciłem w tył głowę.

– Jezu...

I nic więcej.

– Jezu...

Aż wreszcie pojawiły się te słowa:

– Dziękuję Ci, Jezu... dziękuję.

Tej nocy po raz pierwszy, odkąd pamiętam, przyłożyłem głowę do poduszki i przespałem dziewięć wspaniałych godzin. Nie przewracałem się bezsenne z boku na bok. Nie bałem się dźwięków, dobiegających spoza mojego pokoju. Nocne kosz-mary zniknęły.

11. WYJŚCIE Z DŻUNGLI.

Następnego dnia rano wyszedłem z domu i pobieg-łem do chłopaków, którzy wczoraj w hali wystąpili naprzód. Powiedziałem im, żeby wzięli pistolety, naboje i przyszedli do Parku Waszyngtona. Mieliśmy iść na komisariat.

Potem wróciłem do siebie, wsadziłem rewolwer za pas, wziąłem swoją wielką Biblię i poszedłem do parku na spotka-nie z chłopakami.

Idąc przez Ft. Greene Place natknąłem się na starą wło-szkę, którą widywałem już poprzednio. Dawniej, widząc mnie, przechodziła na drugą stronę ulicy. Tym razem zbliżając się do niej podniosłem swoją wielką czarną księgę ze złotymi lite-rami wypisanymi na okładce tytułem: Pismo Święte.

Wytrzeszczyła oczy na Biblię i spytała: – Gdzieś ukradł Biblię?

Uśmiechnąłem się.

– Nie ukradłem. Jeden pastor mi ją dał. Pokręciła głową.

– Nie wiesz, że nie wolno żartować z takich rzeczy? Bóg cię za to skarże.

– Nie kłamię. I Bóg mnie nie skarże, bo mi wybaczył. Idę teraz na komisariat oddać rewolwer.

Podciągnąłem koszulę, żeby zobaczyła rewolwer wystający z paska. Kobieta

powoli, z niedowierzaniem wodziła wzrokiem od rewolweru do Biblii i z powrotem. W końcu jej twarz rozjaśniła się uśmiechem. Wyrzuciła ręce w górę i zawołała:

– Alleluja!

Uśmiechnąłem się i pobiegłem do Parku Waszyngtona.

Było tam około dwudziestu pięciu Mau Mau. Izrael ich ustawił i pomaszerowaliśmy ulicą St. Edward do Osiedlowego Komisariatu Policji na rogu Auburn Street. Nie przyszło nam do głowy, co o naszym pochodzie mogą pomyśleć policjanci: dwudziestu pięciu członków najgroźniejszego w Brooklynie gangu maszeruje środkiem ulicy, niosąc arsenał broni i amunicji. Później wielokrotnie dziękowa-łem Bogu, że policjanci zobaczyli nas dopiero wtedy, gdy by-liśmy w drzwiach komisariatu. Jeśliby nas zobaczyli trochę wcześniej, zabarykadowaliby się i pewnie wystrzelaliby nas na ulicy.

Gdy weszliśmy, dyżurny sierżant skoczył na równe nogi i sięgnął po rewolwer.

– Co się tu dzieje, czego chcecie, chłopaki?

– Hej, spokojnie, człowieku – powiedział Izrael. – Nie przyszliśmy tu narobić kłopotu. Przyszliśmy oddać nasze re-wolwery.

– Co?! – krzyknął sierżant – Co tu się do diabła dzie-je? – odwrócił się i krzyknął przez ramię: – Poruczniku, le-piej niech pan tu zaraz przyjdzie! Porucznik stanął w drzwiach.

– Co te chłopaki tu robią? – spytał sierżanta. – O co tu chodzi?

Izrael zwrócił się do niego.

– Wszyscy oddaliśmy serce Bogu, a teraz chcemy oddać rewolwery policji.

– Tak – wtrącił się jeden z chłopaków – może przy-dadzą się wam, żeby z nich strzelać do niegrzecznych chłopców.

Roześmieliśmy się wszyscy, a porucznik zwrócił się do sierżanta.

– Nie zgrywają się? Lepiej weźcie kilku ludzi i sprawdźcie na zewnątrz. Może to jakaś zasadzka czy co.

Podszedłem i wyciągnąłem w jego kierunku swoją Biblię.

– Hej, poruczniku, popatrz na to. Pastor dał nam te Biblie wieczór po tym, jak wszyscy oddaliśmy serce Chrystusowi. Nie będziemy więcej członkami gangu.

Jesteśmy już chrześcijanami.

Co za pastor? – spytał porucznik.

Człowieku, no, Davie Wilkerson. Ten chudy pastor, co tu łązi i rozmawia ze wszystkimi gangami. Mieliśmy wczoraj wielkie spotkanie w hali St. Nicholas i wszyscy zwróciliśmy się ku Bogu. Jak pan nie wierzy, niech pan zadzwoni do pastora.

Porucznik zwrócił się do sierżanta:

– Macie numer tego pastora?

– Tak jest, panie poruczniku. On mieszka u państwa Ortez.

– Zadzwoncie do niego i powiedzcie mu, żeby tu jak najszybciej przyjechał. Możemy mieć poważne kłopoty. Jak to on coś tu namieszał, zamknę go, zanim zdąży policzyć do trzech.

Sierżant wykręcił numer i oddał słuchawkę porucznikowi

– Pastor Wilkerson? Lepiej niech pan zaraz przyjedzie Mamy tu pełen pokój Mau Mau i nie wiem, o co chodzi. Po krótkiej pauzie porucznik odłożył słuchawkę.

– Już jedzie. Ale zanim tu będzie, oddajcie mi pistolety wszyscy.

– Pewnie, generale – powiedział Izrael. – Potośmy właśnie tu przyszli.

Potem odwrócił się do chłopaków i powiedział:

– Dobra chłopcy. Podejdźcie tu i połóżcie pistolety na stole. Naboje też zostawcie.

Policjanci nie wierzyli własnym oczom. Przez ten czas nadeszło jeszcze czterech gliniarzy i stali wszyscy patrząc z niedowierzaniem na rosnącą stertę rewolwerów, domowej roboty pistoletów i strzelb.

Gdy skończyliśmy, porucznik pokręcił głową. Zwracając się do Izraela powiedział: – Dobra. A teraz może byście powiedzieli, co tu się na-prawdę dzieje?

Izrael ponownie opowiedział, co zdarzyło się w hali St. Nicholas. Powiedział mu, że staliśmy się chrześcijanami i że chce-my żyć całkiem inaczej. Potem spytał, czy porucznik mógłby mu złożyć autograf na Biblii.

Uznaliśmy to za doskonały pomysł i stłoczyliśmy się wo-kół gliniarzy, prosząc o autografy, na Bibliach.

W tym momencie wbiegł David. Spojrzał tylko na nas i podszedł prosto do porucznika. Porucznik poprosił, żeby wszyscy policjanci przyszli do tego pokoju.

– Pastorze – powiedział – pragnę uścisnąć panu dłoń. Wilkerson rozejrzał się podejrzliwie, ale wyciągnął rękę i porucznik mocno ją uścisnął.

– Jak pan tego dokonał? – spytał. – Ci chłopcy są z nami na stopie wojennej i od lat mamy z nimi same kłopoty. I nagle dziś rano wszyscy przychodzą tu i wie pan, czego chcą? Wilkerson pokręcił głową.

– Chcą żebyśmy złożyli autografy na ich Bibliach! Wilkerson nie mógł wydobyć głosu. Wreszcie wyjąkał:

– O co poprosiliście policjantów?

Otwarłem swoją Biblię i pokazałem mu autograf porucznika na pierwszej stronie. Dzięki Bogu! – powiedział David. – Widzi pan, poruczniku? Bóg działa w Fort Greene!

Wyszliśmy wszyscy z komisariatu, zostawiając porucznika kręcącego w zdumieniu głową nad stertą leżących na stole pistoletów.

Otoczyliśmy Wilkersona. Izrael powiedział:

Hej, Davie, prawie całą noc czytałem Biblię. Patrz, już tu jestem. Moje imię tu jest co kawałek. widzisz? Izrael. To ja. Jestem sławny.

Kilka tygodni później pan Arce, pastor hiszpańskiego kościoła, nazywającego się Iglesia de Dios Juan 3,16 (Kościół Boga Jan 3,16), wstąpił do mojego mieszkania. Właśnie był u mnie Izrael. Spędziliśmy wiele czasu razem, czytając Biblię, spacerując i modląc się na głos do Boga. Pastor Arce chciał, żebyśmy przyszli do jego kościoła nazajutrz wieczorem i opowiedzieli o tym, jak staliśmy się chrześcijanami. Miało to być środowe nabożeństwo wieczorne i pastor obiecał wpaść po nas po drodze.

To było pierwsze prawdziwe nabożeństwo kościelne, na jakim byłem. Śpiewaliśmy przez prawie godzinę. Stałem z Izraelem na podwyższeniu, a kościół był wypełniony po brzegi. Pastor Arce odprawił nabożeństwo i dopiero potem udzielił mi głosu.

Gdy skończyłem mówić, usiadłem w pierwszym rzędzie i słuchołem Izraela.

Po raz pierwszy słyszałem go przemawiającego publicznie. Stał na ambonie i jego przystojna twarz jaśniała miłością Chrystusa. Swoim łagodnym głosem zaczął opowiadać o zdarzeniach, które doprowadziły do tej przemiany. Chociaż przez ostatnich kilka tygodni codziennie przebywaliśmy razem, dzisiaj dostrzegłem u niego głębię uczuć i ekspresję, których nie potrafiłem dostrzec wcześniej. Jego słowa przeniosły mnie do tego wieczoru w hali St. Nicholas, kiedy Izrael z takim zapałem zareagował na Ewangelię. Myślałem o moim nastawieniu do Daviego. Nienawidziłem go. Bóg wie, jak ja go nienawidziłem. Jak mogłem tak się mylić? Davie chciał jedynie, by Bóg mógł pokochać mnie za jego pośrednictwem. A ja plułem na niego, przeklinałem go, chciałem go zabić. Izrael wypowiedział nazwisko Davida i to spowodowało mnie z powrotem na ziemię.

– Wciąż jeszcze badałem szczerłość Wilkersona – mówił Izrael, opisując swoje uczucia po tym pierwszym ulicznym spotkaniu, podczas którego usłyszał Daviego – jak przemawia do młodzieży.

Pewnego dnia Wilkerson przyszedł do mnie i poprosił żebym go zaprowadził do innych przywódców gangów. Chciał ich zaprosić na spotkania, które prowadził w hali St. Nicholas. Zaczęliśmy chodzić razem po brooklyńskich ulicach i pokazałem mu Małego Jo-Jo, który był prezesem Smoków z Coney Island, jednego z największych gangów ulicznych w mieście. Pokazałem mu go tylko. Nie chciałem, żeby Mały Jo-Jo wiedział, że to ja powiedziałem Daviemu o nim, bo Smoki były wielkimi wrogami Mau Mau.

Powiedziałem Daviemu, że idę do domu. Kiedy podszedł do Małego Jo-Jo, schowałem się za schodkami jakiegoś domu, żeby ich podsłuchać. Jo-Jo zmierzył go wzrokiem z góry na dół, a potem splunął mu na buty. Nie można facetowi mocniej okazać swojej pogardy. Jo-Jo słowem się nie odezwał, tylko splunął Daviemu na buty. Potem odwrócił się i usiadł na schodach.

Jo-Jo nie miał domu. Prawdę mówiąc w ogóle miał nie-wiele. Kiedy było ciepło, spał w parku, a kiedy padał deszcz albo robiło się zimno, nocował w metrze.

Jo-Jo był praw-dziwym włóczęgą. Kradł ubranie z tych skrzyń na dary dla ubogich i nosił, dopóki nie rozpadło się w strzępy. Wtedy kradł znowu.

Tego dnia miał na sobie stare rozdeptane trampki, z których wystawały mu palce, i jakieś stare wielkie spodnie, które wisiały na nim tak, jakby były uszyte na jakiegoś grubasa.

Doszedłem do wniosku, że jeśli Wilkerson coś udaje, to wszystko się wyda, kiedy spotka się z Jo-Jo. Jo-Jo potrafi wyczuć takiego typu. Jeśli Wilkerson

udaje, Jo-Jo dźgnie go swoim majchrem. Jo-Jo popatrzył na Wilkersona i powiedział: „Zjeżdżaj bogaczu. Nie jesteś stąd. Przyjechałeś do Nowego Jorku i dużo gadasz o Bogu zmieniającym ludzi. Masz nowe błyszczące buty i nowe spodnie, a my nie mamy nic. Moja stara wykopała mnie, bo w naszej dziurze jest dziesięcioro dzieci, a nie ma pieniędzy. Człowieku, znam się na takich jak ty. Przychodzisz tu na wycieczki dobroczynne jak te bogate typy, co jeżdżą autobusem po Bowery. Lepiej zjeżdżaj, zanim ktoś przedziurawi ci bandzioch” Widziałem, że coś złapało Daviego za serce. Może wiedział, że Jo-Jo mówi prawdę. Potem opowiadał mi, że przypomniał sobie wtedy jedną rzecz o takim jednym generale, co się nazywał Booth. Ten generał powiedział: „Nie da się pokrzepić ludzkich serc miłością Boga, gdy ich stopy kostnieją z zimna”- Może nie przytaczam tego ściśle, ale w każdym razie David powiedział, że to właśnie przemknęło mu przez myśl. I wiecie, co zrobił? Tak jak stał, usiadł na tych schodach, zdjął buty i wręczył je Jo-Jo.

Mały Jo-Jo tylko popatrzył na Daviego i powiedział: „Co chcesz udowodnić, pastorze? Że masz serce albo coś takiego? Nie mam ochoty wkładać twoich parszywych butów”.

Ale Davie nie namyślał się nad odpowiedzią. „Człowieku – powiedział – jechałeś o buty, to je wkładaj albo prze-stań nudzić”.

Jo-Jo odpowiedział: „Nigdy żem nie miał nowych butów”.

A Wilkerson tylko powtórzył: „Włóż je”.

Więc Jo-Jo włożył buty Davida. Jak to zrobił, Davie po-szedł do swojego samochodu. Skuliłem się za schodami, gdy Jo-Jo ruszył ulicą za Daviem. Stary Davie był w skarpetkach i musiał przejść dwa bloki do samochodu, a ludzie się z niego śmiali. Wtedy zobaczyłem, że on nie udaje.

Izrael przerwał swoją opowieść i przełknął łzy.

– Nie trafiło do mnie nic z tego, co Davie mi powie-dział. Ale ten facet nie udawał. Żył tak, jak nauczał. Prze-konałem się wtedy, że nie oprę się sile, która zmusza czło-wieka do robienia czegoś takiego dla kogoś takiego jak Jo-Jo. Po nabożeństwie, ciągle pod jego wrażeniem i pod wrażeniem siły, z jaką poczułem w sobie obecność Bożą, gdy mówiłem, ruszyłem powoli przez tłum. Ciągle jeszcze myślałem że być może Bóg chce, bym wygłaszał kazania. Czy możliwe, żeby w ten właśnie sposób przemawiał do mnie? Nie wiedziałem tego, ale czułem, że muszę mieć trochę czasu, aby to przemyśleć. Sporo jeszcze ludzi było w przedsionku kościoła i na chodniku, gdy wyszedłem na ulicę, wciąż jeszcze wymieniając uściski dłoni. W tym momencie ryknęły silniki dwóch samochodów, stojących po drugiej stronie jezdni. Usłyszałem krzyk jakiejś kobiety. Zobaczyłem lufy rewolwerów wystawione przez okienka i rozpoznałem kilku Biskupów.

Samochody gwałtownie odskoczyły od krawężnika i zaczęto z nich wściekle strzelać w moim kierunku. Ludzie przed kościołem padli na ziemię albo uciekali w panice do wnętrza usiłując schronić się przed tą strzelaniną. Kucnąłem za drzwiami. Jedna z kul rozpląszczyła się o ścianę koło mnie. Samo-chody zniknęły w ciemności.

Gdy ludzie się uspokoili, jakiś starszy mężczyzna podszedł do mnie i objął mnie ramieniem.

– Synu – powiedział – niech cię to nie zniechęca. Sam Jezus był kuszony na pustyni po swoim chrzcie. Powinieneś czuć się zaszczycony, że szatan wybrał cię do prześladowań. Przepowiadam ci, że jeśli wytrwasz, dokonasz dla Boga wiel-kich rzeczy.

Poklepał mnie po ramieniu i zniknął w tłumie. Nie wiedziałem, co znaczy „wytrwać”, ale chciałem do-konać dla Boga wielkich rzeczy. Nie byłem jednak zbyt prze-konany, że wysłanie przez szatana Biskupów, żeby mnie zabili, było takim zaszczytem.

Wyglądało, że niebezpieczeństwo minęło, ruszyłem więc pieszo w długą drogę powrotną do domu. Pastor Arce odwiózł Izraela, ale ja chciałem iść pieszo. Musiałem pomyśleć. Pan Delago, który współpracował z Davidem Wilkersonem, za-prosił mnie na noc do siebie do domu. Był to uprzejmy, kul-turalny, dobrze ubrany człowiek. Pomyślałem, że musi być bardzo bogaty. Wstydząc się swoich złych manier i ubrania, odrzuciłem jego zaproszenie. Pan Delgado dał mi dolara i po-wiedział, żebym go powiadomił, jeśli będę potrzebował pie-niędzy. Podziękowałem mu i ruszyłem do domu. Przechodząc przez Vanderbilt Avenue zobaczyłem Locę stojącą przed swoim domem.

– Hej, Nicky, gdzie się podziewał tyle czasu? Ktoś mó-wił, że już nie jesteś w gangu. Czy to prawda? Powiedziałem, że to prawda.

– Stary, brakuje nam ciebie. Jak ciebie nie ma, to już nie jest tak jak dawniej. Dlaczego nie wracasz? Nagle ktoś chwycił mnie od tyłu.

– Hej, chyba rzeczywiście chcecie, żebym wrócił. Co?

Myślałem, że to ktoś z naszego gangu. Ale Loca zamarła z przerażenia.

Odwrociłem głowę i poznałem Joe'go, Apacza którego złapaliśmy i pobiliśmy. Zacząłem mu się wyrywać i wtedy zobaczyłem, że w prawej ręce ma nóż. Lewą ręką objął mnie od tyłu za szyję i uderzył ponad moim ramieniem, mierząc w serce. Zasłoniłem się prawą ręką chcąc odparować cios ośmiocalowego ostrza, i nóż trafił mnie prosto w dłoń pomiędzy małym a serdecznym palcem.

Ostrze przebiło mi dłoń na wylot i lekko zadrasnęło pierś. Odwróciłem się i Joe znów uderzył.

– Tym razem cię zabiję – zaklął. – Jak myślisz, że uciekniesz przede mną chowając się za kościół, to się mylisz, kochany. Zrobię światu tę grzeczność i zabiję głupiego tchórza.

Krzyknąłem do dziewczyny:

– Uciekaj, to wariat!

Joe ruszył na mnie i uderzył mierząc mi w brzuch. Od-skoczyłem i zerwałem antenę ze stojącego obok samochodu. Teraz mieliśmy równe szanse. W moich rękach antena była tak samo niebezpieczna jak nóż.

Okrażałem go, tnąc powietrze metalowym prętem. Czułem się znowu w swoim żywiole. Byłem pewien, że uda mi się go zabić. Z doświadczenia wiedziałem, jakie będzie jego następne posunięcie. Kiedy skoczy na mnie z nożem, zrobię unik i gdy będzie łapał równowagę, mogę go uderzyć na odlew i oślepić, a potem sparaliżować albo zabić drugim ciosem.

Trzymałem antenę w lewej ręce. Prawą, ociekającą krwią, trzymałem przed sobą, zasłaniając się przed nożem.

– Dalej kochasiu – szepnąłem. – Spróbuj jeszcze raz. Tylko jeden raz, bo to będzie ten ostatni.

Oczy Joe'go były zwężone od wściekłości. Wiedziałem, że będę go musiał zabić, bo tylko to go może powstrzymać.

Skoczył na mnie. Usunąłem się i nóż świsnął koło mojego brzucha. Teraz! Gdy łapie równowagę! Zamachnąłem się ante-ną, żeby ciąć nią w jego odsłoniętą twarz. Nagle poczułem się tak, jakby dłoń Boga uchwyciła mnie za rękę. „Nadstaw drugi policzek”. Głos był tak realny, jakby to mówił ktoś stojący obok mnie.

Popatrzyłem na tego Apacza nie jak na wroga, ale jak na człowieka. Zrobiło mi się go żal, że stoi tak tutaj na ulicy z nienawiścią wypisaną na twarzy i zionie przekleństwami. Zobaczyłem siebie sprzed kilku tygodni stojącego na ciemnej ulicy i próbującego zabić wroga.

Pomodliłem się. Po raz pierwszy pomodliłem się o siebie:

– Boże, pomóż mi.

Apacz złapał równowagę i popatrzył na mnie.

– Co mówisz?

Powiedziałem to znowu: Boże, pomóż mi.

Joe stanął jak wryty i wytrzeszczył na mnie oczy.

Nadbiegła Loca i wcisnęła mi w rękę szyjkę rozbitej butelki od whisky.

– Haratnij go tym, Nicky. Joe rzucił się do ucieczki.

– Rzuć tym w niego, Nicky, rzuć tym!

Zamachnąłem się, ale zamiast rzucić butelką za uciekającym Apaczem, cisnąłem nią o ścianę domu.

Potem wyjąłem chusteczkę i zawiąłem w nią moją paskudnie krwawiącą rękę. Krew przesiąknęła przez cienką szmatkę. Loca popędziła na górę, do swojego pokoju, i przy-niosła mi duży ręcznik, żeby krew miała w co wsiąkać. Chciała mnie odprowadzić do domu, ale powiedziałem, że dam sobie radę i poszedłem.

Bałem się iść do szpitala, lecz wiedziałem, że potrzebują pomocy. Słabłem z upływu krwi. Musiałem przejść przez Park Waszyngtona, od strony Fulton Place, żeby dotrzeć do szpitala Cumberland. Musiałem tam dojść, zanim bym się wykrwawił. Gdy stałem na rogu De Kalb, koło straży pożarnej, i czekałem na zmianę świateł, zaczęło mi się mącić przed oczyma i doszedłem do wniosku, że muszę przejść przez ulicę, zanim zemdleję.

Zatoczyłem się na jezdnię między samochody. W tym mo-mencie usłyszałem wołanie i jeden z Mau Mau wybiegł na jezdnię, żeby mi pomóc. Był to Tarzan, prawdziwy

wariat, który nosił wielki meksykański kapelusz.

– Co chcesz zrobić, Nicky, popełnić samobójstwo? Myślał, że zwariowałem, bo oddałem serce Bogu.

– Człowieku, jestem ranny. Ciężko ranny. Pomóż mi dojść do mieszkania Izraela, dobra?

Tarzan poszedł ze mną do domu Izraela. Weszliśmy na piąte piętro do jego mieszkania. Gdy stukaliśmy w drzwi, była już północ.

Matka Izraela otworzyła drzwi i zaprosiła mnie do środka. Widziała, że jestem ranny. Izrael wyszedł z pokoju. Popatrzył na mnie i zaczął się śmiać.

– Człowieku, co ci się stało?

– Jeden Apacz mnie przebił.

– No wiesz, stary, nie przypuściłbym, że to ci się kiedyś może przytrafić.

Matka Izraela przerwała nam i zaczęła nalegać, abym poszedł do szpitala.

Izrael z Tarzanem pomogli mi zejść i prowadzili mnie do znajdującego się obok szpitala, do przyjęć w nagłych wypadkach. Tarzan zgodził się wziąć mój portfel z tym jednym dolarem i powiedzieć mojemu bratu, Frankowi, co mi się przytrafiło. Izrael czekał, dopóki lekarz nie obejrzał mi ręki. Miałem przecięte ścięgna i chcieli mnie uspić i operować. Gdy mnie wywożono, Izrael powiedział poważnie:

– Nie martw się, stary. Dostaniemy tego, kto to zrobił. Chciałem mu powiedzieć, że nie musimy się już mścić, że Bóg się nami zaopiekuje. Ale drzwi zamknęły się za mną cicho.

Wcześniej rano Izrael przyszedł do mnie do szpitala. Ciągle jeszcze byłem oszołomiony po narkozie, ale zorientowałem się, że coś się w jego wyglądzie zmieniło. Wreszcie udało mi się całkiem otworzyć oczy i zobaczyłem, że ogolił sobie całą głowę.

– Hej, łysek, co jest? – wymamrotałem. Izrael miał znów swój dawny wyraz twarzy.

– Człowieku, najpierw o mało co nas nie zastrzelili przed kościołem, a teraz ciebie zranili nożem. Ten interes Jezusa jest dla nienormalnych. Ten facet nie miał prawa tak cię potraktować. Dostanę go za ciebie.

Byłem coraz przytomniejszy. Uniosłem się na łóżku i po-wiedziałem:

– Człowieku, nie możesz tego zrobić. Mogłem sam go dostać wtedy wieczorem, ale zostawiłem to w rękach Boga. Jeśli wrócisz na ulicę, już nigdy się nie wycofasz. Pamiętaj, co Davie powiedział o przyłożeniu ręki do pług?

Człowieku, zrób tak jak ja i porzuć walkę.

Usiłując usiąść na łóżku zauważyłem, że z Izraelem przy-szły Lydia i Loretta. Opadłem na łóżko, wciąż jeszcze osłabiony z upływu krwi i od narkozy. Rękę od czubków palców po łokieć miałem za-bandażowaną.

Loretta, ładna czarnowłosa włoszka, z którą kilkakrotnie się umawiałem, powiedziała:

Nicky, Izrael ma rację. Ci faceci przyjdą do szpitala i zabiją cię, jeśli nie wrócisz do gangu. Zrobmy tak, jakby się nic nie zmieniło. Wyzdrowiejesz i wrócisz do Mau Mau. Będziemy na ciebie czekać.

Odwróciłem się i popatrzyłem na Lydię.

– Czy ty też tak uważasz? – spytałem. Lydia zwiesiła głowę.

– Nicky, muszę ci o czymś powiedzieć. Wstyd mi, że mówię o tym dopiero teraz, zamiast dawno temu. Od dwóch lat jestem chrześcijanką.

– Co?! – popatrzyłem na nią z niedowierzaniem – Chcesz mi powiedzieć, że cały ten czas byłaś chrześcijanką i nigdy mi o tym nie mówiłaś? Jak mogłaś być chrześcijanką i robić te wszystkie rzeczy, które robiłaś? Pomyśl o tym, co robiliśmy razem. Nie opowiadaj mi tu, że jesteś chrześcijanką. Chrześcijanie tak nie postępują. Oni nie wstydzą się Boga. Nie wierzę ci.

Lydia zagryzła dolną wargę, oczy zaszły jej łzami i za-częła miąć w rękę brzeg prześcieradła.

– Wstyd mi, Nicky. Bałam się powiedzieć ci o Chrystu-sie. Bałam się, że jeśli ci powiem, że jestem chrześcijanką, nie zechcesz mnie już więcej.

Izrael podszedł do łóżka.

– No, już dobra, Nicky. Jesteś po prostu wytracony z równowagi. Niedługo poczujesz się lepiej. Loretta i ja uwa-żamy, że powinieneś wrócić do gangu. Nie wiem, jak Lydia. Ale przemyśl to i nie martw się. Porozmawiam z chłopakami i dopadniemy tego, co ci to zrobił.

Odwróciłem się od nich. Loretta podeszła i pocałowała mnie w policzek. Gdy Lydia nachyliła się, żeby mnie pocałować, poczułem gorące łzy.

– Przepraszam Nicky, wybacz mi.

Nie odpowiedziałem. Lydia pocałowała mnie i uciekła. Usłyszałem, jak drzwi się za nimi zamykają.

Gdy wyszli, odczuwałem niemal fizyczną obecność sza-tana w moim pokoju. Mówił do mnie za pośrednictwem Izraela i Loretty. Posługiwał się moim rozczarowaniem do Lydii. Szeptał: „Nicky, jesteś głupcem. Oni mają rację. Wróć do gangu.

Przypomnij sobie, jak słodko jest być w ramionach pięknej dziewczyny.

Zdradziłeś swój gang, ale na powrót nie jest jeszcze za późno”.

Gdy diabeł tak mnie kusił, weszła pielęgniarka z obiadem na tacy. Ciągłe słyszałem diabelski szept: „wczoraj wieczorem po raz pierwszy nie oddałeś, gdy ktoś cię uderzył. Ale z ciebie tchórz. wielki bohater Nicky Cruz płacze w hali St. Nicholas. Ucieka przed Apaczem i pozwala mu odejść. Baba. Dureń. Tchórz”. Panie Cruz – powiedziała pielęgniarka stając koło łóżka – jeśli się pan odwróci, będę mogła ustawić tacę z obiadem. Podskoczyłem na łóżku. Uderzyłem w tacę, wytrącając ją z rąk pielęgniarki na podłogę.

Zjeżdżaj stąd do diabła!

Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale nie mogłem. Wszystkie przekleństwa znikły. Nie potrafiłem nawet o nich pomyśleć. Siedziałem tylko z otwartymi ustami i nagle łzy napłynęły mi do oczu i pociekły strumieniami po twarzy.

– Przepraszam, przepraszam – załkałem. – Proszę za-dzwonić do pastora. Proszę poprosić tu pastora Arce.

Pielęgniarka spokojnie pozbierała talerze i poklepała mnie po ramieniu.

– Zaraz do niego zadzwonię. Proszę się położyć i od-począć.

Położyłem się na poduszce i szlochałem. Wkrótce przy-szedł pastor Arce i zaczął się ze mną modlić. W trakcie modli-twy poczułem, jak odstępuje ode mnie dręczący mnie dotych-czas zły duch. Pastor powiedział, że przyśle do mnie rano pana Delgado i dopilnuje, żebym miał opiekę.

Wieczorem, gdy pielęgniarka pomogła mi zmienić bluzę od piżamy, ukląknę koło łóżka. Po południu na drugim łóżku w moim pokoju położyli jeszcze kogoś, ale myślałem, że on śpi. Zacząłem modlić się na głos, bo tylko tak umiałem. Nie wiedziałem, że można modlić się w myśli. Sądziłem, że trzeba modlić się „do Boga”, a jedyny sposób, w jaki potrafiłem to robić, polegał na mówieniu do Niego – głośnym mówieniu. Zacząłem się więc modlić.

Prosiłem Boga, żeby wybaczył chłopakowi, który mnie zranił, i aby ochraniał go od złego, dopóki ten chłopak nie dowie się o Jezusie. Prosiłem Boga, by wybaczył mi to, jak odnosiłem się do Lydii, i to, że wytrąciłem tacę z rąk pielęgniarki. Powiedziałem Mu, że pójdę wszędzie, gdzie On zechce, i zrobię wszystko, czego ode mnie zażąda. Przypomniałem Mu, że nie boję się umrzeć, ale prosiłem Go, aby pozwolił mi żyć wystarczająco długo, bym mógł kiedyś opowiedzieć rodzicom o Jezusie.

Długo klęczałem, zanim wczołgałem się znowu do łóżka i zasnąłem.

Następnego dnia ubierałem się przed wyjściem ze szpitala, kiedy mężczyzna w łóżku obok szepnął coś i kiwnął, żebym bliżej podszedł. Był to stary człowiek. Miał rurkę w gardle, był blady, drżał i mógł mówić tylko trochę szeptem.

– Nie spałem wczorajem – szepnął. Zażenowany, uśmiechnąłem się niemądrze.

– Dziękuję – powiedział mężczyzna. – Dziękuję ci za twoją modlitwę.

Ale ja nie modliłem się dla pana – wyznałem.

Myślałem, że pan śpi. Modliłem się dla siebie.

Starzec chwycił moją zdrową rękę swymi zimnymi, wilgotnymi palcami. Chwył ten był bardzo słaby, ale poczułem że ma to być silny uścisk.

– O, nie, mylisz się. Modliłeś się dla mnie. I ja się modli-łem. Modliłem się po raz pierwszy od wielu, wielu lat. Ja też chcę robić to, co Jezus mi każe.

Dziękuję ci.

Gdy mówił, po jego wymizerowanych, zapadłych policz-kach stoczyły się wielkie łzy.

– Niech pana Bóg błogosławi – powiedziałem i wy-szedłem.

Nigdy w życiu nie próbowałem nikomu udzielać pomocy duchowej. Nawet teraz nie umiałbym tego zrobić. Ale poczu-łem, mocno i wyraźnie, że Duch Boży udzielił jej za moim pośrednictwem. I rad byłem z tego.

Pan Delgado czekał na mnie w holu. Zapłacił już mój rachunek i poprowadził mnie do swojego samochodu.

Telefnowałem wczoraj wieczorem do Davida Wilkersona – powiedział

Jest w Elmirze, prowadzi tam cykl spotkań. Chce, żebym przywiózł tam jutro

ciebie i Izraela.

– Davie wspominał mi o tym podczas naszego ostatniego spotkania – zauważyłem.

– Ale Izrael wrócił do gangu. Myślę, że nie pojedzie.

– Pojadę porozmawiać z nim dziś wieczorem – powiedział pan Delgado. – Ale chciałbym, żebyś dziś był u mnie w domu. Tam będziesz bezpieczny. A jutro wcześniej rano po-jedziemy do Elmiry.

Uśmiechnąłem się w duchu na myśl o tym, że pojadę na spotkanie z Daviem do Elmiry. Do tej właśnie miejscowości chciała mnie posłać policja, ale z zupełnie innego powodu. Resztę dnia spędziłem modląc się za Izraela, żeby nie wrócił do gangu, tylko pojechał ze mną do Elmiry.

Na drugi dzień rano wstaliśmy wcześniej i pojechaliśmy przez miasto w kierunku Brooklynu i osiedla Fort Greene. Pan Delgado powiedział, że Izrael zgodził się pojechać z nami i ma na nas czekać na rogu Myrtle i De Kalb o siódmej. Ale gdy przyjechaliśmy na umówione miejsce, Izraela już tam nie było. Poczujęm gwałtowny skurcz żołądka. Okrążyliśmy blok ale Izraela nie było widać. Pan Delgado stwierdził, że śpieszy nam się, ale możemy jeszcze przejechać koło mieszkania Izraela na St. Edward Street, naprzeciwko szkoły nr 67 i zobaczyć czy go tam gdzieś nie ma. Pojechaliśmy, lecz nie widać było ani śladu Izraela. Pan Delgado ciągle popatrywał na zegarek i wreszcie powiedział, że musimy już jechać.

– Nie moglibyśmy jeszcze tylko raz objechać bloku dookoła? – spytałem. – Może go przeoczyliśmy? Pan Delgado powiedział:

– Słuchaj, Nicky, wiem, że kochasz Izraela i boisz się, że wróci do gangu. Ale on musi nauczyć się czasem za siebie odpowiadać. Powiedział, że spotka się z nami o siódmej rano i nie ma go tu. Okrążymy blok jeszcze raz, ale do Elmiry jest 6 godzin jazdy, a David oczekuje nas o drugiej po południu.

Przejechaliśmy jeszcze raz ulicą, po czym ruszyliśmy przez Bronx, żeby zabrać Jeffa Moralesa. Jeff był portorykańskim chłopakiem, który chciał zostać pastorem. David po-prosił pana Delgado o zabranie go, żeby tłumaczył moje słowa, gdy będę przemawiał w kościele.

Gdy wyjechaliśmy z miasta, odczułem ulgę. Oparłem się wygodnie i odetchnąłem. Było mi lekko. Ale głęboko, na dnie serca, czułem smutek, że zostawiliśmy Izraela; miałem jak najgorsze przeczucia co do jego przyszłości. Nie wiedziałem wówczas, że miałem go ujrzeć dopiero po sześciu latach.

Wieczorem David przedstawił mnie ludziom w Elmirze i opowiedziałem, w jaki sposób zostałem chrześcijaninem. David powiedział, żebym zaczął od początku i opowiadał wszystkim jak było. Nie byłem pewien szczegółów i niezbyt dobrze pamiętałem niektóre zdarzenia z mego życia. Zorientowałem się szybko, że Bóg nie tylko pozbawił mnie dawnych ciągotek, ale również starł z mej pamięci wiele wspomnień. Jednak opowiedziałem całą historię najlepiej, jak umiałem. Wielokrotnie wyprzedzałem swojego tłumacza i Jeff mówił:

– Wolniej, Nicky, pozwól mi mówić.

Ludzie śmiali się i płakali, a potem, wezwani, tłumnie szli do ołtarza oddać serca Chrystusowi. Uczucie, że Bóg wzywa mnie do stanu duchownego, wzmocniło się we mnie, gdy ujrzałem jak działa za moim pośrednictwem. Następnego dnia miałem okazję dłużej rozmawiać z Davidem. Spytał mnie, czy poważnie myślę o zostaniu pastorem.

Odpowiedziałem, że nie wiem nic o tej pracy i ledwo mówię po angielsku, ale czuję, że Bóg położył dłoń na moim życiu i wie gdzie mnie w tym kierunku. David powiedział, że zrobi wszystko, co będzie w jego mocy, żeby załatwić mi przyjęcie do szkoły.

Szkoła! Od trzech lat nie chodziłem do szkoły, z której wyrzucono mnie z hukiem.

– Davie, nie mogę wrócić do szkoły. Dyrektor powiedział, że jeśli kiedykolwiek tam wrócę, odda mnie gliniarzom.

David roześmiał się.

– Nie do tej szkoły, Nicky. Do szkoły biblijnej. Chciałbyś pojechać do Kalifornii?

– Gdzie?

– Do Kalifornii, na zachodnim wybrzeżu.

– Czy to jest koło Manhattanu? – spytałem. Wilkerson wybuchnął śmiechem.

– Och, Nicky, Nicky. Pan Bóg będzie miał z tobą dużo pracy. Ale myślę, że ma dość siły, by ją wykonać. A ty tylko czekaj i przyglądaj się. Jako pastor osiągniesz wspaniałe wy-niki. Jestem o tym głęboko przekonany.

Pokręciłem głową. Słyszałem, że gliniarze z Manhattanu są równie niemili, jak ci z Brooklynu. Jeśli miałem iść do szkoły, to lepiej, żeby to gdzieś było daleko od Nowego Jorku.

Davie chciał, żebym został w Elmirze, dopóki nie nadejdzie odpowiedź ze szkoły biblijnej, która, jak się później dowiedziałem, mieściła się w La Puente, w Kalifornii, niedaleko Los Angeles. Była to trzyletnia szkoła biblijna dla chłopców i dziewcząt, którzy chcieli przysposobić się do stanu duchownego, ale nie było ich stać na pójście do college'u. Oczywiście nie ukończyłem szkoły średniej, ale David wysłał do nich pocztą lotniczą list z prośbą, żeby pomimo wszystko mnie przyjęli. Nie robił tajemnicy z mojej poprzedniej kariery, ale pisał im o moich marzeniach i ambicjach i prosił, żeby przyjęli mnie na próbę, pomimo że dopiero przed kilkoma tygodniami zostałem chrześcijaninem.

Tymczasem w Elmirze zaczęło się dziać coraz gorzej. Ktoś rozpuścił plotkę, że jestem wciąż jeszcze przywódcą gangu i przyjechałem tu zorganizować gang. Davida to rozgoryczyło. Wiedział, że możemy mieć z tego powodu kłopoty. Zostałem u niego na noc, ale bałem się, że ludzie mogą mieć mu to za złe. Postanowiliśmy modlić się o to.

Tej nocy David mówił ze mną o chrzcie w Duchu Świętym. Słuchałem uważnie, ale nie rozumiałem, co usiłuje mi przekazać. Czytał mi ustępy Pisma Świętego: z Dziejów Apostołów, z 1 Listu do Koryntian, z Listu do Efezjan. Wyjaśniał, że gdy człowiek jest już zbawiony, Bóg chce napełnić go swoją siłą. Mówił o nawróceniu Saula w 9 rozdziale Dziejów Apostołów – że po 3 dniach od nawrócenia Saul otrzymał chrzest w Duchu Świętym i został napełniony nową siłą. Tego właśnie ci potrzeba, Nicky – powiedział – Bóg chce napełnić cię siłą i dać ci szczególne dary.

O jakich darach myślisz? – spytałem.

Otworzył Biblię na wersety 8–10, 12 rozdziału „1 listu do Koryntian” i opowiedział mi o dziewięciu darach Ducha.

Otrzymują je ci, którzy są ochrzczeni w Duchu Świętym. Możesz nie otrzymać wszystkich z nich, ale otrzymasz nie-które. My, zielonoświątkowcy, uważamy, że każdy, kto jest ochrzczony w Duchu, mówi językami.

– Chcesz powiedzieć, że będę w stanie mówić po angielsku bez żadnej nauki? – spytałem zdumiony.

David chciał mi jeszcze coś powiedzieć, ale zamknął Biblię.

– Pan powiedział apostołom, żeby czekali cierpliwie, a otrzymają moc. Nie chcę, aby w twoim przypadku dokonało się to zbyt pośpiesznie. Będziemy czekać, aż Pan ochrzci cię, gdy będziesz gotów przyjąć ten chrzest. Na razie mamy inny problem i musimy się w tej sprawie modlić – powiedział Davie i wyłączył światło.

– Jeśli Bóg da mi nowy język, mam nadzieję, że to będzie włoski. Znam doskonałą dziewczynę, włoszkę, i na pewno mógłbym...

Przerwała mi poduszka wilkersona, która przeleciała przez pokój i trafiła mnie w głowę.

Spać, Nicky. Już prawie dzień, i połowa miasta uważa, że jesteś przywódcą gangu. Jeśli Bóg da ci nowy język, byłoby lepiej, żeby był zrozumiały dla tych ludzi tutaj, kiedy będziesz im mówił, że naprawdę nie jesteś mordercą.

Następnego dnia David wrócił z porannego spotkania z zatroskaną twarzą.

Nie jest zbyt dobrze, Nicky. Trzeba będzie, żebyś wyjechał dziś przed wieczorem, ale nie mam pojęcia, gdzie – prócz Nowego Jorku – mogę cię posłać.

– Myślisz, że Pan słyszał nasze modlitwy wczoraj wieczorem? – spytałem. David był zgorszony.

– Oczywiście, że tak. Dlatego właśnie się modlę: bo wierzę, że On mnie słyszy.

– Modliłeś się, żeby Bóg zaopiekował się mną?

– Wiesz, że tak.

– No to czemu tak się niepokoisz?

David stał i patrzył na mnie przez chwilę, po czym powiedział:

– Chodź, pójdziemy na śniadanie. Jestem strasznie głodny. Ty chyba też?

O drugiej po południu zadzwonił telefon w naszym po-koju w motelu. Telefonował pastor kościoła, w którym David wygłaszał kazania. W gabinecie pastora była kobieta, która chciała z nami obydwojma porozmawiać. David powiedział, że zaraz będziemy.

Gdy weszliśmy, pastor przedstawił nas 72-letniej pani Johnson, która przyjechała prosto z domu położonego dwieście mil stąd, na północy stanu Nowy

Jork. Pani Johnson powiedziała, że nocą przemówił do niej Duch Święty. Przeczytała o mnie w gazetach i potem Duch Święty oznajmił jej, że mam kłopoty i że ona musi po mnie przyjechać.

Spojrzałem na Davida. Po jego twarzy spływały wielkie łzy.

– Pani może i nazywa się Johnson, ale moim zdaniem nazywa się pani Ananiasz.

Pani Johnson popatrzyła na Davida ze zdumieniem.

– Nie rozumiem – stwierdziła.

Do rozmowy włączył się tutejszy pastor:

– On ma na myśli Ananiasza, wspomnianego w 9 rozdziale „Dziejów Apostolskich”, którego Duch Święty poruszył i posłał, aby pomógł Pawłowi.

Pani Johnson uśmiechnęła się.

– Wiem tylko, że Bóg polecił mi przyjechać i zabrać tego chłopca ze sobą do domu.

David kazał mi się przygotować do wyjazdu z tą panią. Powiedział, że za kilka dni powinienem dostać odpowiedź za La Puente, a wtedy pośle po mnie. Nie chciało mi się jechać, ale dowiedziawszy się o tym, co stało się poprzedniego wieczora, i widząc, co dzieje się teraz, bałem się zostać.

Dwa tygodnie później zadzwonił do mnie David. Był podniecony. W Instytucie Biblijnym byli tak zaintrygowani perspektywą mojego przyjazdu, że zgodzili się odstąpić od zwykłych wymagań i przyjął mnie na pełnoprawnego studenta, David powiedział, żebym złapał autobus do Nowego Jorku, bo mam jutro wyjechać do Kalifornii. Tym razem nie miałem nic przeciwko powrotowi do Nowego Jorku. Przypomniałem sobie jazdę z doktorem Johnem i moje przygnębienie z powodu tego, że znowu wpadam w tę pułapkę. Ale ta pułapka już nie istniała. Tym razem kroczyłem drogą, która miała wyprowadzić mnie z tej dżungli.

Musiałem odczekać 5 godzin, zanim David mógł po mnie przyjechać. Zgodziłem się posiedzieć w poczekalni, żeby uniknąć kłopotów. Kłopoty same mnie jednak znalazły. Przybrały postać 10 wicekrólów, którzy w milczeniu stanęli wokół mnie, gdy siedziałem i czytałem gazetę.

– Hej, patrzcie, jaki przystojniak – powiedział jeden z nich, robiąc aluzję do mojego garnituru i krawata.

– Hej, łalusiu, jesteś poza swoim terytorium. Nie wiesz, że to jest rejon Wicekrólów?

Nagle jeden z nich się odezwał.

– Chłopaki, wiecie kto to jest? To ten wariat z Mau Mau, który został kaznodzieją.

Inny podszedł i szturchnął mnie palcem w twarz.

– Hej, kaznodziejo, mogę cię dotknąć? Może mi trochę twojej świętości zostanie na palcu. Odtrąciłem jego rękę.

– Chcesz zdechnąć? – warknąłem. Odezwał się we mnie dawny Nicky. – Spróbuj mnie jeszcze raz dotknąć, to cię wykończę.

– Oj! – chłopak podskoczył, udając przestraszony. – Wygląda jak kaznodzieja, ale mówi jak... – i użył tu nie-przyzwoitego wyrazu.

Zanim się spostrzegłem, zerwałem się i wbiłem mu pięść w brzuch. Gdy zgiął się od ciosu, uderzyłem go pięścią w tył głowy. Chłopak padł nieprzytomny na podłogę. Jego kumple tak byli zaskoczeni, że stanęli jak wryci. Ludzie na dworcu autobusowym rozbiegli się i pochowali za ławki. Wycofałem się do drzwi. Spróbujcie się ruszyć, to pozabijam wszystkich. Idę po Mau Mau. Będę tu za godzinę i wykończę wszystkich wicekrólów.

Wiedzieli, że nie żartuję. Wiedzieli też, że Mau Mau byli dwa razy silniejsi i okrutniejsi od nich. Spojrzeli po sobie i zaczęli się wycofywać w kierunku drugich drzwi, unosząc swojego bezwładnego kumpla.

– Niedługo wrócę! – krzyknąłem. – Lepiej zjeżdżajcie stąd i nie zatrzymujcie się ani razu, bo nie pożyjecie długo

wybiegłem w kierunku najbliższej stacji metra. Ale po drodze minąłem hiszpański kościół. Coś zmusiło mnie do zwolnienia i odwrócenia się. Powoli wszedłem po schodach i przez otwarte drzwi do środka. „Może najpierw powinienem, się pomodlić? – pomyślałem – Później pójde po Mau Mau”.

Lecz w kościele zapomniałem o Mau Mau i wicekrólach. Zacząłem myśleć o Jezusie. A potem o oczekującym mnie no-wym życiu. Ukląkłem przed ołtarzem i minuty płynęły mi jak sekundy. W końcu ktoś dotknął mojego ramienia.

Obejrzałem się. Za mną stał wilkerson.

– Kiedy nie znalazłem cię na dworcu autobusowym, od razu pomyślałem, że

będziesz tutaj – powiedział.

– Naturalnie – odpowiedziałem. – A gdzie miałbym być, z powrotem w gangu? Wilkerson roześmiał się i poszliśmy do samochodu

12. ZAGUBIONY W SZKOLE.

Instytut Biblijny w La Puente w Kalifornii był mały i bezpretensjonalny. Usytuowany był na niewielkiej przestrzeni, zaraz za miastem. Większość z siedemdziesięciorga studentów Instytutu mówiła po hiszpańsku i wychowała się w skromnych warunkach.

Steve Morales i ja przylecieliśmy z Nowego Jorku samolotem. Szkoła różniła się bardzo od wszystkiego, co znałem. Przepisy były bardzo surowe i skrupulatnie przestrzegano dyscypliny. Zajęcia lekcyjne ściśle wypełniały czas od wtorku do soboty. Większość studentów mieszkała w położonej na terenie szkoły bursie urządzonej z koszarową prostotą.

Kilka miesięcy upłynęło, zanim przywykłem do Instytutu. Dotychczas zawsze robiłem wszystko po swojemu, a tu, w Instytucie, wszystko odbywało się według dzwonka, od pobudki o szóstej rano do gaszenia światła o wpół do dziesiątej wieczorem. Zupełnie nie było wolnego czasu i musieliśmy, oprócz sześciu godzin w klasie, poświęcać dwie godziny dziennie modlitwie.

Najbardziej dokuczało mi to, że nie mogłem rozmawiać z dziewczynami. Było to surowo zabronione i mogliśmy porozumiewać się jedynie ukradkiem, przed lub po zajęciach, albo przy myciu naczyń podczas stałych dyżurów w kuchni.

Jednak filozofia szkoły polegała na nauce posłuszeństwa i dyscypliny i chociaż przychodziło mi to z trudnością, takiego właśnie treningu potrzebowałem.

Mniejsza dyscyplina pozostawiłaby mi zbyt dużo swobody.

Posiłki były syte, ale dalekie od smakowitości. Zwykle na śniadanie była gorąca papka z mąki kukurydzianej i tost, a raz na tydzień dostawaliśmy jajko. Taki wikt był jednak bezsprzecznie elementem naszej edukacji, ponieważ większość z nas miała być hiszpańskimi pastorami wśród biednej ludności i utrzymywać się, chcąc nie chcąc, z bardzo skromnych środków.

Nauczyciele okazali mi wiele cierpliwości. Nie umiałem zachowywać się jak należy i czułem się bardzo niepewnie. Próbowałem to nadrobić impertynencją i popisaniem się. Pamiętam, jak pewnego dnia rano, w trzecim miesiącu szkoły, staliśmy odmawiając za nauczycielem przydługą modlitwę rozpoczynającą zajęcia.

Od kilku tygodni wodziłem wzrokiem za ładną czarnowłosą, bardzo pobożną Meksykanką, która siedziała przede mną, ale nie udawało mi się zwrócić na siebie jej uwagi. W połowie modlitwy delikatnie usunąłem jej krzesło, uważając że teraz, to już na pewno dziewczyna mnie dostrzeże. Po „amen” wszyscy usiedli. Rzeczywiście, dostrzegła mnie. Usiadłszy z rozmachem na podłodze odwróciła się i spojrzała na mnie oczyma ciskającymi pioruny. Dusząc się ze śmiechu schyliłem się, żeby jej pomóc. Rzuciła mi wściekłe spojrzenie i wstała bez pomocy. Nie odezwała się ani słowem i jakoś przestało mi się to wszystko wydawać śmieszne. Dziewczyna szarpnęła krzesło na swoje miejsce i po drodze rozmyślnie uderzyła mnie jego kanciastą nogą w goleń. Nie przypuszczam, żeby coś jeszcze mogło tak bardzo boleć. Pocułem, jak krew odpływa mi z twarzy, i myślałem, że zemdleję. Klasa roześmiała się. Wreszcie odzyskałem władzę nad sobą i popatrzyłem na nią. Obrzuciła mnie spojrzeniem, które mogłoby wypalić dziurę w pancerzu czołgu. Uśmiechnąłem się słabo, ale czułem się tak, jakbym miał za chwilę zwymiotować. Dziewczyna odwróciła się, usiadła i znieruchomiała, wpatrując się w profesora.

Profesor odchrząknął i powiedział:

– Teraz, gdy już skończyliśmy modły poranne, możemy zaczynać. Pierwszy będzie odpowiadał pan Cruz.

Popatrzyłem na niego niepewnie, bez słowa.

– Panie Cruz! – powiedział profesor – mam nadzieję, że jest pan przygotowany do dzisiejszej lekcji.

Próbowałem coś odpowiedzieć, ale noga bolała mnie bardzo, że nie mogłem mówić. Panie Cruz, pan wie, jaka jest kara za nieprzygotowanie się do zajęć? Wiem, że ma pan trudności z językiem i że nie wdrożył pan jeszcze umysłu do rozumowania kategoriami akademickimi. Wszyscy staramy się okazywać panu cierpliwość, ale jeśli nie będzie pan przejawiał dobrej woli, będę zmuszony postawić panu zero i oblać pana z tego przedmiotu. Pytam ponownie: czy przygotował się pan do zajęć?

Kiwnąłem głową i wstałem. Głowę miałem zupełnie pustą. Pokuśtykałem na środek sali i stanąłem twarzą do klasy. Popatrzyłem na tę ładną dziewczynę z ciemnymi oczyma. Uśmiechnęła się słodko i otworzyła zeszyt tak, żebym widział strona po stronie sporządzone starannym pismem notatki na temat z którego właśnie miałem odpowiadać. Spojrzałem na profesora i powiedziałem słabym głosem: – Przepraszam. Wybiegłem z klasy do swojej sali.

Zrobiłem z siebie całkowitego durnia. Myślałem, że mogę robić zgrywy i wszyscy będą się śmiali, jak w gangu. Ale ci ludzie byli inni. Tolerowali mnie, ponieważ litowali się nade mną. Nie umiałem się dostosować. Byłem wyrzutkiem. Usiadłem na skraju łóżka i napisałem długi list do Davida Wilkersona.

Napisałem, że jest tu ciężko, a ja popełniłem błąd, przyjeżdżając tutaj. Przykro mi, że go zawiodłem, ale oba-wiam się, że jeśli zostanę w szkole, narobię mu kłopotów. Poprosiłem, żeby przysłał mi bilet na samolot do domu. List wysłałem ekspresem do domu Wilkersona w Pensylwanii.

Odpowiedź nadeszła po tygodniu. Niecierpliwie rozerwa-łem kopertę i znalazłem króciutki list:

Drogi Nicky,

Cieszę się, że tak dobrze ci idzie. Miłuj Boga i unikaj szatana. Niestety, akurat nie mamy na koncie pie-niędzy. Napiszę do Ciebie później, kiedy ich trochę zgromadzimy.

Twój przyjaciel, David.

Poczułem się przybity, rozstrojony i zawiedziony. Tym razem wysłałem ekspres do pana Delgado. Wiedziałem, że on ma pieniądze, ale bałem się napisać mu, że tak mi w szkole ciężko. Napisałem, że moja rodzina w Puerto Rico potrzebuje pieniędzy i muszę pojechać do domu, żeby pójść do pracy i pomóc im.

Od roku nie miałem od rodziny żadnych wiadomości, ale nie umiałem wymyślić niczego innego, co brzmiałoby prawdopodobnie i nie wydałoby się od razu.

Po tygodniu dostałem ekspres od Delgado:

Drogi Nicky,

Miło mi, żeś do mnie napisał. Wysłałem pieniądze Twojej rodzinie, możesz więc zostać w szkole. Niech Cię Bóg błogosławi.

Tego dnia wieczorem poszedłem porozmawiać z dziekanem Lopezem. Opowiedziałem mu o swoich problemach. Buntuje się przeciwko wszystkiemu i wszystkim. Wczoraj była moja kolej sprzątnięcia sali wykładowej, a ja rzuciłem miotłą o po-długę i powiedziałem, że przyjechałem do Kalifornii, by cho-dzić do szkoły, a nie żeby pracować jak niewolnik. Ciągłe cho-dzę charakterystycznym krokiem chłopaka z gangu. Wiem, że nie powinienem nawet myśleć tak, jak myślał dawny Nicky, ale nic na to nie umiem poradzić. Kiedy inni chłopcy próbo-wali się za mnie modlić, odtrąciłem ich i powiedziałem, że są zbyt dobrzy dla mnie. Jestem oszustem. Gangsterem. Oni wszyscy są święci. Chcieli modlić się za mnie i położyć na mnie dłonie, ale ja nie pozwoliłem im zbliżyć się do siebie. Siedziałem w malutkim gabinecie dziekana, ocierałem gorzkie łzy i błagałem o pomoc.

Dziekan Lopez był drobnym śniadym mężczyzną. Słuchał, kiwając głową, i w końcu sięgnął po swoją, noszącą ślady częstego używania, Biblię, przywaloną wielką stertą oczekują-cych na ocenę prac studentów.

– Nicky, musisz przyjąć Ducha Świętego. Zostałeś zba-wiony i chcesz naśladować Chrystusa, ale nigdy w życiu nie osiągniesz prawdziwego zwycięstwa, jeśli nie otrzymasz chrztu w Duchu Świętym.

Siedziałem i słuchałem dziekana Lopeza, który z otwartą Biblią w ręce opowiadał mi o wspa-niałym zwycięstwie, jakie mogę osiągnąć, jeśli otrzymam Ducha Świętego.

– W pierwszym rozdziale „Dziejów Apostolskich” aposto-łowie byli w twojej sytuacji, Nicky. Byli zbawieni, ale nie mieli wewnętrznej siły. Byli uzależnieni od fizycznej obec-ności osoby Jezusa Chrystusa, który dawał im siłę. Byli napełnieni siłą wtedy, gdy byli blisko Niego. Ale z dała od Niego byli bezsilni. Tylko raz Ewangelia zaświadcza o uzdrowieniu dokonany-m przez Jezusa nie w obecności uzdrawianego. Było to w przypadku sługi setnika. Ale nawet wówczas setnik musiał przyjść do Jezusa, aby otrzymać zadośćuczynienie za swoją wiarę.

U Mateusza jest napisane, że Jezus posłał dwunastu uczniów, dając im moc nad duchami nieczystymi, aby je wyganiałi i aby uzdrawiali wszelką chorobę. Ale nawet z Jego pełnomocnictwem wciąż nie mieli siły niezbednej do fizycznego

działania. Stwierdzenie tego faktu znajduje się dalej w tej samej Ewangelii, gdy pewien człowiek przyprowadza do Jezusa syna z prośbą o uzdrowienie i mówi, że przyprowadzał go już do Jego uczniów, ale nie byli w stanie go uzdrowić. Słuchałem uważnie, a dziekan kartkował swoją podniszczoną Biblię z biegłością znawcy.

- W ogrodzie Getsemani Jezus odszedł od uczniów, aby się modlić. Ale gdy tylko zniknął im z oczu, stali się bezsilni. Prosił ich, by czuwali i wyglądali żołnierzy, ale oni zamiast tego posnęli.

Pomyślałem: „To ja. Wiem, czego On chce ode mnie, ale nie mam siły tego zrobić. Kocham Go i chcę Mu służyć, ale jestem bezsilny”.

Dziekan mówił gładząc palcami Biblię, jakby dotykał dłoni starego przyjaciela. W jego oczach lśniły łzy, gdy mówił o swoim drogim Panu:

- Dalej, przypomnij sobie, co działo się później tego wieczora, kiedy Piotr został na zewnątrz pałacu. Gdy zabrano jego Pana, Piotr utracił siłę. Stał się duchowym tchórzem. Nawet wobec służącej zaklinał się i wypierał się znajomości z Nim.

Lopez gwałtownie zaczerpnął powietrza. Wielkie łzy wystąpiły mu na powieki i spadły na żółte karty otwartej Biblii.

- Och, Nicky, jakież to typowe dla nas wszystkich. Jakie tragiczne! Jak okropnie tragiczne było to, że w godzinie próby On musiał cierpieć samotnie. Gdybyż Bóg pozwolił mi być tam, cierpieć z Nim... umrzeć z Nim. A jednak, Nicky, obawiam się, że mógłbym zachować się jak Piotr, bo Duch Święty nie przyszedł jeszcze i zdany na swe własne siły, ja również bym go opuścił. Dziekan musiał przerwać, bo głos odmówił mu posłuszeństwa. Wyjął z kieszeni chusteczkę i głośno wysiakał nos. Otworzył ponownie Biblię na „Dziejach Apostolskich”, podjął przerwany wątek:

Nicky, pamiętasz, co stało się po Ukrzyżowaniu?

Pokręciłem głową. Niewiele wiedziałem z Biblii.

- Wszyscy uczniowie dali za wygraną. Powiedzieli już po wszystkim, i chcieli wracać do swoich łodzi rybackich. Jedyną moc, jaką mieli, była moc pochodząca z fizycznej obecności Jezusa, w którym mieszkał Duch Boży. Ale po Zmartwychwstaniu Jezus polecił uczniom wrócić do Jeruzalem i czekać, dopóki nie otrzymają nowej mocy, obiecanej mocy Ducha Świętego.

Ostatnią obietnicą Jezusa, daną jego wyznawcom, było to, że otrzymają moc. Popatrz tutaj, w „Dziejach Apostolskich” (1,8) - dziekan trzymał Biblię tak, żeby z drugiej strony biurka mógł czytać razem z nim - „Ale weźmiecie moc Ducha Świętego, kiedy zstąpi na was, i będziecie mi świadkami w Jeruzolimie i w całej Judei, i w Samarii, i aż po krańce ziemi”.

- Widzisz, Nicky, to nie jest rozkaz, aby iść i świadczyć. To jest obietnica udzielenia mocy. A gdy apostołowie otrzymali moc, chcąc nie chcąc stali się świadkami. Otrzymali moc w chrzcie Ducha Świętego. Duch Święty wrócił z nieba w potężny, wspaniały sposób i napełnił każdego z apostołów tą samą mocą, jaką napełniony był Jezus.

Poruszyłem się na krześle.

- Jeśli Bóg zsyła Swego Ducha - zapytałem - dlaczego nie zesłał Go mnie?

- O, zesłał - odpowiedział dziekan. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem za swoim małym biurkiem.

- Zesłał! Tyś Go tylko jeszcze nie otrzymał.

- Zesłał Go, otrzymałem Go - co za różnica?

- Duch Boży jest w tobie, Nicky. Wszedł w twoje życie w ten wieczór w hali St. Nicholas. „Nikt nie może powiedzieć, że Jezus jest jego Panem, bez Ducha Świętego”. To Duch Święty uświadomił ci twoje grzechy. To Duch Święty dał ci moc przyjęcia Jezusa za swego Pana. To Duch Święty otworzył przed tobą drzwi szkoły. Ale nie pozwoliłeś Mu napełnić cię zupełnie.

- Co mam robić? - spytałem wprost. - Próbowałem oczyścić duszę pozbywając się moich wszystkich grzechów. Prosiłem i modliłem się, ale nic się nie wydarzyło. Dziekan uśmiechnął się.

- To nie jest coś, co człowiek może zrobić, Nicky. Człowiek po prostu Go otrzymuje.

Pokręciłem głową. Ciągłe nic nie rozumiałem.

Dziekan Lopez znowu wziął do ręki Biblię i jednym ruchem otworzył ją na „Dziejach Apostolskich”.

Pozwól, że opowiem ci o człowieku, nazywanym Saulem. Saul wybierał się na

„wielką rozróbę” do Damaszku i po drodze został powalony przez Ducha Chrystusowego. Później został ochrzczony w Duchu i został kaznodzieją. Tym razem moc nadeszła przez położenie na nim rąk.

Czy w ten sposób ja mogę to otrzymać? – spytałem. – ktoś może położyć na mnie ręce i będę ochrzczony w Duchu Świętym? .

Może się to stać w ten sposób – odpowiedział dziekan Lopez – albo możesz otrzymać chrzest będąc całkiem sam. Ale gdy się to już stanie, twoje życie odmieni się na zawsze. Przerwał, popatrzył mi prosto w oczy i powiedział: Świat potrzebuje twojego głosu, Nicky. Są setki ty-sięcy młodych ludzi w całej Ameryce, żyjących dalej tam, gdzie ty żyłeś – i tak, jak ty żyłeś. Są w szponach strachu, nienawiści i grzechu. Potrzebują silnego, orędującego za nimi głosu, który będzie wznosił się ze slumsów i gett, wskazując ich Chrystusowi, który może wydobyć ich z niedoli. Oni nie będą słuchoać dzisiejszych elokwentnych kaznodziejów. Nie będą słuchoać nauczycieli z seminariów duchownych i szkół biblijnych. Nie będą słuchoać działaczy społecznych. Nie będą słuchoać zawodowych głosicieli ewangelii. Nie będą chodzić do wielkich kościołów, a jeśli nawet pójdą, nie będą tam mile widziani. Potrzebują orędownika wyrosłego wśród nich sa-mych, Nicky. I od tej chwili będę się modlił, żebyś ty został tym orędownikiem. Mówisz ich językiem. Mieszkałeś tam, gdzie oni mieszkają. Jesteś taki jak oni. Nienawidziłeś tak, jak oni nienawidzą. Bałeś się tak, jak oni się boją. A teraz Bóg dotknął twojej duszy i wyprowadził cię z tego rynsztoka, abys mógł wzywać innych do wstąpienia na Drogę Krzyżową.

Nastąpiła długa chwila świętej ciszy. Potem dziekan ode-zwał się znowu.

– Nicky, chcesz, żebym modlił się o to, byś otrzymał Ducha Świętego?

Myślałem długo, po czym odpowiedziałem:

– Nie. Czuję, że to jest coś, co muszę otrzymać sam. Jeśli mam działać bez pomocy, muszę to otrzymać bez pomocy. Wierzę, że On napełni mnie, kiedy będzie gotów... bo ja już jestem gotów. Dziekan Lopez spojrział na mnie i uśmiechnął się.

– Jesteś mądry, młody Nicky. Te słowa mogą pochodzić jedynie od Ducha Świętego. Szybko zbliża się czas, kiedy twoje życie całkowicie się odmieni. Będę się modlił za ciebie tak, jak ty modlisz się za siebie.

Popatrzyłem na zegar ścienny. Spędziłem u dziekana 4 godziny. Była druga w nocy. Następną pięć nocy poświęciłem żarliwej modlitwie w kaplicy. Dnie miałem wypełnione zajęciami szkolnymi, ale nocą szedłem do kaplicy błagać Boga o udzielenie mi chrztu w Duchu Świętym. Nie umiałem się modlić inaczej niż na głos i robiłem to coraz głośniejsze i głośniejsze. Klęczałem przed ołtarzem i krzyczałem do Boga:

– Ochrczuj mnie, ochrczuj mnie, ochrczuj mnie!

Ale nic się nie działo. To było tak, jakby kaplica była szczelnie zamkniętą skrzynią i moje modlitwy nie mogły do-trzeć do Niebios. Noc po nocy chodziłem do kaplicy, klęczałem i biłem pięściami w balustradę przed ołtarzem krzycząc:

– Ochrczuj mnie, Boże! Proszę Cię, ochrczuj mnie, żebym mógł mieć moc Chrystusa! Próbowałem nawet wymawiać słowa w jakimś nieznanym języku, ale nic mi nie wychodziło.

W piątkową noc, po tygodniu bezowocnych modłów po cztery do pięciu godzin, byłem już całkiem wyczerpany i bliski załamania. O północy opuściłem kaplicę i szedłem powoli przez dziedziniec, gdy usłyszałem czyjś krzyk za budynkiem szkolnym. Pobiegłem co sił w nogach za róg i wpadłem na Roberto, byłego narkomana.

– Hej, Roberto! Roberto! Co się stało? Roberto uniósł ręce ku niebu i krzyknął:

– Chwał Boga! Chwał Boga! Chwał Boga!

– Co się stało? Dlaczego jesteś taki szczęśliwy?

– Zostałem ochrczony w Duchu Świętym. Dziś w nocy, właśnie kilka minut temu, modliłem się i Bóg dotknął mojej duszy i napełnił mnie radością i szczęściem. Nie mogę się za-trzywać. Muszę iść, powiedzieć światu. Chwał Boga, Nicky, chwał Jego cudowne imię!

Roberto pobiegł przez dziedziniec, skacząc w górę i krzycząc:

– Alleluja! Chwalcie Boga!

– Hej, poczekaj chwilę! – krzyknąłem za nim. – Roberto! Roberto! Gdzie otrzymałeś chrzest? Gdzie byłeś, kiedy to się stało?

Roberto odwrócił się i z uniesieniem pokazał na budynek szkolny. W tej dużej

sali. Byłem na środku i klęczałem i On napełnił mnie żarem. Alleluja! Chwalcie Boga!

Nie słuchałem dłużej. Na złamanie karku pogałem do tej sali. Jeśli On spłynął na Roberta, może jest jeszcze i może spłynie na mnie? Wpadłem do budynku i pobiegłem korytarzami do dużej sali. Zahamowałem ostro przed drzwiami i zajrzałem do środka. Było tam ciemno i cicho.

Powoli wszedłem do ciemnego wnętrza sali i po omacku, pomiędzy krzesłami i stolikami, przeszedłem do przodu. Ukłąłem obok stolika, przy którym ta ładna ciemnooka dziewczyna z takim rozmachem usiadła na podłodze, kiedy wyciągnąłem spod niej krzesło. Nie traciłem czasu na odtworzenie sobie w pamięci tego całego zdarzenia. Tradycyjnym gestem złożyłem ręce, uniosłem twarz ku sufitowi i wykrzyknąłem głośno:

– Boże, to ja, Nicky! Ja też tu jestem. Ochrczuj mnie! Wstrzymałem się w oczekiwaniu. Nic się nie stało. „Może mówię do niewłaściwej osoby – pomyślałem. – Spróbuję jeszcze raz”.

– Jezu – krzyknąłem z całych sił. – To ja, Nicky Cruz. Jestem tu, w sali w La Puente. Czekam, żebyś mnie ochrczył Twoim Duchem. Pozwól mi otrzymać Twój chrzest.

Nadzieja moja była tak silna, że omal nie uniosłem się nad podłogę. Usta miałem otwarte w gotowości do mówienia językami. Napiąłem mięśnie nóg, by móc w każdej chwili zerwać się i pobiec, jak Roberto. Ale nic się nie działo. Nic. Cisza. Podłoga była coraz twardsza i kolana zaczynały mnie boleć. Powoli wstałem i zniechęcony poszedłem przez ciemny dziedziniec do sypialni.

W powietrzu unosił się zapach kwitnącego jaśminu. Pod nogami czułem wilgotną od wczesnej rosy trawę. Z zarośli dobiegał krzyk samotnego lelka, a skądś z daleka słyhać było niskie dudnienie diesla, wywożącego z doliny swój nocny ładunek. Księżyc wśliznął się za ciemną chmurę niczym uwodzicielska kobieta wycofująca się do swojego pokoju i zamykająca za sobą drzwi. Zapach jaśminu i gardenii unosił się w chłodnym nocnym powietrzu. Latarnie uliczne mrugały, gdy wiatr poruszał przed nimi liśćmi palm. Byłem w raju Boga.

Cicho wśliznąłem się do sypialni i po omacku trafiłem do łóżka. Położyłem się na wznak, z rękami pod głowę, i zacząłem patrzeć w ciemność. Słyszałem ciche oddechy chłopców.

– Boże! – załkałem i poczułem, jak gorące łzy napływają mi do oczu i spływają koło uszu na poduszkę. – Przez tydzień prosiłem Cię, a Ty mi odmówiłeś. Nie jestem dobry. Wiem, dlaczego nie napełniłeś mnie. Nie jestem dość dobry. Przy innych ludziach zachowuję się jak dureń. Nie wiem na-wet, jak trzymać nóż i widelec. Nie umiem dobrze czytać i nie umiem myśleć na tyle szybko, żeby im dorównać. Znam tylko gang. Jestem tutaj tak na miejscu, tak jestem brudny i grzeszny. Chcę być dobry. Ale nie mogę być dobry bez Twojego Ducha, a Ty mi Go nie dasz, bo nie jestem dość dobry.

Stanął mi przed oczyma mój dawny pokój przy Fort Greene Place 54 i wstrząsnąłem się mimowolnie.

– Nie chcę wracać, Boże, ale po prostu nie daję sobie tutaj rady. Ci wszyscy chłopcy i dziewczęta są tak pobożni i świątobliwi, a ja jestem tak ohydny i grzeszny. Potrafię do-strzec, kiedy jestem nie na miejscu. Jutro wracam. Odwróciłem się na bok i zapadłem w niespokojny sen.

Na drugi dzień wróciłem po zajęciach do sali, żeby się spakować. Postanowiłem wymknąć się poza teren szkoły i udać się w długą drogę do domu autostopem. Pozostawanie tutaj nie miało sensu.

Gdy siedziałem na łóżku i rozmyślałem, przeszkodził mi jeden ze studentów mieszkających poza terenem szkoły.

– A, jesteś Nicky! Właśnie chciałem się z tobą zobaczyć. Pomyślałem sobie: „A ja z tobą właśnie nie chciałem się zobaczyć”.

– Nicky – ciągnął chłopak radośnie – mamy w małej misji przy alei Guava nabożeństwo i czytanie Biblii. Chcę, żebyś poszedł tam ze mną. Pokręciłem głową.

– Nie dzisiaj, Gene. Jestem zmęczony i mam jeszcze dużo nauki. Poproś jakiegoś innego chłopaka.

– Ale nie ma tu innych chłopaków – powiedział i klepnął mnie w ramię – a oprócz tego Duch Święty powiedział mi, żebyś przyszedł po ciebie.

– Hmm, Duch Święty, co? A mnie Duch Święty powiedział, żebyś został tutaj i odpoczął, bo się zmęczyłem gadając do Niego przez cały tydzień. A teraz idź

już sobie i pozwól mi odpoczywać.

Położyłem się na łóżku i odwróciłem do niego plecami.

Nie wyjdę stąd bez ciebie – powiedział z uporem i usiadł na podłodze po turecku. Zirykowało mnie to. Ten chłopak ma źle w głowie. Czyż nie widzi, że nie mam ochoty iść?

– No dobra – westchnąłem – pójdę z tobą. Ale nie dziw się, jeśli zasnę w czasie nabożeństwa.

– Chodźmy – powiedział Gene wesoło i pociągnął mnie za rękę. – Jesteśmy już spóźnieni, a ja mam wygłosić kazanie

Postanowiłem, że pójdę z nim, a po nabożeństwie wymknę się i wyjadę z miasta autostopem. Upchnąłem po kieszeniach szczotkę do zębów i kilka niezbędnych drobiazgów. Doszedłem do wniosku, że resztę rzeczy mogę tu zostawić. I tak nie były zbyt wiele warte.

Przybyliśmy do małej misji około wpół do ósmej wieczór. Misja była wybudowana z brązowej, suszonej na słońcu cegły, a wewnątrz była otynkowana. Na prostych drewnianych ławkach siedzieli prości Meksykanie.

„Wreszcie jestem w dobrym towarzystwie – pomyślałem. – Chociaż nawet ci ludzie są lepsi niż ja. Oni przy-najmniej przyszli tutaj z własnej woli, a ja przyszedłem, bo mnie zmuszono”.

Gene mówił około piętnastu minut, po czym rzucił we-zwanie do ołtarza.

Siedziałem w ostatnim rzędzie koło siwego mężczyzny, od którego mocno czuć było brudem i potem. Jego ubranie było tak brudne, jakby przyszedł tu prosto od roboty na jakiejś farmie, nie umywszy się nawet. Kiedy Gene mówił kazanie, ten stary człowiek zaczął cicho płakać.

Jezu, Jezu, Jezu – powtarzał szeptem – dzięki Ci, Jezu, o dzięki Ci Jezu!

Coś poruszyło się w mojej duszy. Było to tak, jakby ktoś odkręcił kurek – najpierw trochę. I wtedy zacząłem się napełniać.

Dziękuję Ci Jezu – modlił się koło mnie stary farmer – dzięki Ci.

O Boże! – zaszlochałem – O Jezu, Jezu, Jezu!

Zaciskałem zęby i próbowałem to powstrzymać, ale tama pękła i pobiegłem przejściem między ławkami ku ołtarzowi, potykając się i zataczając, aż upadłem na z gruba ciosaną balustradę przez ołtarzem i wybuchnąłem niepowstrzymanym płaczem.

Poczułem na głowie dłoń Gene'a.

– Nicky – ledwo słyszałem jego głos przez moje łkania – Nicky, Bóg nie chciał pozwolić ci uciec dzisiejszej nocy, Jego Duch przyszedł do mnie przed godziną i posłał mnie do twojej sali, żebym cię przyprowadził na to nabożeństwo.

Wiedziałem, że chcesz uciec. On wysłał mnie, żebym cię powstrzymał.

Skąd on wiedział? Nikt o tym nie wiedział. Nikt, oprócz Boga.

– Bóg wysłał mnie do ciebie. Nicky. Wszyscy chłopcy i nauczyciele modlili się za ciebie w szkole. Czujemy, że Bóg złożył na tobie Swą dłoń w zdumiewający, cudowny sposób. Czujemy, że On wkrótce skieruje cię na drogę wspaniałego budzącego respekt duszpasterstwa. Kochamy cię. Kochamy cię. Kochamy cię.

Łzy płynęły mi strumieniami. Chciałem mówić, ale nie mogłem. Poczułem, jak Gene przekracza nie pomalowaną balustradę, obejmuje mnie ramieniem i klęka obok mnie.

– Czy mogę się za ciebie modlić, Nicky? Czy mogę się modlić, żeby Chrystus ochrzcił cię w Jego Duchu Świętym?

Próbowałem odpowiedzieć, ale rozpłakałem się jeszcze bardziej. Kiwnąłem głową i wydałem kilka śmiesznych od-głosów, które Gene wziął za zgodę.

Nie usłyszałem jego modlitwy. Nie wiem nawet, czy w ogóle się modlił.

Niespodzianie otwarłem usta i popłynęły z nich najpiękniejsze dźwięki, jakie kiedykolwiek słyszałem. Poczułem jakąś siłę oczyszczającą mnie całego od wewnątrz od palców nóg do czubka głowy. Język, w jakim sła-wiłem Boga, nie był angielskim ani hiszpańskim. Był to jakiś nie znany mi język. Nie miałem pojęcia, co mówię, ale wiedziałem, że chwałę Boga Przenajświętszego słowami, których nigdy sam bym nie użył.

Nie czułem wpływu czasu ani twardych, nie heblowanych listew pod kolanami.

Modliłem się do Boga tak, jak zawsze pragnąłem się modlić i nie miałem zamiaru przestać.

Zdawało mi się, że upłynęło zaledwie kilka chwil, gdy poczułem, że Gene potrząsa mnie za ramię.

– Nicky, już późno. Musimy wracać do szkoły.

– Nie, tu jest dobrze – usłyszałem swój głos – pozwól mi zostać tu na zawsze.
– Nicky – nalegał Gene – musimy iść. Możesz skończyć, kiedy wrócimy, ale musimy już jechać do szkoły.

Podniosłem wzrok. W kościele nie było nikogo prócz dwóch.

Ojej, gdzie się wszyscy podziali?

Człowieku, jest jedenasta wieczór. Poszli ponad godzinę temu.

To znaczy, że modliłem się przez dwie godziny? – spytałem z niedowierzaniem. Dziękuję Ci Jezu! Dziękuję Ci! – wykrzykiwałem, gdy pobiegliśmy do samochodu. Gene wysadził mnie przed bursą i odjechał. Wpadłem do sali, zaświeciłem światło i zacząłem na cały głos śpiewać „Święty, Święty, Święty Boże Niezmierzony”.

Hej, co się dzieje? Co się stało? – zaczęli krzyczeć moi współmieszkańcy. – Zgaś światło! Ależ z ciebie wariat!

Zgaś światło!

– Cicho! – krzyknąłem. – Dziś jest moje święto! Nie wiecie, co mi się przydarzyło, ale ja wiem i będę dziś śpiewał... „Radość niebiańska, słońce niebieskie serce napełnia mi blaskiem swym...”

Grad poduszek posypał się na mnie ze wszystkich stron.

– Zgaś światło!

Ale ja wiedziałem, że w mej duszy zapłonęło światło, które nigdy nie zgaśnie. Będzie płonąć zawsze.

Tej nocy miałem znowu sen, pierwszy od czasu, kiedy zostałem zbawiony. Śniło mi się, że stoję na szczycie wzgórza koło Las Piedras w Puerto Rico, na którym stałem już wiele razy przedtem w dręczących mnie dawniej snach. Popatrzyłem w niebo i ujrzałem znajomy kształt ptaka. Zadrżałem i spróbowałem się obudzić. O Boże, nie pozwól im zacząć od nowa, proszę Cię. Ale ptak zbliżał się z każdą chwilą. Jednak tym razem nie był to beznogi ptak, nawet nie gołąb. To była synogarlica, która delikatnie usiadła na mojej głowie. Po chwili obraz rozwiązał się i zapadłem w głęboki, krzepiący sen.

13. GDZIE ANIOŁY
BOJĄ SIĘ POJAWIĆ.

Dni, które nastąpiły potem, były pełne radości i triumfu. Pierwszą zmianą, jaką zauważyłem, była zmiana w moim zachowaniu. Nie zachowywałem się już jak ulicznik. Stałem na baczność w czasie modlitwy, modląc się razem z prowadzącym. Zamiast zachowywać się impertynencko, zacząłem okazywać innym szacunek. Odnosiło się to zwłaszcza do tej dziewczyny z pięknymi czarnymi oczyma, siedzącej przede mną.

Dowiedziałem się, że na imię ma Gloria. W dniu, kiedy opisałem klasie moją drogę do Chrystusa, Gloria podeszła do mnie i uściśnęła mi dłoń z dystynkcją i godnością:

– Niech cię Bóg błogosławi, Nicky. Modliłam się za ciebie.

Miałem powody przypuszczać, że raczej modliła się, abym padł trupem, ale przekonałem się, że szczerze cieszyła się z tego, iż Bóg mnie natchnął. Widać to było w jej pięknym uśmiechu i czarnych oczach, które lśniły jak gwiazdy o północy. Po tygodniu nabrałem już na tyle śmiałości, że spytałem ją, czy pójdzie ze mną na nabożeństwo misyjne, które odprawialiśmy w małym kościółku niedaleko college’u. Gloria kiwnęła głową z uśmiechem, od którego pojawiły się na jej policzkach dołeczki.

Przez ten rok wiele razy chodziliśmy razem na nabożeństwa. Choć zawsze byliśmy z grupą, wiele się o Glorii dowiedziałem. Urodziła się w Arizonie. Jej ojciec był Włochem, a matka Meksykanką. Przeprowadzili się do Kalifornii, gdy Gloria miała pięć lat. Rodzice otworzyli bar w Oakland. W ostatniej klasie szkoły średniej Gloria została zbawiona i postanowiła wstąpić do szkoły biblijnej. Jej pastor, wielbny Sixto Sanchez, poradził jej, aby napisała do Instytutu Biblijnego. Została przyjęta i jesienią przyjechała do szkoły. Gdy zbliżał się koniec roku szkolnego, spostrzegłem, że przeżywa jakąś głęboką wewnętrzną rozterkę. Wyraźnie dawała się jej we znaki surowa dyscyplina szkoły. Z końcem następnego roku powiedziała mi, że wątpi, aby wytrzymała tu przez następny rok, więc nie wróci do szkoły. Zasmuciło mnie to ale uprosiłem ją, żeby do mnie napisała.

Pierwsze lato spędziłem w Los Angeles. Pewni przyjaciele zabrali mnie do siebie. Ale bardzo tęskniłem za Glorią. Gdy jesienią rozpoczął się rok

szkolny, z radością znalazłem oczekujący na mnie list. Gloria dotrzymała obietnicy.

Częściowo przedstawiła mi motywy, które skłoniły ją do porzucenia szkoły. „Moje doświadczenia różnią się od twoich, Nicky – pisała. – Mimo że rodzice prowadzili bar, byłam wychowana w dobrej, moralnej atmosferze. Gdy zostałam zba-wiona, zaczęłam popadać w skrajność. Nauczono mnie, że grzechem jest naśladować wzory światowego życia. Przestałam się malować, nie chciałam nosić kostiumu kąpielowego i nawet nie nosiłam biżuterii. Odrzucałam wszystko. Gdy poszłam do szkoły, było jeszcze gorzej. Byłam bliska załamania. Chciałam ci to powiedzieć, ale ani razu nie byliśmy sami. Mam nadzieję, że zrozumiesz i będziesz się za mnie modlił. Ale nie wrócę już do szkoły...”. Drugi rok w szkole biblijnej upływał mi szybko. Moje stopnie poprawiły się, koledzy zaczęli mnie akceptować. Kilka razy miałem okazję wygłaszać kazanie w czasie ulicznych nabożeństw i opowiadać o swoim nawróceniu w kilku okolicznych kościołach.

W kwietniu dostałem list od Davida Wilkersona. Ciągle mieszkał w Pensylwanii, ale chciał, żebym wrócił tego lata do Nowego Jorku i działał wśród brooklyńskich gangów. Miał zamiar wynająć mieszkanie na Clinton Avenue, pomiędzy Fulton a Gates i uzyskać zapewnienie od Thurmana Faisona i Luisa Delgado, że będą pracować ze mną, jeśli przyjadę. Pieniądzy nie jest dużo, ale będziemy mieli gdzie mieszkać i dostaniemy po siedem dolarów tygodniowo. Tego samego dnia wieczorem, po zajęciach, poszedłem do gabinetu dziekana i zamówiłem rozmowę z Davidem na jego koszt. Telefon długo dzwonił. Wreszcie odezwał się zaspany głos i mruknął, że zgadza się przyjąć rozmowę na swój rachunek.

– Hej, Davie, to ja, Nicky. Skończyłeś już kolację?

– Nicky, czy wiesz, która godzina?

– Jasne stary. Dziesiąta wieczór.

– Nicky... – w jego głosie pojawił się tylko ślad zniecierpliwienia – może w Kaliforni jest dziesiąta, ale tutaj jest pierwsza i Gwen i ja śpimy już od dwóch godzin. A teraz obudziłeś też dziecko.

Ale, Davie, ja tylko chciałem ci przekazać dobrą nowinę.

Usłyszałem przez telefon, jak dziecko płacze,

– A cóż to jest aż takie dobre, że nie może poczekać do rana?

– To nie może czekać, Davie. Przyjeżdżam do Nowego Jorku, żeby pracować z tobą przez lato. Bóg powiedział mi, że chce, żebym przyjechał.

– To wspaniałe, Nicky. Naprawdę. Jestem poruszony. Gwen tak samo. I dziecko też. Wyślę ci bilet na samolot. Dobranoc.

Całą noc nie spałem robiąc plany na czas pobytu w No-wym Jorku.

Wyjazd do mojego miasta pozwolił mi dostrzec, jak się zmieniłem. Jakby całe moje życie stało się intensywniejsze, nabrało nowego sensu. Gdy zaczęliśmy podchodzić do lądowania na nowojorskim Idlewild Airport, od wspomnień i z podniecenia serce zaczęło mi żywiej bić. Dostrzegłem na horyzoncie sylwetkę Empire State Building, a potem most Brooklyński. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy z tego, jak wielkie jest to miasto, zajmujące setki mil kwadratowych. Moje serce przepełniło się miłością i współczuciem dla milionów ludzi pode mną, uwięzionych w asfaltowej dżungli grzechu i rozpa-czy. Gdy okrążaliśmy miasto, oczy załśniły mi łzami. Byłem samotny, ale szczęśliwy. Bałem się, ale niecierpliwie oczeki- wałem. Byłem w domu.

David czekał na mnie na lotnisku. Objęliśmy się i zapłakaliśmy, nie wstydząc się swych łez. Objąwszy mnie ramieniem, David prowadził mnie do samochodu, entuzjastycznie opowiadając o swoim nowym marzeniu.

Słuchałem, jak mówi o swych planach na przyszłość: o no-wym Centrum Młodzieżowym. Ale on zobaczył, że coś mnie nurtuje, i w końcu uspokoił się na tyle, żeby spytać, o czym myślę.

– Davie, co z Izraelem? Gdzie jest? Czy wszystko u niego w porządku?

David zwiesił głowę, a po chwili popatrzył na mnie ze smutkiem.

Nie, Nicky. Nie wszystko jest w porządku. Nie pisałem ci o tym, bo bałem się, że cię to zniechęci. Chyba mogę ci to już powiedzieć, żebyś mógł razem ze mną modlić się w tej intencji.

Usiedliśmy w rozgrzanym samochodzie stojącym na parkingu przy lotnisku i David opowiedział mi o Izraelu.

– Izrael poszedł do więzienia. Współuczestniczył w mor-derstwie, w grudniu,

kiedy pojechałeś do szkoły. Od tego czasu jest w więzieniu. Serce mi załomotało i poczułem, jak zimny pot oblewa mi dłonie. Odetchnąłem z trudem.

Opowiedz mi wszystko, co wiesz, Davie. Muszę to usłyszeć.

Nie wiedziałem o niczym aż do chwili, kiedy było już po wszystkim i Izrael został przeniesiony do więzienia w Elmirze. Pojechałem do Nowego Jorku, żeby zobaczyć się z matką Izraela. Płakała, kiedy ze mną rozmawiała. Powiedziała, że Izrael bardzo się zmienił, odkąd przyjął Chrystusa, ale potem, po tym rozczarowaniu, wrócił do gangu.

Po jakim rozczarowaniu? – spytałem.

Nie wiesz?

Mówisz o tym napadzie na mnie z nożem? Izrael po-wiedział wtedy, że znajdzie typa, który to zrobił.

Nie, to było coś o wiele gorszego. Jego matka powie-działa mi, że w dniu, w którym wyszedłeś ze szpitala, pan Delgado przyszedł do nich i poprosił Izraela, żeby na drugi dzień pojechał z tobą do mnie, do Elmiry. Izraela bardzo to podekscytowało i powiedział, że pojedzie. Na drugi dzień matka zbudziła go o czwartej rano, wyprasowała mu ubranie i spa-kowała walizkę. Izrael poszedł na Flatbush Avenue i czekał od szóstej do dziewiątej rano. Jakoś rozminęliście się. Izrael wrócił do domu, rzucił walizkę na podłogę i powiedział matce, że wszyscy chrześcijanie to banda oszustów. Tego samego dnia wrócił do gangu.

Poczułem, jak łzy napływają mi do oczu.

Szukaliśmy go – powiedziałem – szukaliśmy go wszędzie. Chciałem jeszcze zostać i szukać go, ale pan Delgado powiedział, że musimy jechać. Oh, David, gdybyśmy o tym wiedzieli. Jeśli byśmy tylko szukali trochę dokładniej i trochę dłużej, może Izrael byłby teraz ze mną w szkole.

David wysiadał nos i mówił dalej.

– Po powrocie do gangu, razem z czterema innymi zastrzelił przed Penny Arcade jednego z Aniołów z Południowej Ulicy. Chłopak zginął na miejscu. Izrael przyznał się do współudziału w morderstwie i został skazany na pięć lat więzienia stanowego. Ciągle tam jest.

Nastąpiła długa chwila milczenia. W końcu spytałem Davida, czy ma jakieś wiadomości od Izraela albo czy widział go od czasu, kiedy ten poszedł do więzienia.

– Pisałem do niego, ale okazało się, że on nie może od-pisywać. Wolno mu było pisać tylko do najbliższej rodziny Jego korespondencja musi przechodzić przez ręce więziennego kapelana. Modliłem się za niego przez całe lato i w końcu po-jechałem do Elmiry, żeby go odwiedzić. Właśnie przygotowy-wali się do przeniesienia go do obozu pracy w Comstock i po-zwolili mi tylko na kilkuminutowe widzenie. Zdaje się, że jakoś sobie radzi, ale ma jeszcze ponad trzy lata do odsiedzenia.

Długo siedzieliśmy w milczeniu, aż w końcu powie-działem:

– Myślę, że powinniśmy się modlić za Izraela.

David schylił się nad kierownicą i zaczął się głośno modlić. Ja odwróciłem się, ukląknę na podłodze i oparłem łokcie na fotelu. Ponad piętnaście minut modliliśmy się tak na tym parkingu. Kiedy skończyliśmy, David powiedział:

– Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy teraz zrobić dla Izraela, ale miasto jest pełne innych, podobnych jemu, których ciągle jeszcze możemy ocalić dla Jezusa Chrystusa. Czy jesteś gotów podjąć pracę?

– Jedźmy – powiedziałem, ale wiedziałem, że moja praca nie będzie zakończona do czasu, aż będę mógł uwolnić Izraela.

David uruchomił silnik i wyjechał z parkingu na zatło-czone nowojorskie ulice. Paliłem się do pracy dla Pana.

– Chcę jutro odwiedzić moich starych kumpli z gangu – powiedziałem jakby od niechcenia. – Chcę powiedzieć im o Jezusie.

David pokiwał głową, skręcił z głównej ulicy i zatrzymał się na czerwonym świetle. Potem popatrzył na mnie i powiedział:

– Nie śpieszyłbym się tak bardzo na twoim miejscu, Nicky. Dużo się zmieniło od dnia twojego wyjazdu. Pamiętasz jak stałeś się chrześcijaninem? Ledwo uszedłeś z życiem. Na twoim miejscu byłbym ostrożny. Jest dość do zrobienia nawet bez wtrącania się w sprawy Mau Mau. Tylko głupcy idą gdzie anioły boją się pojawić. Zapaliło się zielone światło i ruszyliśmy, szerokim łukiem wyprzedzając autobus.

Może jestem głupcem, Davie, ale tym razem jestem głupcem dla Jezusa. On pójdzie za mną i ochroni mnie. Anioły może boją się chodzić po rejonie Mau Mau, ale ja będę szedł z Jezusem.

David uśmiechnął się i kiwnął głową. Skręciliśmy w Clinton Avenue. David zahamował przed jednym z domów i powiedział:

- On jest twoim przewodnikiem, Nicky, nie ja. Rób, co On ci mówi, a będziesz odnosił same sukcesy. Chodź, chcę cię poznać z Thurmanem i Luisem.

Nazajutrz nastąpił ten wielki dzień. Większą część nocy nie spałem, tylko się modliłem. Rano ubrałem się w garnitur, włożyłem krzykliwy krawat, wsadziłem pod pachę swoją nową Biblię w skórzanej oprawie i ruszyłem przez miasto na osiedle Fort Greene. Szedłem zobaczyć się z Mau Mau.

Miasto niewiele się zmieniło. Kilka starych domów, prze-znaczono do rozbiórki i zabito deskami drzwi i okna, ale prócz tego wszystkiego było tak, jak przed dwoma laty, kiedy wyjeżdżałem. Za to ja się zmieniłem. Przybrałem na wadze, ostrzygłem się - ale największa zmiana zaszła wewnątrz mnie. Byłem całkiem nowym Nickym. Gdy szedłem przez park waszyngtona, serce zaczęło mi szybciej bić. Szukałem Mau Mau, ale po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, jak ich powitam i co oni powiedzą, gdy mnie zobaczą. Jak im się przedstawić? Nie bałem się tylko pragnąłem mądrości, aby sprostać sytuacji ku chwale Bożej.

Wyszedszy z parku, zobaczyłem grupę Mau Mau opartych o ścianę domu.

Przemknęły mi przez myśl słowa Davida: „Tylko głupcy idą tam, gdzie anioły boją się pojawić”, ale szybko pomodliłem się na głos do Ducha Świętego, by mi towarzyszył, i podszedłem do znudzonej grupy.

Chłopców było kilkunastu. Zobaczyłem wśród nich williego Corteza. Klepnąłem go w ramię i powiedziałem:

- Willie, stary, cześć...

Willie odwrócił się i wytrzeszczył na mnie oczy.

Niemożliwe, Nicky?

Tak, to ja, chłopie.

Człowieku, wyglądasz jak święty albo co...

Nie gorączkuj się, stary. Właśnie przyjechałem z Kaliforni. Wiedzie mi się doskonale. Jestem chrześcijaninem i chodzę do szkoły.

Willie złapał mnie za ramiona i zaczął mną obracać przyglądając mi się ze wszystkich stron.

- Chłopie, Nicky, nie do wiary. Nie do wiary. Potem zwrócił się do reszty chłopaków, którzy przyglądali się nam z zaciekawieniem, i powiedział:

- Hej, chłopaki, kapelusze z głów! To jest Nicky. Był naszym prezesem. Był wielkim rozrabiaką. Za jego czasów Mau Mau przeżywali wielkie dni. A on był najtwardszy z nich wszystkich.

Chłopcy zdjęli kapelusze. Prócz williego Corteza nie znałem żadnego z nich. Chłopcy przeważnie byli młodszy. O wiele młodszy. Ale słowa williego zrobiły na nich wrażenie. Słyszeli o mnie i stłoczyli się koło mnie z wyciągniętymi rękami. Objąłem williego ramieniem i uśmiechnąłem się do niego:

- Słuchaj, willie, przejdźmy się do parku. Chcę z tobą pogadać.

Odeszliśmy od grupy i weszliśmy do parku waszyngtona. Willie szedł powoli obok mnie, z rękami w kieszeniach, szu-rając butami po betonie.

- Willie - przerwałem ciszę - chcę ci powiedzieć, co zrobił dla mnie Chrystus. Willie nie podniósł głowy, ale szedł ze mną dalej, a ja mówiłem. Powiedziałem mu, jak czułem się przed dwoma laty jako członek gangu i jak oddałem serce Chrystusowi. Opowiedziałem mu, jak Bóg wyprowadził mnie z dzikiej betono-wej dżungli do miejsca, gdzie stałem się twórczą istotą ludzką.

Willie przerwał mi i usłyszałem, że głos mu drży.

- Hej, Nicky, daj spokój, dobra? Jak tak mówisz, to mi się źle robi. Coś mi się w środku dzieje. Nie jesteś już tym samym starym Nickym. Napędzasz mi stracha.

- Masz rację, willie. Coś mnie odmieniło. Krew Chrystusa obmyła mnie i odmieniła. Jestem innym człowiekiem. Nie boję się już. Nie czuję już nienawiści. Teraz odczuwam miłość do wszystkich. Do ciebie też, willie. I chcę ci powiedzieć, że Jezus również cię kocha.

Wskazałem williemu ławkę, koło której przechodziliśmy. Willie usiadł i popatrzył na mnie.

Nicky, powiedz mi coś jeszcze o Bogu.

Po raz pierwszy w życiu zdałem sobie sprawę z tego, jak ważne jest abym mówił

swoim przyjaciołom o Chrystusie. widziałem w twarzy williego samotność, nieświadomość, strach.

Był taki, jaki ja byłem przed dwoma laty. Ale teraz chciałem mu powiedzieć, jak może się z tego wydobyć. Usiadłem obok niego i otworzyłem Biblię w miejscu, które zaznaczyłem czerwonym ołówkiem. Monotonnie przeczytałem fragmenty dotyczące ludzkich grzechów. Gdy przeczytałem:

„Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć”, willie popatrzył na mnie ze strachem. - Co ty gadasz, Nicky? Jak ja jestem grzesznik i Bóg mnie zabije za grzechy, to co ja mogę zrobić? Chciałem powiedzieć że coś muszę zrobić, chłopie. Co mam zrobić?

Zerwał się z ławki i popatrzył na mnie rozszerzonymi oczyma.

- Siadaj, willie. Jeszcze nie skończyłem. Pozwól mi do-kończyć. Bóg cię kocha. Nie chce, żebyś poszedł do piekła. Posłał swojego jedyne Syna, który zapłacił za twoje grzechy. Posłał Jezusa za ciebie na śmierć, żebyś mógł otrzymać życie wieczne. I jeśli przyjmiesz Go, jeśli wyśpowiadasz się przed Nim, On cię zbawi.

Willie opadł na ławkę ze zdesperowanym wyrazem twa-rzy. Siedziałem, patrzyłem na niego i oczy napełniły mi się łzami. Mocno zacisnąłem powieki i zacząłem się modlić, ale łzy wydostały mi się na policzki i popłynęły w dół. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że willie też płacze.

Willie, wiesz, co to znaczy upamiętać się?

Willie przecząco pokręcił głową.

- To znaczy zmienić się. Zawrócić. willie, jeśli nic nie masz przeciwko temu, chcę, żebyś coś zrobił. To może urazić twoją dumę. Ale chcę się za ciebie pomodlić. Czy uklęknieś?

Nie wiedziałem, czy willie się na to zgodzi - przed naszą ławką ciągle przechodzili ludzie. Jednak willie kiwnął głową i bez wahania ukląkł w alejce. Popatrzawszy w górę po-wiedział:

- Nicky, jeśli Bóg mógł zmienić ciebie, może zmienić i mnie. Czy pomodlisz się za mnie?

Położyłem rękę na jego głowie i zacząłem się modlić. Czułem jak drży pod moją ręką, i słyszałem, jak łka. On też zaczął się modlić. Obaj modliliśmy się głośno - bardzo głośno.

Wołałem przez łzy:

Boże! Odmień williego. Odmień mojego przyjaciela williego. Zbaw go. Pozwól mu być przewodnikiem, za którym inni przyjdą do Ciebie.

Willie modlił się głośno, z wysiłkiem.

Jezu... Jezu... Ratuj mnie! Ratuj mnie... - łapał wietrze gwałtownymi haustami i płakał wykrzykując:

Jezu, ratuj mnie!

Zostaliśmy w parku do wieczora. O zmierzchu willie po-szedł do swego domu, obiecawszy przyprowadzić do mnie na drugi dzień resztę gangu. Stałem i patrzyłem, jak znika w mro-ku. Nawet z tyłu widać było różnicę. Coś poprzez mnie prze-płynęło do williego Corteza. Wracając tego wieczora na Clinton Avenue chyba nie szedłem... Płynąłem w powietrzu, każdym tchnieniem chwalać Boga. Przypomniało mi się, jak biegłem po wielkiej łące przed naszym domem w Puerto Rico i machając rękami próbowałem latać jak ptak. Teraz uniosłem głowę i odetchnąłem głęboko. Nareszcie wzleciałem.

Resztę lata spędziłem z gangiem, wygłaszając uliczne ka-zania i pracując z poszczególnymi osobami. Wyznaczałem sobie ścisłe posty, powstrzymując się od jedzenia od szóstej rano w środy do szóstej rano we czwartki. Odkryłem, że gdy poszczę i spędzam czas na modlitwie, zdarzają się w moim życiu ważne rzeczy. Pisałem również do Glorii i ostatnio jej listy zaczęły nabierać ciepłego, przyjaznego tonu, jakby sprawiało jej przy-jemność pisanie do mnie. Ciągle jeszcze nie sprecyzowała swoich planów na nadchodzący rok i wiele czasu spędzałem modląc się za nią.

Na dwa tygodnie przed moim powrotem do szkoły jeden z biznesmenów z komitetu Davida przyszedł do mnie z cze-kiem. Powiedział, że chcą mi dać nagrodę za pracę, którą wy-konałem, i sugerują, żebym kupił za to bilet do Puerto Rico i odwiedził rodziców przed powrotem do szkoły. Nie mogli mi sprawić większej radości.

Przyleciałem do San Juan w poniedziałek po południu i najbliższym autobusem pojechałem do Las Piedras.

Było już prawie całkiem ciemno, gdy wysiadłem z auto-busu i ruszyłem przez miasteczko w kierunku znajomej ścieżki, prowadzącej przez porośniętą trawą zbocze do stojącego na szczycie wzgórza białego drewnianego domu. Tysiące wspomnień przelatywało mi przez głowę i serce biło mi żywiej. Ktoś krzyknął: To Nicky, to Nicky Cruz!

Zobaczyłem człowieka, który pobiegł przede mną na szczyt wzgórza, żeby powiedzieć moim rodzicom, że przyjechałem do domu. W chwilę później drzwi się gwałtownie otwarły i czterech chłopców wybiegło i popędziło w dół zbocza. Nie widziałem ich 5 lat, ale rozpoznałem: to byli moi bracia. Za nimi biegła moja matka, ze spódnicą powiewającą na wietrze. Upuściłem walizkę i pobiegłem im naprzeciw. Wpadliśmy sobie w objęcia wśród okrzyków i łez radości. Chłopcy rzucili się na mnie i przewrócili mnie na ziemię, mocując się ze mną radośnie. Mama uklękła obok mnie, obejmując mnie za szyję i obsypując pocałunkami. Podniosłem się z ziemi. Dwaj moi młodsi bracia podbiegli do mojej walizki i potaszczyli ją do domu. Spoglądając za nimi, ujrzałem stojącą samotnie wysoką i prostą postać ojca, który patrzył w moją stronę. Powoli ruszyłem w jego kierunku. Ojciec stał niewzruszony, wyprostowany i przyglądał mi się uważnie. Zacząłem biec i ojciec powoli ruszył w dół po schodach, aż wreszcie i on zaczął biec i spotkał mnie przed domem. Chwyciwszy mnie w objęcia swoich niedźwiedzych ramion, podniósł z ziemi i mocno przycisnął do piersi.

- Witaj w domu, ptaszku, witaj w domu.

Frank napisał do rodziców, że całkiem się zmieniłem i że jestem w szkole w Kalifornii. Rozeszła się wieść, że jestem chrześcijaninem, i wielu wierzących z Las Piedras przyszło wieczorem do naszego domu, żeby się ze mną zobaczyć. Powie-dzieli mi, że inni też chcą się ze mną widzieć, ale boją się przyjść do „domu czarownika”. Wierzą, że mój ojciec umie rozmawiać ze zmarłymi i zabobonny strach nie pozwala im zbliżyć się do naszego domu. Chcą jednak zorganizować na-bożeństwo w domu jednego z chrześcijan i proszą mnie, że-bym wygłosił kazanie i opowiedział o swoich przeżyciach reli-gijnych. Powiedziałem im, że poprowadzę nabożeństwo, ale odbędzie się ono w moim domu. Popatrzyli po sobie i ten, który im przewodził, powiedział:

- Ale, Nicky, wielu naszych ludzi boi się demonów. Boją się twojego ojca.

Powiedziałem im, że zajmę się wszystkim i że jutro wieczorem odprawimy w moim domu wielkie chrześcijańskie nabo-żeństwo.

W jakiś czas później, tego samego wieczora, ojciec, usłyszawszy o naszych planach, gwałtownie zaprotestował.

Nie dopuszczę do tego. Nie będzie żadnego chrześcijańskiego nabożeństwa w moim domu. Ci ludzie zrujnują mnie.

Jeśli odprawimy tu chrześcijańskie nabożeństwo, inni nigdy już tu nie przyjdą. To mnie wykończy jako spirytystę. Stanowczo zabraniam.

Matka zaczęła się z nim spierać.

- Nie widzisz, jak Pan odmienił twego syna? Coś musi w tym być. Kiedy go widziałeś ostatnim razem, był jak zwierzę. Teraz jest kaznodzieją, chrześcijańskim pastorem. Będziemy tu mieli nabożeństwo i ty na nim będziesz. Matka rzadko przeciwstawiała się ojcu, ale gdy już to zrobiła, zawsze stawiała na swoim. Tak było i tym razem. Następnego wieczora dom był pełen ludzi ze wsi. Przyjechało też kilku pastorów z pobliskich miasteczek. Było gorąco jak w łaźni. Stałem w pokoju pełnym ludzi i opowiadałem, w jaki sposób stałem się chrześcijaninem. Zacząłem szczegółowo opo-wiadać o tym, jak byłem w mocy diabła i jak zostałem z niej uwolniony mocą Chrystusa. Ludzie żywo reagowali na moją opowieść: pomrukiwali z uznaniem, od czasu do czasu wyda-wali okrzyki i klaskali z uciechy, gdy opisywałem różne zda-rzenia z mojego życia.

Pod koniec nabożeństwa poprosiłem, żeby skłonili głowy. Następnie wezwałem tych, którzy chcą uznać Chrystusa za swego Zbawcę, aby wystąpili do przodu i uklękli, po czym zamknąłem oczy i zacząłem się modlić po cichu.

Usłyszałem, jak ludzie się poruszali i niektórzy podcho-dzą do przodu.

Usłyszałem, jak klękają przede mną i płaczą. Stałem bez ruchu, z zamkniętymi oczyma i twarzą wzniesioną ku niebu. Czułem, jak pot spływa mi po twarzy, plecach i no-gach. Ociekałem potem z gorąca, który mnie oblał, gdy wy-głaszałem kazanie. Ale czułem, że Bóg działa, i nie przery-wałem modlitwy. Wtedy usłyszałem, jak na podłodze przede mną jakaś ko-bieta zaczęła się modlić. Głos był znajomy. Otworzyłem oczy z radosnym niedowierzaniem. Przede mną klęczała moja matka, z twarzą ukrytą w spódnicy, oraz dwaj moi młodsi

bracia. Ukląłem przed nią i objąłem ramionami jej łkającą postać.

– Oh, Nicky, synu mój, synu mój, ja też w Niego wierzę. Chcę, by był Panem mojego życia. Obrzydły mi śmiertelne demony, złe duchy i chcę, aby Jezus był moim Zbawcą.

Matka zaczęła się modlić, a ja słyszałem ten sam głos który kiedyś wypędził mnie do mojego pokoju, a później pod dom, wykrzykujący w dzikiej furii:

„Nienawidzę cię!” – teraz słyszałem ten głos wołający do Boga o zbawienie i szloch wstrząsnął moim ciałem, gdy matka modliła się o darowanie jej win.

Proszę Cię, kochany Boże, wybacz mi, że zawiodłam swojego syna. Wybacz mi, że wypędziłam go z domu. Wybacz mi moje grzechy i to, że nie wierzyłam w Ciebie.

Wierzę. Teraz wierzę w Ciebie. Zbaw mnie, o Boże, zbaw mnie!

Rozpostarłem ramiona i objąłem moich dwóch młodszych braci, jednego piętnastoletniego, drugiego szesnastoletniego. Spłeceni mocnym uściskiem modliliśmy się, klęcząc na podłodze i chwaliliśmy Boga.

W końcu wstałem i popatrzyłem na ludzi. Przybyło wielu innych. Klęczeli na podłodze, modlili się i płakali. Chodziłem od jednego do drugiego i kładąc każdemu rękę na głowie modliłem się za niego. Gdy skończyłem i odwróciłem się, zobaczyłem na drugim końcu pokoju, pod ścianą, samotną, wysoką, wyprostowaną postać mojego ojca, wznoszącą się nad pochylonymi głowami. Nasze spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę i spostrzegłem, że ojcu wyraźnie zadrgała broda. Oczy napełniły mu się łzami – ale odwrócił się gwałtownie i wyszedł z pokoju.

Ojciec nigdy nie uczynił otwarcie wyznania wiary. Ale od tego dnia wyraźnie złagodniał, i nigdy więcej nie odbył się w domu Cruzów seans spirytystyczny.

Dwa dni później wróciłem do Nowego Jorku, a w następnym tygodniu jeden z miejscowych pastorów ochrzcił moją matkę i dwóch braci.

Został mi niecały tydzień do wyjazdu do Kalifornii, na ostatni rok szkoły. W przeddzień wyjazdu miało się odbyć wielkie zgromadzenie młodzieży w kościele Iglesia de Dios Juan 3,16. Dołożyliśmy wszelkich starań, by Mau Mau się tam zjawili. Steve, ich nowy prezes, z którym się zaprzyjaźniłem, powiedział, że jeśli ja wybieram się na to nabożeństwo, on dopilnuje, żeby gang zjawił się tam również.

Gdy przed nabożeństwem stałem w przedsionku, oglądając stare dziury po pociskach sprzed dwóch lat, zaczęli się schodzić Mau Mau. Przyszło ich ponad osiemdziesięciu pięciu. Kościółek był szczelnie wypełniony. Gdy Mau Mau weszli, krzyknąłem do nich:

Hej, chłopaki, to jest rejon Boga. Zdejmijcie kapelusze.

Posłuchali bez słowa. Chłopak stojący po przeciwnej stronie przedsionka z dziewczyną z gangu, zawołał:

Hej, Nicky, mogę tu obejmować swoją dziewczynę?

Tak, chłopie – odkrzyknąłem. – Nie krępuj się, tylko bez całowania i przytulaniek.

Reszta chłopaków ryknęła śmiechem i weszliśmy do środka.

Na zakończenie nabożeństwa pastor poprosił mnie, abym opowiedział zebranym, jak stałem się chrześcijaninem. Odwróciłem się i popatrzyłem na chłopaków.

Wiedziałem, że jutro wyjeżdżam, i nagły dreszcz przebiegł mi po plecach.

Gdy tu wrócę, niektórzy z chłopaków będą już martwi albo w więzieniu. Zacząłem mówić. Mówiłem tak, jak umierający do umierających. Zapomniałem o skrępowaniu i otworzyłem przed nimi serce. Już dwie godziny byliśmy w kościele, a ja mówiłem jeszcze czterdzieści pięć minut. Nikt się nie ruszył. Kiedy skończyłem, łzy lały mi się strumieniami po twarzy i błagałem ich, by powierzyli się opiece Boskiej. Trzy-nastu chłopców wystąpiło i uklękło przed ołtarzem. Gdybyż tu był Izrael...

Jednym z chłopaków, którzy wystąpili, był mój stary przyjaciel, Hector Huragan. Pamiętam, jak wprowadzałem go do gangu i jak mieliśmy „uczciwą walkę” i on uciekł, kiedy zobaczył, że chcę go zabić za to, że ukradł mi budzik. A teraz Huragan klęczał przed ołtarzem.

Po nabożeństwie wracałem w kierunku Fort Greene z Huraganem. Był on radcą wojennym w gangu Mau Mau. Ponieważ to za moją przyczyną Hector znalazł się w gangu, poczuwałem się do odpowiedzialności za jego los. Spytałem go, gdzie mieszka.

– Mieszkam w opuszczonym domu.

– Chłopie, a dlaczego już nie mieszkasz ze starymi? – spytałem.

– Wywalili mnie. Wstydzą się mnie. Pamiętasz, ja byłem jednym z tych chłopaków, którzy wystąpili z tobą i Izraelem wtedy w hali St. Nicholas. Kilka tygodni później namówiłem moich starych, żeby poszli ze mną do kościoła i oni się na-wrócili. Wszyscy zaczęliśmy aktywnie działać w kościele. Ja pracowałem z młodzieżą. Wystąpiłem z gangu i w ogóle zrobiłem wszystko tak jak ty i Izrael. Ale ten kościół był za bardzo sztywny. Ja chciałem robić zabawy dla młodzieży, a oni nie mieli zaufania do zabaw. W końcu zniechęciło mnie to i wystąpiłem z kościoła.

Dalej wszystko poszło jak zwykle. Po jakimś czasie Hec-tor spotkał się z Mau Mau i namówili go do powrotu do gangu, tak samo jak mnie próbowali do tego namówić.

Powiedzieli mu, że chrześcijanie to ciemniaki, niedojdy i baby i że gang jest jedyną grupą, która ma właściwą odpowiedź na to, co niesie z sobą życie. Dosłownie nawrócili go do gangu. Nastąpiła seria aresztowań. Rodzice próbowali z nim rozmawiać, ale on był uparty jak kozioł. W końcu tak wyprowadził tym rodziców z równowagi, że powiedzieli mu, iż albo będzie się zachowywał zgodnie z uznawanymi przez nich zasadami, albo musi się wynieść. Hector wołał się wynieść i zamieszkał w starym opuszczonym domu.

– Czasem chodzę głodny – powiedział – ale wolę gło-dować, niż poprosić o coś ojca. To prawdziwy wapniak. Chce tylko chodzić do kościoła i czytać Biblię. Byłem taki sam, ale teraz wróciłem tam, gdzie jest moje miejsce: do Mau Mau. Znaleźliśmy się przed domem, w którym mieszkał Hec-tor. Wszystkie okna były zabite deskami. Hector powiedział, że od tyłu, w jednym miejscu można podważyć deskę i przedostać się do środka. On śpi na podłodze na tekturach.

– Huragan, a czemu dzisiaj wystąpiłeś naprzód? – spy-tałem, mając na myśli jego reakcję na moje wezwanie do ołta-rza.

– Wyszedłem, bo w środku chcę być dobry, Nicky. Chcę naśladować Boga. Ale nie mogę znaleźć właściwego rozwią-zania. Za każdym razem, kiedy zwracam się do Niego, a potem odwracam się, robi się gorzej. Szkoda, że nie jesteś w gangu, Nicky. Może mógłbym wrócić do Chrystusa, gdybyś tu był.

Usiedliśmy na krawężniku i gadaliśmy do bladego świtu. Usłyszałem, jak zegar na wieży wybił czwartą.

– Huragan, czuję, jak Duch Boży każe mi powiedzieć ci to: Zegar właśnie wybił czwartą. Jest późno. Ale jeśli oddasz swoje serce Jezusowi, On przyjmie cię z powrotem. Jest póź-no, ale nie za późno. Czujesz się winnym, ale Bóg ci wybaczy. Czy chcesz teraz przyjść do Jezusa?

Hector oparł głowę na rękach i zaczął płakać. Ale wciąż kręcił głową i mówił.

– Nie mogę, nie mogę. Chcę tego, ale wiem, że jeśli to zrobię, jutro znowu wrócę do gangu. Nie mogę. Po prostu nie mogę.

Powiedziałem mu:

Hector, nie przeżyjesz roku, jeśli nie przyjdiesz teraz do Chrystusa. Za rok o tej porze nie będziesz już żył. Zabiją cię.

Gdy mówiłem do niego, serce moje przepełnione było słowami, które nie pochodziły ode mnie.

Hector pokręcił głową.

– Co się ma stać, to się stanie, i nic na to nie mogę poradzić.

Stanąłem przed Hectorem i złożonywszy mu ręce na głowie modliłem się, aby Bóg zmiękczył jego zatwardziałe serce by mógł wrócić do Chrystusa. Kiedy skończyłem, podaliśmy sobie ręce.

– Huragan, mam nadzieję, że cię zobaczę, kiedy wrócę Ale mam przeczucie, że jeśli nie zwrócisz się znowu do Chrystusa, już nigdy cię nie zobaczę.

Na drugi dzień odleciałem do Kalifornii. Nie wiedziałem wtedy, jak trafna była moja przepowiednia.

14. GLORIA!

To w Nowym Jorku przeobraziło mnie, zmieniło moje zapatrywania, mój punkt widzenia. Wróciłem do Kalifornii zdecydowany poświęcić się kaznodziejstwu.

Ale dopiero po przybyciu do szkoły dowiedziałem się, ja-kie spotkało mnie szczęście: Gloria przyjechała, żeby konty-nuować naukę. Dopiero gdy ją ujrzałem, zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo mi jej brakowało.

Jednak sytuacja w szkole była wciąż okropna. Wszystko było zorganizowane jakby specjalnie w ten sposób, żeby trzy-mać nas z daleka od siebie. Regulamin był taki sam jak przed dwoma laty, kiedy napotykalismy na podobne przeszkody.

Roz-mowy przy stołach ograniczone były do: „Podaj mi sól”, a so-kole oczy profesorów obserwowały każde nasze poruszenie na terenie szkoły. Chociaż nie cierpiałem dyżurów w kuchni, za-cząłem się zgłaszać do nadobowiązkowego mycia naczyń, żeby być bliżej Glorii. Atmosfera w hałaśliwej kuchni daleka była od intymności, ale zorientowałem się, że mogliśmy prowadzić na wpół intymne rozmowy, gdy oboje pochylaliśmy się nad zlewozmywakiem – ja z rękami zanurzonymi po łokcie w gorącej wodzie z mydłem, a Gloria zajęta płukaniem i wycie-raniem.

W miarę upływu miesięcy zorientowałem się, że jestem coraz bardziej zakochany w Glorii. Moje oceny wciąż się poprawiały, dostałem wilczego apetytu, co częściowo należało bez wątpienia tłumaczyć dodatkowym ruchem, którego zażywałem nad zlewozmywakiem. Ale dręczyło mnie, że nie mogę wyrazić swojej miłości. Ilekroć choć przez chwilę byliśmy sam na sam, ktoś nam przeszkadzał. Próbowałem przychodzić wcześniej do klasy, ale niezmiennie ktoś z naszych kolegów wchodził właśnie wtedy, gdy chciałem poważnie pomówić z Glorią. Doprowadzało mnie to do rozpaczy. I mimo hiszpańskiego pochodzenia stwierdziłem, że nieomal niemożliwe jest wprawienie się w romantyczny nastrój nad zlewem pełnym brudnych naczyń, w kuchni, wśród śpiewających pieśni reli-gijne studentów.

Pewnego dnia wieczorem otrzymałem pozwolenie na pój-ście do miasta. Wszedłem do pierwszej napotkanej budki te-lefonicznej, zatelefonowałem do szkoły i poprosiłem o połączenie z numerem telefonu, stojącego w sali Glorii. Gdy odezwała się opiekunka sali, przykryłem mikrofon chusteczką do nosa i niskim basem poprosiłem pannę Steffani. Nastąpiła chwila ci-szy, po czym usłyszałem, jak opiekunka szepcze do Glorii:

– To chyba twój ojciec.

Gloria zachichotała, kiedy usłyszała mój głos, jękający się przez telefon. Byłem zrozpaczony.

– Muszę być z tobą – wybąkałem.

– Co masz na myśli, Nicky? – wyszeptowała Gloria, pa-miętając, że niby rozmawia z ojcem.

Jąkałem się, mamrotałem i nie mogłem się wysłowić. Mo-je doświadczenie w kontaktach z dziewczynami ograniczało się do terenu gangu i naprawdę nie wiedziałem, jak rozmawiać z dziewczyną tak niewinną i czystą jak Gloria.

– Myślę, że jeśli moglibyśmy się zobaczyć w cztery oczy, wyjaśniłbym ci to lepiej – powiedziałem. – Może lepiej wró-cę do swojego pokoju i przestanę ci zawracać głowę.

– Nickieeee! – krzyknęła Gloria. – Nie waź się od-kładać słuchawki!

Usłyszałem, jak inne dziewczęta w sali zachichotały. Ale Gloria była zdecydowana wydusić ze mnie to, co miałem do powiedzenia.

– Cśśśś! Dowiedzą się, że to ja – powiedziałem.

– Nie obchodzi mnie, kto się o tym dowie. A teraz po-wiedz mi wreszcie, co masz do powiedzenia.

Przez dłuższą chwilę szukałem właściwych słów, aż w koń-cu powiedziałem:

– Myślę, że byłoby fajnie, gdybyś chodziła ze mną w tym roku.

Powiedziałem to. Nareszcie wydobyłem to z siebie. Stałem, powstrzymując oddech, i czekałem na jej reakcję.

– Chodzić z tobą? Co to znaczy: „chodzić z tobą”?

Gloria znowu krzyczała i tym razem usłyszałem głośny śmiech dziewcząt. Czułem, jak oblewam się rumieńcem, chociaż stałem w budce telefonicznej, o pół mili od Glorii. – Myślałem sobie tylko, że spytam cię, czy będziesz ze mną chodziła.

Gloria znowu zaczęła mówić szeptem.

Masz na myśli, że chcesz, żebym była twoją dziewczyną?

Tak, to właśnie mam na myśli – powiedziałem.

Stałem w tej budce czerwony jak burak, chętnie zapadł-bym się pod ziemię.

Domyśliłem się, że Gloria całkiem zbliżyła usta do mi-krofonu, bo słyszałem wyraźnie jej oddech.

– Och, tak, Nicky. To byłoby cudownie. Czułam, że nie na darmo Bóg nas zetknął ze sobą. Napiszę długi list i podam ci jutro podczas śniadania.

Gdy odłożyłem słuchawkę, długo stałem w budce. Noc była ciepła, ale ja byłem złany zimnym potem i ręce trzęsły mi się jak galareta.

Później dowiedziałem się, że kiedy Gloria odłożyła słu-chawkę, opiekunka sali popatrzyła na nią uważnie i spytała surowo:

– Glorio, czemuż to twój ojciec telefonuje o tej porze i pyta, czy będziesz z nim chodziła?

Jedna z dziewcząt powiedziała ze śmiechem:

– Bo jej ojciec ma na imię Nicky.

Cały pokój wybuchnął śmiechem, a śniada twarz Glorii pokryła się ciemnym rumieńcem. Nieczęsto dziewczyna przy czterdziestu przysłuchujących się temu koleżankach proszona jest przez mężczyznę jej marzeń, aby z nim „chodziła”. Obu-rzona opiekunka dała im trzy minuty na położenie się do łó-żek. Ale Gloria przez pół nocy, przy słabym świetle padającym z ulicy, z głową ukrytą pod poduszką, pisała do mnie swój list miłosny. Był całkowicie nieczytelny, ale był to najmiłszy ze wszystkich listów, jakie kiedykolwiek otrzymałem.

Kilka tygodni później zwrócił się do mnie jeden z naszych nauczycieli, Esteben Castillo, żebym pomagał mu przy rozpoczęciu pracy misyjnej w San Gabriel, niedaleko szkoły. Powiedział, że wybrał jeszcze siedmioro studentów. Mieliśmy pracować wspólnie podczas weekendów. Pan Castillo odkrył kościół, zamknięty i opuszczony. Studenci mieli w sobotę chodzić po okolicy i pukać do wszystkich drzwi, zapraszając ludzi na nabożeństwa. Prócz tego mieli zająć się sprzątaniami kościoła i uczeniem w szkółce niedzielnej, a profesor Castillo miał wygłaszać kazania i pełnić funkcję pastora.

Czułem się zaszczycony tą propozycją. A szczególnie ucieszyłem się, gdy profesor mrugnął i powiedział, że do pracy w tej grupie zaprosił również Glorię.

– Jest pan bardzo mądrym nauczycielem, senior Esteben – uśmiechnąłem się do niego. – Sądzę, że uda nam się wykonać wspaniałą pracę dla naszego Pana z tą znakomitą grupą, którą pan wybrał.

– Prawdopodobnie po zakończeniu pracy dla Pana znaj-dziesz trochę czasu na inne ważne sprawy – uśmiechnął się profesor.

Najwyraźniej rozeszła się wieść, że Gloria zgodziła się ze mną chodzić... to znaczy być moją dziewczyną. Byłem głę-boko wdzięczny temu mądrymu, wyrozumiałemu nauczycielowi, który pomógł naszej miłości rozwinąć się i zakwitnąć tak, jak to Bóg zamierzył.

Przez najbliższy miesiąc w każdą sobotę pracowaliśmy w małym kościele misyjnym i chodziliśmy od drzwi do drzwi, zapraszając ludzi na niedzielne nabożeństwa. W końcu udało nam się znaleźć czas dla siebie. widzieliśmy się codziennie, ale zawsze w czyjejs obecności. wreszcie dziś po raz pierw-szy mieliśmy spędzić trzy wspaniałe, nieprzerwane godziny sam na sam. Gloria przygotowała suchy prowiant na obiad i po całym przedpołudniu zapraszania ludzi na nabożeństwa posz-liśmy do małego parku zjeść i porozmawiać.

Zaczęliśmy oboje naraz, po czym roześmialiśmy się za-kłopotani.

– Ty pierwszy, Nicky. Ja będę słu-chać – powiedziała Gloria.

Mijały minuty i kwadranse, a my siedzieliśmy i rozma-wialiśmy. Pragnąłem opowiedzieć jej o sobie wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów. Mówiłem i mówiłem, a ona słu-chała z uwagą, oparta o pień wielkiego drzewa. Nagle uświa-domiłem sobie, że ja ciągle mówię, a ona tylko słu-cha.

– Przepraszam cię, Glorio, ale tyle mi leży na sercu i chcę, żebyś się o wszystkim dowiedziała... o dobrym i o złym – Pragnę się podzielić z tobą każdą chwilą swojej przeszłości. wybac mi, że tyle mówię. Teraz ty. Powiedz mi wszystko, co leży ci na sercu.

Gloria zaczęła mówić, z początku powoli, ale potem słowa przychodziły jej coraz łatwiej i w końcu całkiem otworzyła przede mną swoje serce. w pewnym momencie zawahała się i ucichła.

Co się stało, Glorio? Powiedz.

Stałam się zimna, Nicky. Zdałam sobie z tego sprawę, kiedy wróciłam do szkoły i spostrzegłam w tobie zmianę. Jesteś inny. Nie jesteś niemądry ani niepewny jak dawniej. Dorosłeś, stałeś się dojrzałszy i głę-boko uduchowiony. widzę w tobie duszę, która oddała się Bogu. I, Nicky... – jej oczy napełniły się łzami – ja, ja... pragnę tego samego. Pragnę te-go spokoju. Ja duchowo uschłam. Chociaż Bóg uleczył mnie i przywiódł z powrotem do szkoły, ciągle jestem duchowo zim-na. Próbuję się modlić, ale nic się nie dzieje. Jestem pusta. Martwa. Pragnę tego, co widzę w tobie.

Podparła głowę rękami. Przysunąłem się i niezręcznie objąłem ją ramieniem. Gloria odwróciła się do mnie i ukryła twarz na mojej piersi. Obydwoma ramionami objąłem jej szlochającą postać i zacząłem głaskać ją dłonią po

włosach. Gloria odwróciła swoją mokną od łez twarz ku mojej i nasze wargi spotkały się w długim miłosnym pocałunku.

– Kocham cię, Nicky – wyszeptła mi do ucha wilgotnymi wargami. – Kocham cię całym sercem.

Długo jeszcze siedzieliśmy bez ruchu pod tym rozłożystym drzewem, mocno objęci, jak dwie winorośle, które, splecione razem, pną się ku niebu.

– Glorio, chcę się z tobą ożenić. Pragnę tego od dawna. Chcę spędzić resztę życia z tobą. Nie mogę ci niczego ofiarować. Ciągłe grzeszyłem, ale Bóg mi wybaczył. I jeśli ty również możesz znaleźć w swoim sercu przebaczenie dla mnie, chcę, żebyś została moją żoną.

Poczułem, jak objęła mnie mocniej, kryjąc twarz na moim ramieniu.

– O tak, kochany. O tak. Jeśli Bóg pozwoli, będę twoją na zawsze.

Uniosła głowę i nasze wargi spotkały się w następnym pocałunku. Przechyliłem się do tyłu pociągając ją za sobą. Położyliśmy się w trawie, objęci mocno ramionami.

Poczułem piekące ukłucia na nogach. Bóg był blisko, ale przeszłość ciągle jeszcze tkwiła we mnie. Przemknęła mi przez głowę myśl, że ona jest jednym z najpiękniejszych stworzeń boskich. Czy miałem splugawić ją grzesznymi żądzami? Piekące ukłucia posuwały się w górę moich nóg i stawały się coraz trudniejsze do zniesienia.

Nagle zerwałem się, odpychając Glorię tak, że aż potoczyła się w trawę.

– Nicky! – krzyknęła. – Co się stało?

– Mrówki!! – wrzasnąłem. – Miliony mrówek! Oblazły mnie całego!

Zacząłem uderzać się wściekle dłońmi po nogach. Zrzuciłem buty. Nie zdało się to na nic. Moje skarpetki pokryte były tysiącami małych, czerwonych, pełzających demonów. Do-sięgły one już moich kolan, a teraz pełzły wyżej. Wyglądało na to, że żadne klepanie nie powstrzyma ich bezlitosnych ataków i marszu w górę. Gloria patrzyła zdumiona, jak biegam w kółko bijąc się dłońmi i drapiąc po nogach.

– Odwróć się! Odwróć się! – wrzasnąłem – prędko! Nie patrz na mnie!

Gloria odwróciła się tyłem do mnie i zaczęła patrzeć na park.

– Nicky... – zaczęła mówić i obejrzała się.

– Odwróć się! Nie patrz! – wrzasnąłem. Gloria zorientował się, co chcę zrobić, i posłusznie odwróciła się plecami do mnie.

Długo trwało, zanim udało mi się strząsnąć wszystkie mrówki. Niektóre próbowały wgryźć mi się w skórę. Spodnie musiałem wytrzepać o drzewo. W końcu mogłem powiedzieć Glorii, że może się już bezpiecznie odwrócić.

Poszliśmy z powrotem do szkoły. A raczej Gloria szła, a ja kuśtykałem. Ona śmiała się, a ja starałem się nie okazać, że mnie to złości. Nie widziałem w tym wszystkim niczego śmiesznego.

Zostawiłem Glorię przed drzwiami budynku dziewcząt i możliwie najprostszą drogą poszedłem do siebie, żeby wziąć prysznic. Stojąc pod zimną wodą i wcierając mydło w czerwone ślady ukąszeń, pokrywające nogi, dziękowałem Bogu za Glorię i za opiekunczą moc Jego Ducha.

– Boże – powiedziałem w gęsty deszcz wody, wytryskującej z prysznica – wiem, że ona jest dla mnie. Dowodzą tego te mrówki. Chwalę Twe imię za okazanie mi tego i błagam, byś już nigdy więcej nie musiał mi tego okazywać.

Nazajutrz była niedziela, na którą miałem wyznaczone kazanie w San Gabriel. Czułem nad sobą obecność Ducha Świętego, opowiadając o swoim nawróceniu grupie prostych ludzi, którzy przyszli na nabożeństwo. Pod koniec zaprosiłem wierzących do ołtarza. Wtedy zobaczyłem, że Gloria podniosła się ze swojego miejsca w tyle tej małej salki i podchodzi do przodu. Szła patrząc mi w oczy, po czym uklękła przed ołtarzem i schyliła głowę w modlitwie. Ukląkłem obok niej, a senior Castillo położył nam dłonie na głowach i zaczął się modlić. Poczułem, jak dłoń Glorii zaciska się na mojej ręce, gdy napełniał jej serce Duch Boży. Ręka Boga spoczywała na nas obojgu.

Na Boże Narodzenie pojechałem z Glorią do niej do Oakland. Postarała mi się o mieszkanie u swoich przyjaciół, bo jej rodzice nie odnosili się ze zrozumieniem do jej studiów w Instytucie Biblijnym. Pastor Glorii, pan Sanchez, załatwił mi pracę kaznodziei w małym hiszpańskim zborze o nazwie Misja Bethania. Dni spędzałem z Glorią, a wieczorami wygłaszałem kazania. Nic nie mogło mnie bardziej uszczęśliwić.

Podczas ostatniego roku studiów, wiosną, otrzymałem od Davida następną list.

Pisał, że kupuje stary duży dom na Clinton Avenue, żeby otworzyć ośrodek dla nastolatków i narkomanów. Proponował mi, żebym po otrzymaniu dyplomu wrócił do Nowego Jorku i podjął pracę w tym ośrodku, który nazywał Centrum Młodzieżowym. Omówiłem to z Gloria. Wyglądało to tak, jakby Pan na-rzucał nam swoje plany. Uważaliśmy, że możemy ze ślubem poczekać jeszcze rok, dopóki Gloria nie skończy szkoły. Ale teraz otwierały się przed nami nowe perspektywy i wszystko wskazywało na to, że Bóg chce, abym wrócił do Nowego Jor-ku. Ale wiedziałem, że nie mogę wrócić bez Glorii.

Napisałem do Davida, że będę musiał modlić się o to. Na-pisałem mu też, że Gloria i ja chcemy się pobrać. Wilkerson odpisał, że poczeka na moją odpowiedź i że Gloria byłaby również mile widziana.

Zdecydowaliśmy pobrać się w listopadzie i w miesiąc póź-niej zjawiliśmy się w Nowym Jorku, żeby przyjąć ofertę Wilkersona i podjąć pracę w Centrum Młodzieżowym.

Wielka, dwupiętrowa rezydencja przy Clinton Avenue 416 znajdowała się w środku bogatej niegdyś części Brooklynu, kilka przecznic od osiedla Fort Greene. Latem byli tu studen-ci, którzy pomogli doprowadzić dom do porządku i rozpocząć pracę duszpasterską. David znalazł młode małżeństwo, które zamieszkałszy w tym domu, zaczęło pełnić rolę jego administratorów. Przygotowali oni dla mnie i Glorii maleńkie mieszkancko przy garażu na zapleczu domu.

Mieszkancko było bardzo ciasne i bez żadnych wygód. Pysznic był w głównym budynku, a jedynym miejscem do spania była kanapa, ale czuliśmy się tu jak w niebie. Mieliśmy siebie i mieliśmy gorące pragnienie służenia Bogu. Kiedy David zaczął mnie przepraszać, że nie udało się załatwić dla nas wygodniejszego pomieszczenia, przypomniałem mu, że służe-nie Jezusowi to nie poświęcenie, tylko zaszczyt.

Przed samymi świętami Bożego Narodzenia poszedłem znowu do rejonu Mau Mau. Ciężko mi było na sercu z powo-du Hectora Huragana i teraz, kiedy wróciłem do Brooklynu na stałe, chciałem go odnaleźć i popracować nad nim indywidual-nie. Napotkawszy w cukierni grupę Mau Mau, spytałem ich:

– Gdzie jest Huragan?

Chłopaki popatrzyli po sobie i jeden z nich powiedział:

– Pogadaj ze Stevem, naszym prezesem, on ci powie, co się stało.

Bałem się tego, co usłyszę, ale poszedłem do Steve'a do domu.

– Co się stało z Hectorem? – spytałem po przywitaniu się.

Steve pokiwał głową i popatrzył na ścianę.

– Chodźmy na dół, to ci powiem. Nie chcę, żeby moja stara to słyszała.

Zeszliśmy na dół i stanęliśmy w bramie, żeby mieć osło-nę przed zimnym wiatrem, kiedy Steve będzie mi opowia-dał.

– Po tej rozmowie z tobą, przed twoim wyjazdem do Kalifornii, Hector zrobił się bardzo niespokojny. Bardzo nie-cierpliwy. Nigdy go nie widziałem takiego. Mieliśmy wielką bitwę z Apaczami i Hector bił się, jakby oszalał. Chciał za-bić każdego, kto mu się nawinał pod rękę, nawet Mau Mau. W trzy miesiące po tym dostał.

– Jak to się stało? – spytałem, czując, jak żal ściska mi serce i przygniata piersi, zmuszając do łapania powietrza płyt-kimi haustami. – Kto to zrobił?

– Huragan, Gilbert, jak i jeszcze dwóch chłopaków po-szliśmy zabić jednego Apacza. Mieszkał sam na czwartym piętrze. Potem się okazało, że to był nie ten, o którego nam chodziło. Ale Huragan był zdecydowany zabić tego chłopaka i poszliśmy z nim, żeby mu pomóc. Huragan miał rewolwer. Za-stukał w drzwi. Było ciemno. Ale chłopak był sprytny. Uchy-lił drzwi, wyjrzał na korytarz i zobaczył Huragana z rewolwe-rem. Wtedy wyskoczył z bagnetem długim na pół metra i wyrznął nim w żarówkę. To była jedyna z żarówek, co wisiały u sufitu, i on ją rozbił. Nic nie było widać. A on jak wariat machał i dźgał tym bagnetem. Huragan trzy razy strzelił z rewolweru i usłyszeliśmy wrzask: „Zabił mnie! Zabił mnie!”. Nie wiedzieliśmy kto to i myśleliśmy, że Huragan zabił tego Apacza. Zwialiśmy po schodach na dół, na ulicę.

Steve odwrócił się i popatrzył na klatkę schodową, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podsłuchuje.

– Kiedy byliśmy już na ulicy, zobaczyliśmy, że Hura-gana z nami nie ma.

Gilbert pobiegł z powrotem na górę i zna-lazł go stojącego pod ścianą, przebitego na wylot tym bagne-tem. Gilbert mówił, że ten bagnet wystawał

Huraganowi z pleców. Ten Apacz uciekł do swojego pokoju i zamknął drzwi na klucz. Hector był przerażony i płakał. Opierał się o ścianę, z tym bagnetem całym wbitym w brzuch i błagał Gilberta, że-by mu nie dał umrzeć. Mówił, że boi się umrzeć. Krzyczał coś o bijącym zegarze, a potem upadł na podłogę, na rękojeść bagnetu i umarł.

W gardle mi wyschło i miałem takie uczucie, jakbym miał język oblepiony watą. Wyjąkałem:

– Czemuście go tam zostawili?

– Bo baliśmy się wszyscy. Wpadliśmy w panikę. Nigdy nie widzieliśmy jeszcze nikogo tak umierającego. Rozbiegliśmy się w różne strony. Przyjechali gliniarze, ale nie było żadnych dowodów i puścili tego Apacza. Mocno nas to roztrzęsło.

Odwrociłem się i chciałem odejść. Wtedy Steve spytał:

– Nicky, jak myślisz, co on miał na myśli, kiedy mówił o tym bijącym zegarze? Pokręciłem głową.

– Nie wiem. No to cześć.

Wracałem na Clinton Avenue jak oczadziały. Każdy krok brzmiał mi w uszach niczym uderzenie zegara na wieży przy Hatburn Avenue; słyszałem swój głos mówiący do Hectora Huragana: „Jest późno, Hector, ale nie za późno. Lecz jeśli nie oddasz serca Bogu, nie zobaczę cię już nigdy”.

– Mocny Boże – wyszeptalem – nie pozwól mi nigdy więcej odejść od któregoś z moich przyjaciół, zanim nie doprowadzę sprawę do końca.

Zacząłem pracę z pensją 10 dolarów tygodniowo, plus mieszkanie i wyżywienie. W mieszkaniu przy garażu nie było wyposażenia kuchennego, więc na posiłki chodziliśmy do głównego budynku. Oboje z Gloria uwielbialiśmy gorącą hiszpańską kuchnię, a ponieważ w Centrum jedzenie było z konieczności dość jednostajne, trwoniliśmy większość z naszych dziesięciodolarowych tygodniówek na hiszpańskie potrawy. To był nasz jedyny luksus.

Rozpoczęliśmy pracę na ulicach. Wilkerson napisał rozprawę, którą nazwaliśmy „Rozprawa o tchórzostwie”. Była ona adresowana do nastolatków i wzywała ich, żeby nie byli tchórzami, tylko przyjęli Chrystusa. Rozdawaliśmy to tysiącami na ulicach Brooklynu i Harlemu.

Od razu stało się jasne, że naszym głównym zadaniem będzie praca z narkomanami. Wielu członków gangów, uprzednio zadowolających się marihuaną i winem, przeszło teraz na heroinę.

Działaliśmy „na bezczelnego”. Podchodziliśmy do grupki chłopaków stojących na rogu i mówiliśmy:

– Cześć, chłopaki, chcecie rzucić nałóg? Niemal zawsze słyszeliśmy odpowiedź:

– No pewnie, chłopie, ale jak?

– Wpadnij do Centrum Młodzieżowego na Clinton. Będziemy się za ciebie modlić. Wierzmy, że Bóg wysłuchuje modlitw. Możesz rzucić nałóg z pomocą Boga.

Dawaliśmy im egzemplarz „Rozprawy o tchórzostwie”.

– Naprawdę? Tak to wygląda? No to może kiedyś zadzwonię do ciebie albo wpadnę.

Z początku szło nam opornie. Większość czasu spędzaliśmy po prostu stojąc na rogach ulic i rozmawiając. Narkomani nie pracują. Oni zdobywają pieniądze drogą kradzieży, rabunku, rozbojów ulicznych. Wyrwują kobietom torebki.

Włamują się do mieszkań, kradną meble i sprzedają je. Kradną bieliznę ze sznurów, mleko sprzed drzwi i w ogóle wszystko, za co można dostać pieniądze na zaspokojenie nałogu. W całym Williamsburgu 8 do 10 osobowe grupki stoją na rogach i planują napady albo naradzają się, jak pozbyć się skradzionych przedmiotów.

Przed świętami Bożego Narodzenia miałem pierwszego na-wróconego w Centrum.

Na imię miał Pedro, był członkiem gangu Mau Mau. Był to wysoki kolorowy chłopak. Żył z mężatką. Pewnego dnia jej mąż zaczepił go w barze i Pedro uderzył go nożem. Tamten był członkiem Skorpionów, gangu z drugiego końca miasta. Pedro dowiedział się, że tamten gang wybiera się do niego. Pewnego wieczora odszukałem Pedra, wysłuchałem jego opowieści i zaproponowałem mu schronienie w Centrum. Pedro zgodził się chętnie. W trzy dni po przeprowadzeniu się do Centrum przyjął Chrystusa i ofiarował serce Panu. Przez następne trzy miesiące nie rozstawaliśmy się z Pedrem ani na chwilę. Gloria i ja spędzaliśmy pierwsze małżeńskie święta Bożego Narodzenia goszcząc w naszym małym mieszkanku Pedra. Jadł z nami każdy posiłek. Chodził z nami wszędzie. W czasie weekendów jeździliśmy metrem do różnych kościołów na nabożeństwa.

Pedro zawsze jechał z nami. Pewnego wieczora poszedłem spać jak zwykle późno. Gloria już leżała w pościeli, rozłożonej na naszej kanapie we frontowym pokoiku. Myślałem, że już śpi, i rozebrałem się cicho, żeby jej nie budzić. Wsunąwszy się pod kołdrę, deli-katnie objąłem ją ramieniem i wtedy zorientowałem się, że Gloria płacze. Czułem, jak drży pod moim ramieniem od tłu-mionego szlochu.

– Hej, mała, co się stało?

Gloria wybuchnęła płaczem. Leżałem obok niej, pociesza-łem i głaskałem po plecach, dopóki nie uspokoiła się na tyle, że mogła mówić.

– O co chodzi, Glorio? Żle się czujesz czy co?

– To nie to, Nicky. Nie rozumiesz tego i nigdy nie zro-zumiesz,

– Czego nie rozumiem? – byłem zaskoczony jej niechęt-nym tonem.

– To ta pijawka! – rzuciła Gloria ze złością. – Ta pi-jawka Pedro! Czy on nie może pojąć, że ja chcę od czasu do czasu побыć sama z tobą? Jesteśmy dopiero cztery miesiące po ślubie, a on musi za nami łązić krok w krok. Chyba by się kąpał razem z nami, gdyby nie to, że w łazience mieści się tylko jedna osoba.

– Gloria, daj spokój – zacząłem ją uspokajać – to zu-pełnie do ciebie niepodobne. Powinnaś być dumna. To nasz pierwszy nawrócony. Powinnaś dziękować Panu.

– Ale, Nicky, nie chcę przez cały czas dzielić się tobą. wyszłam za ciebie, jesteś moim mężem i powinnam choć raz na jakiś czas móc побыć z tobą bez tego uśmiechniętego Pedra łążącego stale za nami i powtarzającego: „Chwalcie Pana”. Chyba nie mówisz tego poważnie?

Mówię najzupełniej poważnie. Któreś z nas musi odejść. Albo jesteś moim mężem, albo śpij sobie z Pedrem. Nie żartuję. Nie możesz mieć nas obojga naraz.

Ale posłuchaj, kochanie, jeśli wyślemy go z powrotem na ulicę, wróci prosto do gangu albo go Skorpiony zabiją. Musimy go tu trzymać.

– Jeśli on wróci do gangu, to znaczy, że coś jest nie w porządku z twoim Bogiem. W końcu jakiemu Bogu Pedro się ofiarował? Bogu, który przestaje się nim interesować przy pierwszych kłopotach? Nie wierzę w to. Wierzę, że jeśli ktoś się nawrócił, Boga stać na zatrzymanie go na zawsze. A jeśli mamy bawić się w niańkę przy każdym z tych typów, których tu zapraszasz, to ja się wynoszę. Gloria, w miarę jak mówiła, coraz bardziej podnosiła głos.

– Ależ, Glorio, to jest mój pierwszy nawrócony.

– Może właśnie o to chodzi, że on jest twoim nawróco-nym. Gdyby on był nawróconym Boga, nie musiałybyś się tak martwić o to, że wróci do gangu.

– No cóż, może masz rację. Ale pomimo wszystko musimy zapewnić mu jakieś mieszkanie. I pamiętaj. Glorio, że Pan po-wołał mnie do tej pracy, a ty zgodziłaś się pójść ze mną.

– Ależ, Nicky, ja tylko nie chcę być zmuszona do nie-ustannego dzielenia się kimś z tobą. Przytuliłem ją mocno do siebie.

– Teraz nie musisz się mną dzielić. A jutro porozma-wiam z Pedrem, może wymyślimy coś dla niego zamiast tego ciągłego chodzenia za nami. W porządku?

– W porządku – mruknęła Gloria, kładąc mi głowę na ramieniu i przytulając się do mnie.

Sonny zjawił się ostatniego kwietnia, razem z zapowie-dzią majowego śniegu. Był pierwszym narkomanem, nad któ-rym pracowałem.

Wieczorem wszedłem do kaplicy i zauważyłem bladego chłopaka siedzącego na brzegu ostatniego rzędu krzesel. Pozna-łem, że to narkoman. Podeszedłem i usiadłem obok niego. Obją-łem go ramieniem i powiedziałem mu wprost:

– Wiem, że jesteś narkomanem. Widzę, że bierzesz od lat i nie możesz zerwać z nałogiem. Myślisz, że to nikogo nie obchodzi. Pozwól sobie powiedzieć, że Boga to obchodzi. On może ci pomóc.

Chłopak, dotychczas patrzący ponuro w podłogę, podniósł głowę i spojrzał na mnie bez wyrazu. W końcu powiedział, że ma na imię Sonny. Dowiedziałem się potem, że wychował się w religijnym domu, ale uciekł i niezliczoną ilość razy był w więzieniu za narkomanię i złodziejstwo. W więzieniu był kilkakrotnie poddany kuracji odwykowej metodą nagłego odstawienia narkotyku, ale nie pozbył się nałogu.

Sonny miał oryginalny sposób zdobywania pieniędzy na narkotyki. Jego kumpel podbiegał do jakiejś kobiety i wrywał jej torebkę. Kiedy kobieta zaczynała krzyczeć, Sonny pod-chodził i mówił:

– Proszę nie krzyczeć. Znam tego złodzieja. Odzyskam pani torebkę. Proszę

tutaj czekać, zaraz wrócę.

Kobieta przestawała wzywać policję i stała czekając na Sonny'ego, który biegł do swojego kolegi i dzielił się z nim zdobyczą.

Ukląkłem koło Sonny'ego na podłodze kaplicy i powie-działem:

– Chcę się za ciebie pomodlić. W twoim życiu brak Je-zusa.

Poczułem, jak fala współczucia zalewa mi serce i zaczą-łem modlić się ze łzami:

– Boże, pomóż temu człowiekowi. On umiera. Jedyne Ty możesz mu pomóc. On potrzebuje nadziei, miłości. Proszę Cię, pomóż mu.

Kiedy skończyłem, Sonny powiedział:

– Muszę już iść do domu.

– Odprowadzę cię.

– Nie – powiedział Sonny z lękiem – nie możesz. Wiedziałem, że ma zamiar po wyjściu od nas zrobić sobie zastrzyk.

– No to zostaniesz tutaj – powiedziałem.

– Nie – powiedział znowu – muszę iść do sądu. Mają mnie wsadzić do więzienia.

Nawet nie wiem, po co tu przy-szedłem,

– Przyszedłeś tu, bo Bóg cię tu skierował – powiedzia-łem. – Bóg posługuje się mną, żeby ci pomóc. Zostań dziś na noc tu u nas, w Centrum, a jutro pójdę z tobą do sądu.

Ale Sonny powiedział, że musi iść do domu. Obiecałem, że przyjdę po niego o ósmej rano.

Na drugi dzień rano poszedłem z Sonnym do sądu. Na schodach budynku sądowego powiedziałem mu:

– Sonny, będę się modlił, żeby Bóg skłonił sędziego do odroczenia sprawy o dwa miesiące, byś mógł zerwać z nałó-giem i znaleźć Chrystusa. Może potem sędzia całkiem cię uwolni.

Sonny prychnął ironicznie:

– No, jeszcze czego. Ten parszywy sędzia nigdy niczego nie odracza. Wsadzi mnie do paki, zanim wybije południe, posiedź tu, to zobaczysz. Zatrzymałem się i zacząłem się głośno modlić:

– Boże, proszę cię w imię Jezusa, abyś zesłał swego Du-cha Świętego, który natchnie sędziego do odroczenia rozprawy Sonny'ego, żeby Sonny mógł zostać chrześcijaninem. Dziękuję Ci za wysłuchanie mojej modlitwy. Amen.

Sonny popatrzył na mnie jak na wariata. Pociągnąłem go za rękę:

– Chodźmy posłuchać, jak sędzia odracza rozpatrzenie twojej sprawy.

Weszliśmy na salę rozpraw. Sonny poszedł do przodu, by zgłosić swoje przybycie sekretarzowi sądu. Potem zajął miejsce wśród innych oskarżonych, a ja usiadłem z tyłu.

Sędzia rozpatrzył trzy sprawy i każdego z tych chłopa-ków skazał na długi pobyt w areszcie. Trzeci z nich zaczął wrzeszczeć, kiedy sędzia wydał na niego wyrok. Wskoczył na stół i próbował dosięgnąć sędziego, krzycząc, że go zabije. Wszyscy na sali zerwali się z miejsc. Policjanci ściągnęli chłó-paka na dół i zakuli go w kajdanki. Kiedy wywlekli go bocz-nymi drzwiami, sędzia zmarszczył brwi i powiedział:

– Następna sprawa.

Sonny wstał i czekał w napięciu. Sędzia przekartkował akta sprawy, po czym spojrzął na Sonny'ego znad okularów i powiedział:

– Nie wiadomo czemu akta twojej sprawy są niekom-pletne. Zgłosisz się znowu za 60 dni.

Sonny obejrzał się i popatrzył na mnie z niedowierza-niem. Uśmiechnąłem się i dałem mu znak, żeby podszedł do mnie. Oczekiwało nas trudne zadanie, musieliśmy zacząć.

Pozbywanie się nałogu metodą nagłego odstawienia he-roiny jest trudną do wyobrażenia męczarnią. Przygotowałem dla Sonny'ego pokój na drugim piętrze Centrum. Wiedząc, że potrzebny będzie stały nadzór, uprzedziłem Glorię, iż najbliż-sze trzy dni spędzę z Sonnym. Ustawiłem gramofon z płytami o treści religijnej i postanowiłem siedzieć obok Sonny'ego w tym pokoju, dopóki nie wykrzyczy tego z siebie.

Pierwszego dnia Sonny nie mógł usiedzieć na miejscu: nerwowo chodził po pokoju tam i z powrotem, mówił dużo i szybko. Wieczorem zaczął dygotać. Siedziałem przy nim przez całą noc. Miał paskudne ataki dreszczy i trząsał się tak, że zęby mu szczękały i cały pokój wibrował. Chwilami wyrwał mi się i pędził do drzwi, ale zamknąłem je na klucz i nie mógł uciec. Na drugi dzień o świcie

dreszcze zelżały i udało mi się sprowadzić go na dół, na lekkie śniadanie. Zaproponowałem mu spacer wokół bloku, ale ledwo wyszliśmy na zewnątrz, Sonny zaczął wymiotować. Pochylony nisko nad chodnikiem trzymał się za brzuch i wymiotował. Chwyciłem go i wyprostowałem, ale on wyrwał mi się, na chwiejnych nogach wszedł na jezdnię i tam upadł. Odciągnąłem go do krawężnika i trzy-małem jego głowę na swoich kolanach, dopóki torsje nie mi-nęły i nie odzyskał trochę sił. Potem wróciliśmy do naszego pokoju na trzecim piętrze, żeby czekać i modlić się. Gdy nadeszła noc, Sonny zaczął krzyczeć:

– Nicky, nie mogę już. Za głęboko w tym siedzę. Muszę sobie zrobić zastrzyk.

– Nie, Sonny. Przejdziemy przez to razem. Bóg da ci do tego siłę.

– Nie chcę siły. Chcę zastrzyku. Muszę go mieć! Pozwól mi, Nicky, pozwól, proszę cię. Nie trzymaj mnie tutaj. Na mi-łość Boską, puść mnie! Pozwól mi wyjść.

– Nie, Sonny, ze względu na miłość Boską nie puszcze cię. Jesteś Mu drogi. Chce się tobą posłużyć, ale nie może tego zrobić, dopóki jesteś w mocy tego demona. W imię Boga będę cię tutaj trzymał, dopóki nie zostaniesz uzdrowiony. Siedziałem z nim przez całą tę długą noc, w czasie któ-rej Sonny oblewał się zimnym potem i torsje wstrząsały nim tak silnie, że omal nie wyróciły mu żołądka na drugą stronę. Ocierałem mu twarz wilgotnymi ręcznikami, puściłem głośno gramofon i śpiewałem na głos razem z Bev Shea i Statesman Quartet. Przez następny dzień chodziłem jak śnięty. Jeszcze raz próbowałem wmusić w niego trochę jedzenia, ale zwrócił je od razu. Usiadłem koło jego łóżka i modliłem się aż do zachodu słońca.

Sonny zapadł w nerwowy sen, jęczał i rzucał się na łóż-ku. Dwukrotnie zrywał się i próbował biec ku drzwiom. Za drugim razem musiałem złapać go i siłą zaciągnąć do łóżka.

Około północy, siedząc na krześle koło jego pościeli, po-czułem, jak ogarnia mnie czarna chmura snu. Próbowałem zwalczyć senność, ale nie spałem już od 42 godzin. Wiedziałem, że jeśli teraz zasnę, Sonny może wymknąć się i nie wrócić już nigdy. Byliśmy blisko zwycięstwa, ale nie mogłem już dłużej walczyć. Poczułem, jak głowa opada mi na piersi. „Tylko chwilę zamknę oczy...”

Obudziłem się nagle, przestraszony. Niesamowita poświata od lamp ulicznych napełniała ten duży pusty pokój na dru-gim piętrze domu. Byłem przekonany, że spałem nie więcej niż kilka sekund, ale coś wewnątrz mówiło mi jednak, że to trwało o wiele dłużej. Spojrzałem na łóżko Sonny’ego. Było puste. Zmięta kołdra leżała w nogach. Sonny zniknął!

Serce skoczyło mi do gardła. Zerwałem się na równe no-gi chcąc biec do drzwi.

W tym momencie spostrzegłem go. Klęczał na podłodze przy oknie. Z ulgą podszedłem do okna i ukląkłem na gołej drewnianej podłodze koło Sonny’ego. Lekki wiosenny śnieg padał skrząc się w świetle lamp ulicznych. Jezdnie i chodniki tworzył jeden nieskalanie biały dywan, a gałęzie drzew za oknem, z właśnie zaczynającymi się poja-wiać delikatnymi, drobniutkimi pączkami, iskrzyły się drob-nym białym śniegiem. Każdy delikatny płatek połyskiwał oddzielnie, opadając w świetle latarni; przypominało to obrazek z kartki świątecznej.

Sonny powiedział:

– To jest piękne. To jest niewiarygodne. Nigdy nie wi-działem niczego tak pięknego. A ty?

Przyjrzałem mu się uważnie. Wzrok miał bystry i głos spokojny. Twarz mu jaśniała, przestał bełkotać i mówił wy-raźnie.

Uśmiechnął się do mnie:

– Bóg jest dobry, Nicky. Jest wspaniały. Dziś w nocy uwolnił mnie od losu gorszego niż piekło. wyswobodził mnie z niewoli.

Popatrzyłem przez okno na roztaczający się przede mną obraz czystego piękna i wyszeptałem:

– Dziękuję Ci, Panie, dziękuję Ci.

I usłyszałem, jak Sonny mówi półgłosem:

– Dziękuję Ci.

Po raz pierwszy zostawiłem Sonny’ego samego i poszed-łem po świeżym śniegu do swojego mieszkania. Szedłem z gołą głową. Bezszelестnie padające płatki śniegu osiadały mi na włosach i delikatnie skrzypiały pod moimi stopami, gdy wcho-dziłem na drewniane schodki.

Zastukałem delikatnie i Gloria otworzyła drzwi.

– Która godzina? – spytała sennie.

– Koło trzeciej rano – odparłem. Stojąc w drzwiach przytuliłem ją mocno i patrzyliśmy, jak delikatny drobny śnieg pada bezgłośnie na ziemię, pokrywając mroczną brzydotę pięk-na osłoną czystej niewinności.

– Sonny przyszedł do Chrystusa – powiedziałem. – Nowe życie narodziło się w Jego Królestwie.

– Dzięki Ci, Jezu – powiedziała cicho Gloria.

Przez długą chwilę staliśmy i patrzyliśmy na roztacza-jącą się przed nami panoramę piękna. Potem poczułem, jak Gloria obejmuje mnie mocniej.

– Sonny nie jest jedynym nowo powstałym życiem. Nie miałam kiedy ci powiedzieć, byłeś tak zajęty przez trzy ostat-nie dni, ale we mnie też jest nowe życie. Będziemy mieli dzie-cko.

Porwałem ją w objęcia, przepełniony radością i miłością.

– Och, Glorio, kocham cię! Tak cię kocham!

Schyliłem się, delikatnie chwyciłem ją od tyłu pod ko-lanami i ostrożnie wzięłem na ręce. Pchnąłem drzwi nogą. Za-trzasnęły się, pograżając pokój w zupełnej ciemności. Podeszed-łem do kanapy i ostrożnie złożyłem Głorię na pościeli. Usiad-łem obok niej i leciutko przyłożyłem głowę do jej mięciutkiego brzuszka, tuląc się jak najbliżej ukrytego tam nowego ży-cia. Gloria zaczęła gładzić mnie oboma rękami po twarzy i gło-wie. Wtedy zmęczenie wzięło nade mną górę i zapadłem w głę-boki, spokojny sen.

Wkrótce po nawróceniu Sonny wprowadził nas w mroczny świat kryjący się pod powierzchnią wielkiego miasta. Ukazał nam środowisko narkomanów, prostytutek i zatwardziały ch kryminalistów.

Gloria i ja spędziliśmy wiele godzin na ulicach, rozdając nasze traktaty i ilość mieszkańców Centrum powiększała się. Mieliśmy jednak bardzo niewielu nastolatków. Większość sta-nowili dorośli. Wydzieliliśmy drugie piętro dla kobiet. Gloria pracowała z dziewczętami, a ja z mężczyznami, chociaż jako kierownik byłem odpowiedzialny za obie grupy.

David przeprowadził się do domu na Staten Island i co-dziennie, kiedy był w mieście, przyjeżdżał nadzorować pracę w Centrum. Kupiliśmy mikrobus z dziewięcioma miejscami pasażerskimi i Gloria z jednym z chłopców dwa razy w ty-godniu jechała po członków gangów, których przywoziła do Centrum na nabożeństwa.

Pedro wynajął sobie pokój w Jersey, ale Sonny został u nas do września, kiedy to wyjechał do Instytutu Biblijnego w La Puente. Tego samego lata zwolnił się pokój na pierwszym piętrze Centrum i przeprowadziliśmy się tam. Sypialnia męska była na tym samym piętrze, nieco dalej. Na dole mie-liśmy biuro, kuchnię i jadalnię oraz duży pokój, którego uży-waliśmy jako kaplicy. Miałem nadzieję, że przeprowadzka do dużego budynku zmniejszy napięcie nerwowe Glorii. Jednak przebywanie w jednym domu z czterdziestoma narkomanami nie daje możliwości zażywania ciszy i spokoju.

Napięcie Glorii nie malało. Mieliśmy bardzo mało czasu na życie osobiste, bo jeśli tylko nie spałem, byłem z narko-manami. Pod koniec 1962 roku musiałem nagle wyjechać do Puerto Rico. Mama przysłała telegram do Franka: umarł ojciec. Frank, Gene i ja, zabrawszy żony, poleciliśmy do Puerto Ri-co, gdzie odprawiłem nabożeństwo na pogrzebie ojca. Przyje-chałem jako chrześcijański pastor i chociaż ojciec nigdy otwar-cie nie zaakceptował Chrystusa jako Syna Bożego, pochowałem go pewien, że w jego życiu nastąpiła zmiana i że Bóg w swoim niezmiernym miłosierdziu będzie go w stanie osądzić według jego serca. „Wielki” umarł, ale wspomnienie o ojcu, którego nauczyłem się kochać, pozostało żywe w moim sercu.

Alicja Anna urodziła się w styczniu 1963 roku. Pomogła zapełnić pustkę w samotnym życiu Glorii, która teraz w długie dni miała kogo obdzielać swoją miłością. Tęskniłem do tego, żeby być z nimi, ale moje pragnienie pomagania narkomanom trzymało mnie poza domem od świtu do północy. Ostrzegłem Głorię, żeby nie pozwalała nikomu brać dziecka, bo chociaż ko-chałem tych narkomanów, wiedziałem, że umysły poważnie naruszone przez narkotyki są zdolne do wszystkiego.

Ale nigdy nie dowiedziałem się, ile razy Gloria zasypiała we łzach w samotności naszego mieszkania. Bez wątplenia Bóg wybrał ją na moją towarzyszkę. Takiego życia nie byłaby w stanie znieść żadna inna kobieta.

15. DROGA DO PIEKŁA.

Przez kilka dni nie było mnie w mieście, a kiedy wróciłem, Gloria powiedziała mi o Marii. Dwudziestoosmioletnia Maria przyszła prosto z ulicy, na współzamarznięta, z ostrymi objawami głodu heroinowego, na krawędzi śmierci. Gloria prosiła mnie, abym pamiętał o niej szczególnie tego wieczora, gdy będę prowadził nabożeństwo w naszej małej kaplicy.

Po nabożeństwie Gloria przyprowadziła Marię do mojego gabinetu. Maria, wciąż jeszcze z objawami głodu heroinowego, mówiła niewyraźnie, zacinając się.

– Dziś wieczorem – powiedziała – doznałam niezwykłego uczucia: zapragnęłam uwolnić się od mojego bezwartościowego życia. Kiedy wygłaszałeś kazanie, poczułam, że naprawdę wolę śmierć niż to moje okropne życie. Ale równocześnie, po raz pierwszy w życiu, pragnęłam żyć. Nie mogę tego zrozumieć.

Wyjaśniłem jej, że doznała tego, co Biblia nazywa „upamiętaniem”.

– Mario, nie możesz odczuć miłości Boga, dopóki nie zapragniesz, aby umarła dawna Maria. Czy chcesz, aby w twoim życiu narkotyki i prostytutka zostały oddane śmierci, pogrzebane i na zawsze zapomniane?

– O, tak, tak, tak! – zaszlochała Maria. – Zrobię wszystko, żeby się z tego wyrwać.

– Czy pragniesz umrzeć dla siebie samej? – pytałem dalej.

– Tak – odparła, powstrzymując łzy. – Nawet to...

– A więc opowiem ci o miłości tak pięknej, tak cudownej, tak wspaniałej, że może nawet osobę taką jak ty uczynić czystą i niewinną. Opowiem ci o Jezusie. I przez najbliższe dziesięć minut mówiłem jej o doskonałej miłości Bożej, przelanej na nas w Jezusie Chrystusie.

Maria ukryła twarz w dłoniach i szlochała. Podeszedłem do niej i położyłem rękę na jej ramieniu.

– Mario, uklęknij i módlmy się.

Zanim zdążyłem dokończyć zdanie, Maria klęczała na podłodze. Uczułem, że tama pękła. Maria narodziła się do nowego życia w Jezusie Chrystusie.

W miesiąc później Maria weszła do mojego gabinetu. Targał nią głód narkotyku i chciała odejść z Centrum. Jej chłopak, Johnny, poddał się już zewowi narkotyku i przed kilku dniami w środku nocy opuścił Centrum.

Wstałem i zamknąłem drzwi.

– Mario – powiedziałem – nie ma dla mnie rzeczy ważniejszej niż twoja przyszłość. Porozmawiamy o tym, co zaszło w twoim życiu.

Maria nie wahała się ani chwili. Zaczęła od momentu, kiedy miała 19 lat i skończyła średnią szkołę. Pozwoliłem jej opowiadać.

– To Johnny nauczył mnie palić marihuanę. Moje przyjaciółki opowiadały mi, jak to jest, kiedy się pali. Powiedziały, że wszystko jest w porządku, dopóki się nie przejdzie na coś mocniejszego. Johnny zawsze miał skręty. Uważałam, że to fajna rzecz.

Maria przerwała i zamyśliła się, wspominając tamte pierwsze dni, kiedy dopiero zaczynała zstępować do tego piekła, a ja pomyślałem, jak podobna jest jej historia do opowieści tuzinów narkomanów przychodzących do Centrum.

Dziewięćdziesiąt procent z nich zaczynało od skręta z „trawy”, a później stopniowo przechodziło na silniejsze narkotyki. Wiedziałem z góry, co Maria powie, ale czułem, że ona musi to z siebie wyrzucić.

– Opowiedz mi o tym, Mario. Co było dalej? Maria poprawiła się w fotelu, zamknęła oczy i zaczęła opowiadać historię swojego życia.

– Czułam, jak moje kłopoty gdzieś odlatują – powiedziała. – Raz czułam, że się unoszę wiele kilometrów nad ziemią, a raz znowu, że się rozdzielam: pałce odłączają się od dłoni i ulatują w przestrzeń, dłonie oddalają się od przegubów, ręce i nogi opuszczają moje ciało. Rozpadałam się na milion kawałków i ulatywałam w dal z powiewem wiatru.

Przerwała znowu, ogarnięta wspomnieniami.

– Ale „trawa” mi nie wystarczała. Pobudziła tylko żądzę czegoś mocniejszego. Byłam „na psychicznym głodzie”.

Pierwszą „szprycę” zrobił mi Johnny. Gadał o tym od kilku tygodni. Pewnego dnia płakałam od rana. Było mi bardzo źle i Johnny podeszedł do mnie z igłą do zastrzyków i łyżką. Wiedziałam, co chce zrobić, ale on był tak pewien, że mi to pomoże, że pozwoliłam mu. Nie wiedziałam wtedy, co to narkomania. A on mnie zapewniał, że nic mi nie będzie.

Zacisnął mocno pas dookoła mojego ramienia ponad łokciem, aż żyła nabrzmiała

mi pod skórą. wysypał białą, po-dobną do cukru zawartość małej torebki na łyżkę. Zakraplaczem do oczu dodał wody, a potem podsunął pod łyżkę zapał-kę i zagotował płyn. Znowu wziął zakraplacz i wciągnął do niego rozpuszczoną heroinę. Potem z wprawą wbił koniec igły do żyły i wycisnął ten czarodziejski płyn z zakraplacza do igły. Odłożył zakraplacz i kiwał igłą w mojej ręce, dopóki roztwór nie wpłynął w żyły. Gdy wyciągał igłę, nie czułam niczego. Nie zdawałam sobie sprawy, że właśnie stałam się jedną z tych, którzy „biorą w kanał”.

– Johnny, robi mi się niedobrze – powiedziałam.

– Wszystko w porządku, mała – powiedział Johnny – niczym się nie przejmuj, niedługo „odpalisz”. Ja ci to obiecuję, a ja zawsze dotrzymuję obietnic. Prawda?

Ale ja go nie słuchałam. Dostałam mdłości i zanim zdążyłam się podnieść, zwymiotowałam na podłogę. Opadłam z powrotem na łóżko i zaczęłam trząść się i pocić. Johnny siedział koło mnie i trzymał mnie za rękę. Wkrótce odprężyłam się i ogarnęła mnie fala przyjemnego ciepła. Wydawało mi się, że zaczynam unosić się pod sufit. Przed oczyma miałam uśmiechniętą twarz Johnny’ego, który pochylił się nade mną i szepnął:

– No jak, mała?

– Bombowo – odpowiedziałam szeptem – to jest wspa-niałe.

Zaczęłam swoją drogę do piekła.

Przez tydzień nie brałam heroiny. Ale następnym razem, gdy Johnny mi ją zaproponował, zgodziłam się chętnie. Kolejny raz nastąpił po trzech dniach. Potem Johnny nie musiał mi już proponować zastrzyku – sama go prosiłam. Nie wiedziałam wtedy jeszcze, że stałam się narkomanką... że jestem w „ciągu”. Pewnego dnia Johnny przyszedł do domu, a ja właśnie zaczynałam się trząść. Poprosiłam go o „szprycę”.

– Słuchaj, mała, kocham cię i tak dalej, ale to kosztuje kupę forsy, wiesz?

– Wiem, Johnny, ale muszę mieć szprycę. Johnny uśmiechnął się.

– Nie mogę, mała. Dziewczyno, zaczynasz mnie sporo kosztować.

– Proszę cię, Johnny – zaczęłam go błagać – nie drocz się ze mną. Nie widzisz, że muszę dostać szprycę? Johnny ruszył do drzwi.

– Dziś nie. Po prostu wypoć to z siebie. Nie mam czasu ani forsy.

– Johnny! – zaczęłam krzyczeć. – Nie zostawiaj mnie. Na miłość Boską, nie odchodź!

Ale on wyszedł. Usłyszałam, jak przekręcił klucz w zamku.

Próbowałam się opanować, ale nie mogłam na to nic po-radzić. Podeszłam do okna i zobaczyłam Johnny’ego na dole przy końcu bloku, rozmawiającego z kilkoma dziewczynami wiedziałam, co to za jedne. Pracowały dla Johnny’ego. Mówił, że są z jego „stajni”. Były to prostytutki kupujące od niego narkotyki za pieniądze otrzymane za swoje usługi. Johnny dbał o to, żeby zawsze miały heroinę, a one za prowizję roz-prowadzały ją pomiędzy swoich klientów. Stałam tam przy oknie i patrzyłam, jak Johnny sięga do kieszeni płaszcza i daje jednej z dziewczyn małą białą toreb-kę. Wiedziałam, co w niej jest. Patrzyłam, jak on rozdaje he-roinę, i ledwo to wytrzymałam. Dlaczego on to daje jej, a nie mnie? Boże, jak ja tego potrzebowałam!

Nagle usłyszałam swój krzyk:

– Johnny, Johnny!

Krzyczałam przez okno na cały głos. Johnny popatrzył w górę, po czym ruszył z powrotem w kierunku domu. Kiedy wszedł, leżałam na łóżku trzęsąc się i łkając. Zupełnie przes-tałam nad sobą panować.

Johnny zamknął za sobą drzwi. Usiadłam na łóżku i próbowałam coś powiedzieć, ale zanim zdążyłam wydobyć głos on podszedł do mnie i poczułam grzbiet jego ręki uderzającej mnie w usta.

– Co robisz, do diabła! – krzyknął. – Chcesz, żeby mnie nakryli czy co?

– Johnny, proszę cię, pomóż mi. Potrzebuję tego. Wi-działam, jak dajesz to tym dziewczynom. Dlaczego nie chcesz dać tego mnie? Proszę cię!

Wpadłam w rozpacz. Trzęsłam się i szlochałam. Czułam smak krwi płynącej mi z kącika ust, ale nie obchodziło mnie to. Chciałam tylko zastrzyku.

Johnny uśmiechnął się.

– Słuchaj, mała. Ty jesteś inna od tych suk z ulicy. Ty masz klasę. Ale ta rzecz nie jest darmo. Ona kosztuje, i to słono. Te dziewczyny tam na dole pracują na swoją część. A ty co robisz za swoją? No?

– Będę pracować. Zrobię wszystko, co mi każesz.

I Poczulałam, że podłoga podnosi się ku mnie. Osunęłam się do jego stóp i chwyciłam go za nogi, żeby nie upaść na twarz. – Masz na myśli, że chcesz zarabiać dla mnie na ulicy? – przerwał, po czym podjął z entuzjazmem. – Mogłabyś to robić, mała. Wiem, że jak zechcesz, to potrafisz. Mała, byłabyś dziesięć razy lepsza od tamtych dziewczyn. Faceci staliby do ciebie w kolejce, a przy okazji moglibyśmy zarobić kupę for-sy. No jak? Robiłbym forszę i kupował ci tyle „hery”, ile byś chciała. Nie musiałybyś nigdy już przez to przechodzić. No co? Chcesz?

– Tak, Johnny, tak, tak, tak. Tylko zrób mi zastrzyk.

Johnny podszedł do kuchenki. wyjął swoją łyżkę i zapalił gaz. wysypał na łyżkę trochę białego proszku i potrzymał nad płomieniem. Napełnił zakraplacz i podszedł do miejsca, w którym kuliłam się na podłodze.

– Mała, dziewczyno, dla nas obojga zaczyna się niebo. Kiedy jesteś ze mną, dosięgniemy księżyca.

Poczulałam, jak igła wbija mi się w żyłę. Drzenie ustało niemal natychmiast – w kilka sekund. Johnny pomógł mi się podnieść i zaprowadził mnie do łóżka, gdzie zapadłam w głę-boki sen. Ale Johnny nie miał racji. To nie był początek nie-ba. To był początek długiego, przeraźliwego koszmaru, który miał się ciągnąć przez osiem okropnych lat. Nie niebo, ale piekło.

Piekło to bezdenna przepaść, w której się spada, ciągle w dół i w dół, i nigdy nie osiąga się dna. Przy grzęknięciu w narkomanię nie ma okazji, żeby się zatrzymać i zastanowić. Nie ma sposobu, żeby powstrzymać upadek. Ja spadałam. Johnny nie mógł mnie wykorzystywać, dopóki nie zosta-łam narkomanką. Ale kiedy stałam się niewolnicą narkoty-ków, stałam się też jego niewolnicą. Musiałam robić to, czego on chciał, a on chciał, żebym była prostytutką i przynosiła mu pieniądze. Zaopatrywał mnie w heroinę, ale widziałam, że to niezupełnie było takie niebo, jakie mi obiecywał.

Przede wszystkim wkrótce się przekonałam, że Johnny ma też inną kobietę. Wiedziałam, że nie ma zamiaru żenić się ze mną, ale nie przyszło mi do głowy, że utrzymuje inną ko-bietę. Zostałam o tym powiadomiona w brutalny sposób. W poprzednią noc miałam mały ruch, więc wstałam zaraz po południu, żeby pójść do sklepu. Lubiłam wyjść i za-pomnieć, kim jestem, udawać, że jestem taka sama jak inni ludzie. Stałam na rogu Hicks i Atlantic czekając na zielone światło, kiedy nagle ktoś chwycił mnie za ramię i pociągnął tak silnie, że obróciłam się o 180 stopni.

– Ty jesteś Maria, co?

Przede mną stała śniada kobieta z długimi czarnym wło-sami opadającymi na ramiona. Oczy jej ciskały pioruny. Zanim zdążyłam jej odpowiedzieć, powiedziała:

– Tak, to ty. Widziałam cię już kiedyś. To ty kręcisz z moim chłopcem. Ja ci pokażę, ty tania dziwko.

Próbowałam odsunąć się od niej, ale ona uderzyła mnie w twarz. Zapaliło się zielone światło i ludzie przepychali się koło nas, ale ja nie miałam zamiaru dać się byle komu bez-karnie poszturchiwać w taki sposób. wyciągnęłam rękę, zła-pałam ją za włosy i równocześnie popchnęłam do tyłu.

Wrzasnęła dziko:

– Ty brudna wywłoko! Ja ci dam spać z moim chłopcem! Zabiję cię!

Wpadła w szał. Rzuciła we mnie torebką, ale uchyliłam się. Popchnęłam ją ciałem i zatoczyła się, uderzając o poręcz okrążającą zejście do metra.

Usłyszałam, jak zachłysła się powietrzem, uderzywszy kręgosłupem o twardą żelazną rurę.

Chwyciłam ją za głowę i zaczęłam ją spychać ponad po-ręczą w dół, ku czarnym stopniom, wiodącym do metra. Sta-rałam się dosięgnąć paznokciami jej oczu, bo wiedziałam, że tam ją najbardziej zabolii. Nagle ona wbiła zęby w moją dłoń. Krzyknęłam z bólu, szarpnęłam rękę i poczułam, jak jej zęby rozrywają mi ciało. Oskoczyłam. Ktoś złapał mnie od tyłu i tłum nas roz-dzielił. Mężczyzna, który mnie chwycił, odwrócił mnie w po-pchnął na jezdnię. Potoczyłam się i upadłam. Ludzie wciąż tłoczyli się wokół tamtej kobiety, a ja puściłam się biegiem przez jezdnię i dalej chodnikiem, drugą stroną ulicy.

Nie obejrzałam się ani razu, tylko pobiegłam prosto do domu, obmyłam rękę i poprosiłam dziewczynę mieszkającą naprzeciwko, żeby mi ją zabandażowała.

wieczorem byłam znowu na ulicy... Nigdy więcej tej kobiety nie zobaczyłam. Ale od tego czasu nie poczuwałam się już do żadnych zo-bowiązań wobec

Johnny'ego. wiedziałam, że mogę dostać to-war od któregokolwiek z tuzina facetów i każdy z nich będzie zadowolony, że dla niego pracuję. Tak zaczął się ten długi ko-szmar. Żyłam po kolei z różnymi mężczyznami. Wszyscy byli narkomanami. Ja sprzedawałam swoje ciało, a oni chodzili kraść.

Nauczyłam się pracować na spółkę z innymi dziewczynami. Wynajmowałyśmy pokój na noc. Potem szłyśmy na ulicę i czekałyśmy. Miałyśmy trochę stałych klientów, ale przeważnie byli to całkiem obcy mężczyźni. Murzyni, Włosi, Azjaci, Portorykańczycy, biali... ich pieniądze miały jeden kolor.

W niektóre noce nie trafiało mi się nic, a czasem, kiedy noc była dobra, miałam 9 do 10 klientów. Ale w tym okresie na utrzymanie się w „ciągu” potrzebowałam już 40 dolarów dziennie, a to znaczyło, że muszę mieć co najmniej 5 klientów każdej nocy, żeby być na chodzie.

To było istne piekło. W ciągu dnia, kiedy mogłam pos-pać, zrywałam się z krzykiem z okropnych snów. Byłam więźniem własnego ciała, a sama sobie byłam strażnikiem więziennym. Nie było ucieczki od tego strachu, plugastwa i ohydy grzechu.

Bałam się pijaków. Niektórzy byli zbrojeńcami i sadystami. Kilka razy dziewczyny były torturami zmuszane do nie-naturalnych stosunków. Jedna trafiła na faceta, którego pod-niecało bicie dziewczyny pasem. Był mocno podпиты i zanim doszli do pokoju, trząsał się z niecierpliwości. Kazał się jej rozebrać, a potem wziął jej biustonosz, przywiązał jej ręce do klamki i bił ją pasem po brzuchu i piersiach, aż zemdlała od krzyku.

wolałam korzystać z pokoju, który wynajmowałam. Cza-sami mężczyzna chciał, żebym szła do jego mieszkania albo pokoju hotelowego. Nieraz to byli biznesmeni, którzy przyje-chali w interesach albo na konferencję. Ale ja się bałam iść z mężczyzną do jego pokoju. Zdarzały się okropne rzeczy, a niektóre dziewczyny w ogóle nie wracały.

Niektórzy nie chcieli iść do mojego pokoju, bojąc się, że zostaną „obrobieni”. Chcieli, żebym jechała z nimi ich sa-mochodami.

Po kilku nieprzyjemnych doświadczeniach przestałam się na to godzić.

Jeden wywiózł mnie na drugi koniec miasta i potem całą noc wracałam metrem do domu. Inny zawiózł mnie w ja-kieś odludne miejsce. Był pijany i zażądał, żebym mu zwró-ciła jego pieniądze. Kiedy odmówiłam, przyłożył mi pistolet do głowy i pociągnął za spust. Pistolet nie wypalił i uciekłam, ale nigdy już więcej nie wsiadłam do niczyjego samochodu.

Kłopoty miałam nie tylko z facetami z ulicy. Miałam też ciągłe problemy z policją. Przez 8 lat, kiedy zażywałam he-roinę, byłam 11 razy w więzieniu. Najdłużej siedziałam 6 mie-sięcy. Zamykali mnie za wszystko. Za kradzieże w sklepach i za okradanie ludzi. Za narkomanię. Za włóczęgostwo. I oczywiście za prostytutkę.

Nienawidziłam więzień. Kiedy pierwszy raz poszłam do więzienia, wciąż płakałam. Obiecałam sobie, że nigdy więcej nie zrobię niczego, za co mogliby mnie jeszcze kiedyś zani-knąć. Ale w 4 miesiące później znowu trafiłam do więzienia. Dziesięć razy tam wracałam.

Policja nie dawała mi spokoju. Jeden gliniarz przycho-dził co kilka dni, kiedy byłam na ulicy, i próbował mnie na-mówić, żebym z nim poszła. Ale wiedziałam, że nie zarobię u niego ani centa i nie dałam się namówić.

Heroina zaczęła mnie wykańczać. Pamiętam swoje pierw-sze przedawkowanie. Jeszcze pracowałam i wprowadziłam się z powrotem do matki. Odeszłam od Johnny'ego. Matka praco-wała w fabryce, a ja w biurze. Powiedziałam matce, że muszę sobie kupić coś nowego do ubrania i uprosiłam ją, żeby wzię-ła pożyczkę z banku.

Pierwszego dnia przyszłam wcześniej z pracy i wzięłam te pieniądze z komody. Poszłam do Harlemu, do znajomego handlarza, kupiłam towar i schowałam go w biustonoszu. Po-tem poszłam o kilka bloków dalej, do jednej piwnicy, gdzie mieszkają narkomani, których znam. Byłam wykończona. Roz-trzęsiona. Naciągnęłam „szprycę” z kapsla od butelki i wstrzyknęłam sobie do żyły. Od razu poczułam, że coś jest nie w porządku. Zakręciło mi się w głowie i zemdlałam. Pamiętam, że ktoś szarpał się ze mną, próbując mnie postawić na nogi. Chyba się przestraszyli, kiedy nie reagowałam. Ktoś zdarł ze mnie biustonosz, wyciągnął resztę „H”, a potem wywlókł mnie z piwnicy i zostawił leżącą bezwładnie na chodniku.

Kiedy się ocknęłam, byłam w Bellevue. Policja znalazła mnie i zabrała do

szpitala. Ktoś mnie obrobił. Zniknęły moje wszystkie pieniądze. Trzej gliniarze stali koło mojego łóżka i wszyscy naraz zadawali mi pytania. Powiedziałam im, że piłam i ktoś mi coś wsypał do kieliszka. Ale oni wiedzieli. I spowodowali, że lekarz napisał na mojej karcie „przedawkowa-nie”. To było pierwsze z trzech.

Ostatnie omal mnie nie zabiło.

Siedziałam w swoim pokoju i piłam. Połączenie taniego wina z przedawkowaniem heroiny zważyło mnie z nóg.

Zasnęłam, wyróciłam się na łóżko i papieros wpadł mi we włosy. Pamiętam, że śniło mi się coś dziwnego. Śniło mi się, że ręka Boga sięgnęła i zaczęła mną potrząsać... i nie przestawała trząść. Pamiętam, jak powiedziałam: „Do diabła, Boże, daj mi spokój, przestań mnie trząść”. Ale On nie przestał. I obudziłam się.

Wydawało mi się, że coś jest nie tak, ale nie wiedziałam co. Wtedy poczułam, że coś śmierdzi. To był smród przypalonego mięsa. Próbowałam wstać, ale upadłam na podłogę. Podczołgałam się do lustra, podciągnęłam się w górę i popatrzyłam na siebie. Nie poznałam swojej twarzy. Byłam łysa. Spłonęły mi całe włosy. Twarz miałam pokrytą bąblami i miejscami zwęgloną. Uszy były prawie zupełnie spalone. Dymiło się z nich tak, jak z przypalonych tostów. Ręce miałam poparzone i pokryte bąblami w miejscach, którymi podświadomie próbowałam stłumić ogień.

Zaczęłam krzyczeć. Mężczyzna mieszkający naprzeciwko usłyszał mój histeryczny krzyk i wiedząc, że jestem narkomanką, wyszedł na korytarz i zaczął łomotać w moje drzwi. Zataczając się podeszłam do drzwi i chciałam je otworzyć, ale kiedy złapałam za gałkę, skóra na dłoniach przylepiła mi się do metalu, zeszała z rąk i nie mogłam tej gałki obrócić.

Temu mężczyźnie jakoś udało się otworzyć drzwi od zewnątrz. Chciał mnie zawieźć do szpitala, ale nie zgodziłam się. Upadłam z powrotem na łóżko i poprosiłam go, żeby mnie zaprowadził do mieszkania mojej przyjaciółki Inez. Zaprowadził mnie tam i zostałam u niej na noc.

Ale miałam oparzenia drugiego i trzeciego stopnia i ból stał się nie do zniesienia. Bałam się szpitala. Byłam tam już kiedyś. Wiedziałam, że głęboko siedzę w nałogu, i zdawałam sobie sprawę, że jeśli tam pójde, będę musiała pożegnać się z heroiną i odwyknąć metodą nagłego odstawienia. Nie wierzyłam, że mogę to wytrzymać. Chyba umarłabym. A bałam się umierać.

Ale rano Inez zmusiła mnie, żebym jednak poszła do szpitala. Nie musiała się za bardzo wysilać. Zdałam sobie sprawę z tego, że umrę, jeśli się nie zgodzę. W szpitalu byłam półtora miesiąca, dopóki nie zagoiły się oparzenia. Kiedy mnie wypuścili, wróciłam na ulicę. Pierwszy zastrzyk wzięłam 45 minut po wyjściu z drzwi szpitala, a wieczerem ruszyłam na obchód swojego rejonu. Tylko że teraz było gorzej, przez te blizny od poparzeń. Nikt mnie nie chciał. Ubranie miałam całe powypalane papierosami i poplamione kawą. Byłam brudna i śmierdziałam. Czasem szłam ulicą i dusiłam się od kaszlu. I prawie dostawałam bzika od narko-tyków.

Jeden Hiszpan, René, często ze mną rozmawiał na ulicy. Kiedyś handlował narkotykami, ale zetknął się z ludźmi z Centrum Młodzieżowego i skończył z heroiną. Został chrześcijaninem i od kilku miesięcy chodził za mną, żebym przyszła tu i też skończyła z nałogiem.

Pewnego zimnego wieczora, w marcu, strasznie mnie ciągnęło do zastrzyku. Powlokłam się ulicą za róg, na Clinton 416, i upadłam w hallu koło biurka. Tego dnia siedział tam Mario. Zawołał Glorię, a ona delikatnie mnie podniosła i podtrzymując poprowadziła do tych drzwi obok biurka. Weszłyśmy do kaplicy. – Uklęknij, Mario – powiedziała Gloria. – Uklęknij i módl się.

Byłam jak w letargu i myślałam, że umieram. Ale jeśli trzeba się modlić, żeby żyć, zrobię to. Uklękłam na podłodze za jedną z ławek, ale nagle – tak, że nie zdążyłam schylić głowy – zaczęłam wymiotować. Zabrudziłam sobie całe przód bluzki i zanieczyściłam podłogę. Zaczęłam płakać, trząść się i upadłam, wsadzając obie ręce we własne wymioty. Zobaczyłam, że inne dziewczyny w kaplicy podchodzą do mnie. Poznałam między nimi kilka znajomych z więzienia, ale teraz były inne. Wszystkie wyglądały jak anioły, wolno płynące ku mnie między ławkami i krzesłami. Uśmiechały się. Ich twarze promieniały. Oczy im błyszczały, ale nie od „tra-wy”, ani „H”, tylko od wewnętrznej jasności, której odblask padał na mnie.

Byłam oszołomiona i kręciło mi się w głowie. Gloria była przy mnie i zdawałam sobie sprawę, że klęczy w moich wy-miotach. Odwróciłam głowę, żeby zapłakać, ale znowu zaczęłam wymiotować.

Dziewczyny zgromadziły się wokół mnie i słyszałam, jak się modlą. Gloria wstała i poczułam na głowie jej dłonie. Ja-kaś siła, elektryczna, duchowa siła przepływała przeze mnie i nieomal unosiła mnie nad podłogę, spływając z delikatnych rąk Glorii w moje poparzone ciało.

Usłyszałam muzykę. Kilka dziewcząt zaczęło śpiewać. Za-drżałam i znowu zwymiotowałam.

– Błagam, połóżcie mnie do łóżka...– wyjąkałam.

Poczułam pod ramionami silne ręce jednej z dziewczyn, która pomogła mi wstać i nieomal zniosła po schodach na górę. Myślałam, że chcą mnie utopić.

Pomyślałam, że to pew-nie kupa wariatek i chcą mnie zabić. Ale tak się źle czułam, że było mi już wszystko jedno.

Dziewczyny delikatnie poprowadziły mnie pod prysznic i umyły. Po raz pierwszy od kilku miesięcy byłam cała czysta i od razu poczułam się lepiej. Potem pomagały mi się wytrzeć, ubrały mnie w czystą bieliznę i zaprowadziły do składanego łóżka w sali pełnej takich łóżek.

– Mogę zapalić? – spytałam jednej z dziewczyn.

Gloria odpowiedziała:

– Niestety, Mario, my tu nie palimy. Ale masz tu cu-kierka. Spróbuj, powinno ci to pomóc.

Upadłam na łóżko i zaczęłam się trząść. Dziewczyny na zmianę nacierały mi palce. Za każdym razem, kiedy prosiłam o papierosa, Gloria wkładała mi w usta następny cukierek.

Siedziały przy mnie przez dwa dni i dwie noce. Nieraz w nocy budziłam się z drżeniem i widziałam koło swego łóż-ka Glorię czytającą Biblię albo modlącą się na głos. Ani chwili nie byłam sama.

Trzeciego wieczora Gloria powiedziała:

– Mario, chcę żebyś zeszła do kaplicy na nabożeństwo. Byłam słaba, tak słaba. Ale zeszłam do kaplicy i usiadłam z tyłu.

Tego wieczora ty miałeś kazanie. Po tym kazaniu przy-szłam do tego pokoju, uklękałam tutaj i wypłakałam przed Bogiem to, co leżało mi na sercu.

Maria przestała mówić. Głowę miała pochylona, a oczy skierowane na Biblię leżącą na moim biurku.

– Mario – szepnąłem cicho – czyż Bóg nie usłyszał twego płaczu?

Maria podniosła głowę.

– O tak, Nicky. Nigdy w to nie wątpiłam. Ale kiedy pociąg do narkotyków staje się bardziej silny, mam ochotę się poddać – po jej policzku stoczyła się łza.

– Módl się za mnie. Z Bożą pomocą poradzę sobie z tym.

16. Z CHRYSTUSEM W HARLEMIE.

Dawid był przeważnie w rozjazdach, rekrutując pracow-ników na lato i zbierając pieniądze na Centrum. W miarę upły-wu czasu miał coraz mniej osobistych kontaktów z narkomanami i znalazł się w sytuacji administratora – w roli, której, co było widać, wcale nie pragnął, ale do której zmusiły go okoliczności. Większość naszej pracy w terenie wykonywaliśmy pod-czas ulicznych nabożeństw i spotkań na rogach ulic. Prawie codziennie ustawialiśmy nasze podium i głośniki w którymś z nowojorskich gett.

Pewnego dnia Mario, ja i jeszcze kilka osób pojechaliśmy naszym mikrobusem w serce hiszpańskiego Harlemu. Rozda-waliśmy nasze traktaty próbując ściągnąć trochę ludzi na nabożeństwo uliczne, ale prawie nikt się nami nie zaintereso-wał.

Mario powiedział do mnie:

– Ściągnę tu kupę ludzi.

– Dzisiaj nic z tego nie będzie – odpowiedziałam. – Nikogo to nie interesuje. Możemy się spokojnie spakować i jechać do domu.

– Nie – powiedział Mario. – Będziemy tu mieli tłum. Ustawiaj głośniki. Nie minie godzina i będziemy tu mieli takie wielkie zgromadzenie, jak jeszcze nigdy.

– Człowieku, jak chcesz mieć zgromadzenie bez ludzi? Dziś ich to po prostu nie interesuje.

– Nic się nie bój. Zostaw to mnie – powiedział Mario, uśmiechając się skromnie, po czym pobiegł i zniknął za rogiem.

Zaczęliśmy ustawiać sprzęt. Pracowaliśmy, kierowani wyłącznie wiarą. Czułem się jak Noe budujący swoją arkę na suchym szczycie góry. Ale stukaliśmy zawzięcie młotkami, wierząc, że Bóg ześle ulewę.

I zesłał. Skończyliśmy w piętnaście minut i znowu stanąłem na rogu, rozdając traktaty, kiedy zobaczyłem gromadę chłopaków nadbiegających w moim kierunku. Wywijali pałkami, kijami baseballowymi i wrzeszczeli na całe gardło.

Odwrociłem się, chcąc wracać na podium i wtedy zobaczyłem drugą gromadę chłopaków, nadciągającą z przeciwnej strony z wrzaskiem i wywijaniem kijami. „Muszę stąd zwieźć – pomyślałem. – Te chłopaki będą się prac”. Ale było już za późno. Otoczyły mnie wrzeszczące, rozpychające się łokciami gangi. Czekałam, kiedy rozpocznie się walka.

Nagle zobaczyłem Maria, nadbiegającego zaułkiem między blokami i krzyczącego ku schodkom pożarowym:

– Hej, słuchajcie wszyscy! Przywódca okrutnego gangu Mau Mau z Brooklynu będzie przemawiał za piętnaście minut. Chodźcie go posłuchać! Chodźcie posłuchać wielkiego Nicky’ego Cruza, najgroźniejszego człowieka w Brooklynie! Przyjdźcie przygotowani na wszystko! To niebezpieczny mor-derca!

Chłopcy wysypywali się z domów, zbiegali po schodkach przeciwpożarowych i pędzili w moją stronę. Tłocząc się wokół mnie, wołali:

– Gdzie jest Nicky? Chcę go zobaczyć. Gdzie jest ten przywódca Mau Mau?

Mario podszedł do mnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Widzisz? Mówiłem ci, że zwołam tu tłum. Rozejrzeliśmy się. Rzeczywiście, Mario zwołał tłum. Chyba z 300 chłopaków kotłowało się na ulicy. Pokręciłem głową.

– Mam nadzieję, że nas tu nie pozabijają. Człowieku, te chłopaki są zdolne do wszystkiego.

Mario wciąż się uśmiechał, jeszcze dysząc po biegu.

– Dalej, kaznodziejo, wierni na ciebie czekają.

Nie otarłszy nawet spoconej twarzy, wspiął się na podium, podszedł do mikrofonu i wyciągnął rękę, dając znać, że chce przemawiać. Chłopcy uciszili się, a on rozpoczął w sposób, w jaki konferansjer podczas karnawału zwraca uwagę ludzi na coś, co dzieje się w innej sali.

– Panie i panowie. Dziś jest wielki dzień! Będzie do was mówił przywódca słynnych z okrucieństwa Mau Mau, najniebezpieczniejszy człowiek w Nowym Jorku, postrach młodych i starych. Tylko że on nie jest już przywódcą. Jest byłym przywódcą. I dziś powie wam, dlaczego nie jest już w gangu i dlaczego przeszedł na stronę Jezusa. A teraz oddaję głos samemu NICKY’EMU CRUZOWI, eks-przywódcy gangu Mau Mau!

Gdy Mario wykrzykiwał zakończenie swojej zapowiedzi, wyskoczyłem na podium i stanąłem przed mikrofonem. Chłopcy z tłumu zaczęli krzyczeć i klaskać. Stałem na podium, uśmiechałem się i machałem ręką, a oni bili mi brawo. Wielu z nich znało mnie albo czytało o mnie w gazetach. Około dwustu dorosłych zgromadziło się za młodzieżą. Zajechały dwa samochody policyjne – po jednej z każdej strony tłumu.

Wyciągnąłem ramiona, a krzyki, gwizdy i oklaski umilkły. W jednej chwili tłum się uciszył.

Czułem się szczególnie natchniony przez Ducha Świętego, gdy zacząłem mówić. Słowa przychodziły mi lekko i bez wysiłku.

– Byłem przywódcą Mau Mau. Widzę, że słyszeliście o mnie.

Tłum znowu wybuchł spontanicznymi oklaskami. Wyciągnąłem ręce i zapadła cisza.

– Dzisiaj chcę wam powiedzieć, dlaczego jestem byłym przywódcą. Jestem byłym przywódcą, bo Jezus odmienił moje serce. Pewnego dnia, na zgromadzeniu ulicznym, takim samym jak to, słuchałem jednego pastora opowiadającego o kimś, kto może zmienić moje życie. On mi powiedział, że Jezus mnie kocha. A ja nie wiedziałem nawet, kto to jest Jezus. I wiedziałem, że nikt mnie nie kocha. Ale Davie Wilkerson powiedział mi, że Jezus mnie kocha, i moje życie się odmieniło. Poświęciłem się Bogu i On dał mi nowe życie. Kiedyś byłem taki jak wy: biegałem po ulicach, spałem na dachach. Wywalili mnie ze szkoły za bójki. Policja mnie poszukiwała i wiele razy byłem zatrzymywany, i trafiałem do aresztu. Bałem się. Ale wtedy Jezus odmienił moje życie. Nadał mu nowy sens. Nie palę już „trawy”, nie walczę i nie zabijam. Nie leżę nocami bojąc się zasnąć. Nie dręczą mnie już nocne koszmary. Teraz ludzie zagadują do mnie, gdy przechodzę. Policja mnie szanuje. Jestem żonaty i mam małe dziecko. Ale przede

wszystkim jestem szczęśliwy i już nie uciekam.

Tłum słuchał z uwagą. Skończyłem mówić i wezwałem do wystąpienia wszystkich, którzy chcą odmienić swoje życie.

Po moich słowach dwudziestu dwóch chłopców wystąpiło przed tłum i uklękło.

Zacząłem się modlić.

Skończyłem i rozejrzałem się. Policjanci wyszli z samochodów i stali z czapkami w rękach, pochyliwszy głowy. Podniosłem twarz ku niebu. Nad Harlemem świeciło słońce.

Hiszpański Harlem stał się naszym ulubionym miejscem organizowania ulicznych zgromadzeń. Tutaj udawało nam się ściągać więcej słuchaczy, a potrzeba Ewangelii była tu widoczniejsza niż w innych miejscach, w których wygłaszałyśmy kazania. Stale przypominałem naszej grupie, że „gdzie zaś grzech się rozmnożył, tam łaska bardziej obfitowała”.

Glorii trudno było pogodzić się z hiszpańskim Harlemem. Nie mogła się przyzwyczać do niezbyt miłych zapachów. Usiłowała nie zachowywać się jak snobka, ale niektóre place targowe przekraczały jej odporność. Nawet mnie było trudno przyzwyczać się do much rojących się nad mięsem, owocami i jarzynami. A do tego ten zapach narkotyków. Narkomani wydzielają zapach mułu. A kiedy są w gromadzie, zwłaszcza w czasie letnich upałów, ten zapach staje się nie do zniesienia.

W czasie tych pierwszych miesięcy wygłaszania ulicznych kazań nauczyliśmy się wielu rzeczy. Nauczyliśmy się, że największe sukcesy osiągną ci, którzy trafili do nas z ulicy i mogą przedstawić z pierwszej ręki opowieść o odmieniającej, przeobrażającej mocy Jezusa Chrystusa. Moje kazania do narkomanów nie miały takiego powodzenia, jak kazania byłych narkomanów. Okazali się oni najlepszymi kaznodziejami. Ich szczere, rzetelne, nieskładne opowieści wywierały ogromny wpływ na innych narkomanów. Coraz częściej zaczęliśmy ich z sobą zabierać, żeby wygłaszali kazania. To jednak rodziło pewne problemy.

Wielokrotnie podczas zgromadzeń ulicznych narkomani z ulicy próbowali kusić naszych i dręczyć ich. Stojąc przed nimi zapalali marihuanowe skręty i umyślnie dmuchali im dymem w twarz. Widziałem nawet, jak jeden z nich wyciągnął strzykawkę, pakiecik heroiny i machał tym przed twarzą jednego z naszych narkomanów mówiąc:

- Hej, mały, nie tęsknisz za tym? Chłopie, to jest życie! Musisz spróbować.

Pokusa była ogromna, ale te dusze były osłonięte tarczą mocy Boga.

Okazało się, że zwłaszcza Maria nie wstydzi się stanąć przed gromadą jej byłych towarzyszy, prostytutek i narkomanów, świadcząc o łasce Bożej. Jej proste słowa często wzruszały zgromadzonych do łez, gdy opowiadała o Bogu, który jest bliskim, osobistym przyjacielem, który, pod postacią Swego Syna, Jezusa Chrystusa, chodzi nieprzyjaznymi ulicami tego miasta, dotykając ludzi w ich grzechu i uzdrawiając ich. Większość z nich nigdy nie zetknęła się z takim Bogiem. Bóg, o którym słyszeli, jeśli w ogóle o nim słyszeli, był Bogiem surowym, rzucającym klątwy na grzeszników i smaganiem ustawiającym ich w szeregi jak policjant. Albo, być może, utożsamiali Boga z zimnymi i ceremonialnymi rytuałami magicznymi, które widywali w kościołach.

Pewnego dnia był członek gangu, młody Murzyn, który do niedawna zażywał heroinę, opowiadał o swoim dzieciństwie. Mówił, że kiedy miał trzynaście lat, musiał odejść z domu, bo w mieszkaniu było za ciasno. Mówił o tym, że z jego matką żyli różni mężczyźni. Opowiadał o noclegach na dachach i w metrze. Wyznał, że często musiał żebrać, kraść albo prosić obcych o jedzenie. Nie miał żadnego domu. Za ustęp służyły mu dachy i zaułki między blokami. Żył na ulicy jak dzikie zwierzę.

Gdy mówił to, jakaś stara kobieta z tyłu zaczęła płakać. Nieomal wpadła w histerię. Omijając zgromadzony tłumek podszedłem do niej, aby ją pocieszyć. Kiedy się trochę uspokoiła, powiedziała mi, że ten chłopak mógłby być jej synem. Wygnała z domu na ulicę pięciu synów i nie może już znieść poczucia winy. Zgromadziliśmy się dokoła niej i modliliśmy się za nią, a ona, odrzuciwszy w tył głowę i wzniosłszy oczy ku niebu, z płaczem prosiła Boga, by jej wybaczył i ochraniał synów, gdziekolwiek teraz są. Bóg zesłał tej kobiecie ukojenie jeszcze tego samego popołudnia, ale krzywda wyrządzona przez nią synom była już nie do naprawienia. A w tysiącach innych przypadków krzywdy wciąż są wyrządzane. Czuliśmy się tak, jakbyśmy próbowali osuszyć ocean,

wybierając łyżką wodę z fal przyboju. wiedzieliśmy jednak, że Bóg nie ocze-kuje od nas zbawienia świata, tylko świadectwa i wiary. I to było naszym celem.

Pewnego dnia pod wieczór zwołaliśmy zgromadzenie ulicz-ne w rogu dziedzińca jednej ze szkół w hiszpańskim Harlemie. Kończył się gorący letni dzień. Dużo osób zebrało się, aby posłuchać skocznych hiszpańskich pieśni chóralnych i szybkiej muzyki religijnej, rozlegającej się z naszych głoś-ników.

Tłum był podekscytowany i rozbawiony. Gdy muzyka sta-ła się żywsza, część naszych chłopców i dziewcząt podeszła do mikrofonu i zaczęła śpiewać, i klaskać do taktu. Ale z bo-ku zobaczyłem jakiś ruch. To grupa „młodych ludzi” zaczęła tańczyć w rytm muzyki. Kilkoro dzieci tańczyło na ulicy krę-cąc biodrami i przytupując. Część zgromadzonych zebrała się wokół nich i zaczęła ich dopingować, śmiejąc się i klaszcząc. Opuściłem swoje miejsce i poszedłem tam:

– Hej, dzieciaki, skąd wam przyszło do głowy tańczyć tutaj? To jest rejon Jezusa. Jeden z nich odpowiedział:

– Tamten gość nam zapłacił, żebyśmy tańczyli. widzisz? Dał nam dychę.

Pokazał szczupłego młodego człowieka, około dwudziesto-ośmioletniego, który stał na uboczu. Podeszedłem do niego, żeby z nim porozmawiać. Kiedy zobaczył, że się zbliżam, sam zaczął skakać w rytm muzyki.

Próbowałem coś powiedzieć, ale on ciągle tańczył: pod-skakiwał, kręcił biodrami i strzelał obcasami, mówiąc:

– Chłopie, to mocna muzyka, cza-cza-cza. Kręcił się po ulicy, klepał rękami po udach, odrzucał gło-wę do tyłu jak nienormalny i podśpiewywał:

– Be-bop, cza-cza-cza... dum-de-dum-dum... swing, chło-pie, swing.

W końcu udało mi się wtrącić:

– Hej, człowieku, chcę cię o coś zapytać. Nie przerywając tańca wyśpiewał:

– No, staruszk, czego chcesz?... czego chcesz? be-bob, dedum-dum... czego chcesz?

– Dałeś tym dzieciakom pieniądze, żeby tańczyły i prze-szkadzały nam w nabożeństwie? – spytałem. – Moja cierpli-wość się kończyła.

Okręcił się w kółko i powiedział:

– Właśnie, chłopie, tym razem masz takiego gościa, ja-kiego ci trzeba. Jestem wasz człowiek... da-da-de-de...

Kręcił się, cmokał i wymachiwał nogami aż na wysokość głowy.

Pomyślałem, że to wariat.

– Dlaczego? – krzyknąłem na niego. – I w ogóle, co ci się stało, człowieku?

Bo wy się nam nie podobacie. Nie podobają się nam chrześcijanie. Nie. Nie.

Nie. Nie podobają się nam chrześci-janie. Da-da-dum-de-dum.

Straciłem cierpliwość.

– Dobra, stary – powiedziałem, zaciskając pięści i ru-szając ku niemu. – Dokończymy tego nabożeństwa, a ty będziesz cicho siedział, bo jak nie, to tak tobą rąbnę o tę ścianę, że zamkniesz się na dobre.

Zobaczył, że nie żartuję, ale nie od razu przestał się wy-głupiać. Wymownym gestem zatkał sobie usta dłońią i po-patrzył na mnie sponad niej z udanym strachem. Ale przestał tańczyć i uspokoił się.

Wróciłem do mikrofonu i wygłosiłem kazanie o tym, co przeżyłem dorastając w Nowym Jorku. Mówiłem o brudzie, nędzy, hańbie i grzechu, których pełne było moje życie. Mó-wiłem o grzechu, jaki popełniają rodzice, pozwalający swoim dzieciom rosnać w takim grzechu. Prosiłem ich usilnie, aby dawali dobry przykład swoim dzieciom.

Gdy mówiłem, ludzie zaczęli zdejmować nakrycia głowy. Jest to najlepsza z oznak poważania i szacunku. Zauważyłem łyzy w oczach wielu ze zgromadzonych, tu i ówdzie pojawiały się chusteczki. wiedziałem, że moc Chrystusa oddziałują w szczególny sposób, ale nie spodziewałem się, że za chwilę objawi się ona z taką siłą.

Zauważyłem pośród tych płaczących starego człowieka, niewątpliwie alkoholik. Młoda dziewczyna, stojąca blisko podium, ukryła twarz w dłoniach i uklękła gołymi kolanami na twardej, brudnej nawierzchni dziedzińca. Od naszej grupy oderwała się jedna z dziewcząt, zbliżyła się do niej i uklękła obok, modląc się razem z nią. Mówiłem dalej.

Było jasne, że na tym zgromadzeniu objawiła się moc Ducha Świętego. Gdy zakończyłem kazanie i wezwałem do wystąpienia tych, którzy pragną otworzyć swe

serca na przy-jęcie Chrystusa, zobaczyłem na skraju zgromadzenia narko-mana, który w przystępie rozpaczy sięgnął do kieszeni koszuli, wyciągnął kilka pakietków z heroiną, rzucił je na ziemię i za-czął po nich deptać, krzyząc: – Przeklinam cię, parszywy proszku! Zrujnowałeś moje życie! Przez ciebie odeszła ode mnie żona, pomarli dzieci. Wysłaałeś moją duszę do piekła! Przeklinam cię! Przeklinam cię!

Upadł na kolana płacząc i kiwając się w przód i w tył z twarzą ukrytą w dłoniach. Jeden z członków naszej grupy pośpieszył ku niemu. Podeszło też do niego dwóch naszych narkomanów. Jeden położył mu rękę na głowie, drugi ukląkł. Cała trójka modliła się głośno, a narkoman płacząc prosił Boga o przebaczenie. Kilkoro narkomanów wystąpiło i uklęk-ło na jezdni przed mikrofonem. Chodziłem od jednego do dru-giego, kładłem im ręce na głowach i modliłem się, zupełnie nie uświadamiając sobie hałasu jadących ulicą aut i spojrzeń zaciekawionych gapiów.

Po nabożeństwie zebraliśmy tych, którzy wystąpili, i opo-wiedzieliśmy im o Centrum. Zaprosiliśmy ich do nas na okres zrywania z nałogiem. Zawsze znajdowało się kilku chętnych do pójścia z nami od razu. Inni wahali się albo odmawiali. Niektórzy z nich przychodzili po kilku dniach i prosili, żeby ich przyjąć.

Kiedy ludzie się rozeszli, poskładaliśmy sprzęt i zaczęliś-my ładować go do mikrobusu. Jeden z chłopców, którzy przedtem tańczyli na jezdni, zaczął mnie ciągnąć za rękaw płaszcza. Spytałem go, czego chce, a on powiedział, że „ten co tańczył” chce ze mną mówić. Na moje pytanie, gdzie jest ten człowiek, chłopak pokazał na nie oświetlony zaułek mię-dzy blokami, po drugiej stronie ulicy.

Było już ciemno i nie miałem ochoty wchodzić w zaułek, w którego mroku czaił się wariat. Powiedziałem chłopcu, że chętnie porozmawiam z tym człowiekiem tutaj, w świetle ulicznych latarni.

Chłopak poszedł, ale za chwilę wrócił. Byliśmy już pra-wie całkiem spakowani. Chłopak kręcąc głową powiedział, że ten człowiek jest zbyt zakłopotany, żeby wyjść na światło.

Już chciałem powiedzieć chłopcu: „Nie ma mowy”, kiedy przypomniałem sobie, jak David wilkerson przyszedł do mnie do piwnicy, w której schowałem się po pierwszym ulicznym nabożeństwie. Przypomniałem sobie, jak wszedł bez lęku i po-wiedział: „Nicky, Jezus cię kocha”. To od jego współczucia i nieulękłości rozpoczęła się moja droga do uznania Chrystusa moim Zbawcą.

Popatrzyłem w czarne niebo i powiedziałem Panu, że jeśli chce, bym poszedł porozmawiać z tym szalonym „tance-rzem”, pójdę. Ale pójdę w Jego Duchu, a nie z moją mocą i władzą, i oczekuję, że On pójdzie przede mną – zwłaszcza w tym ciemnym zaułku.

Przeszedłem przez ulicę i zatrzymałem się u wylotu zaułka. Wyglądał jak wejście do grobowca. Pomodliłem się szep-tem: „Panie, naprawdę ufam, że wszedłeś tam przede mną” i wszedłem w ciemność, macając ręką po ceglanej ścianie.

Wówczas usłyszałem tłumiony płacz. Ruszyłem naprzód i w mroku dostrzegłem go: siedział w kucki, kuląc się wśród śmierdzących pojemników na odpadki. Głową wcisnął między kolana, jego ciałem wstrząsały konwulsyjne łkania. Zbliżyłem się i ukląknę obok niego. Okropny smród z pojemników zapierał dech. Ale przede mną był człowiek potrzebujący po-mocy i chęć jej udzielenia była silniejsza od smrodu tego zaułka.

– Pomóż mi, proszę cię, pomóż mi – wyszło chał mężczyzna. – Czytałem o tobie w gazetach. Słyszałem, że się nawróciłeś i byłeś w szkole biblijnej. Pomóż mi, proszę cię.

Nie mieściło mi się w głowie, że to ten sam człowiek, który tak niedawno tańczył i śpiewał na ulicy, próbując prze-szkodzić nam w nabożeństwie.

– Czy Bóg mi wybaczy? Powiedz mi, czy upadłem już zbyt nisko? Czy On mi wybaczy? Pomóż mi, proszę cię.

Powiedziałem mu, że Bóg mu wybaczy. Byłem tego pe-wien. Przecież i mnie wybaczył. Poprosiłem tego człowieka, żeby opowiedział o sobie. Klęczałem obok niego w brudnym zaułku, a on opowiadał historię swojego życia.

Pewnego razu poczuł, że Bóg powołuje go do stanu du-chownego. Zrezygnował z pracy i wstąpił do szkoły biblijnej, żeby zostać pastorem. Jednak po powrocie do Nowego Jorku spotkał kobietę, która zawróciła mu w głowie tak, że porzu-cił

swoją żonę. Żona i dwoje dzieci błagali go, żeby ich nie opuszczał. Przypominali mu jego śluby przed Bogiem i przy-sięgę małżeńską. Ale on był opętany przez demona. Porzucił żonę i zamieszkał z tamtą. Po dwóch miesiącach ona go zosta-wiła, mówiąc, że już ją zmęczył i że już jej nie bawi. On zupełnie się rozkleił i teraz pali „trawę”, zażywa „prochy”. Spytałem go, co zażywa. Powiedział, że bierze bombitas (dezoxy), nembies, tuinal i seconal (barbituraty). Potem powie-dział, że czuje, jak traci rozum.

– Chciałem was stąd wypłoszyć – jęczał. – Dlatego właśnie tak się zachowywałem tam, na ulicy, i na dziedzińcu szkoły. Bałem się. Bałem się Boga, bałem się stanąć z Nim twarzą w twarz. Chcę wrócić do Boga. Chcę wrócić do swojej żony i dzieci, ale nie wiem jak. Będziesz się za mnie modlił?

Uniósł głowę, a ja ujrzałem oczy pełne cierpienia i winy, błagające o pomoc. Pomogłem mu wstać. Wyszliśmy z zaułka na ulicę, do mikrobusu. Sześcioro nas weszło do środka. On usiadł na je-dnym ze środkowych miejsc i opuścił głowę na oparcie stoją-cego przed nim fotela. Zaczęliśmy wszyscy głośno modlić się za niego. On też się modlił. Nagle zdałem sobie sprawę, że recytuję Pismo Święte. Pamięć podsunęła mu wyuczone kie-dyś w szkole biblijnej słowa Psalmu 51, modlitwę Króla Da-wida, gdy popełnił cudzołóstwo z Batszebą i wysłał jej męża na śmierć w bitwie. Nigdy nie odczułem tak blisko mocy Boga, jak wówczas, gdy ten był pastor, który później był sługą Sza-tana, otrzymał Ducha Chrystusowego i z płaczem wyznając swój grzech prosił o przebaczenie słowami Pisma Świętego:

Zmiłuj się nade mną, Boże, według łaski swojej, według wielkiej litości swojej zgładź występki moje! Obmyj mnie zupełnie z winy mojej i oczyść mnie z grzechu mego! Ja bowiem znam występki swoje I grzech mój zawsze jest przede mną. Przeciwko tobie samemu zgrzeszyłem I uczyniłem to, co złe w oczach twoich, Abyś okazał się sprawiedliwy w wyroku swoim, Czysty w sędzie swoim. Oto urodziłem się w przewinieniu I w grzechu, poczęła mnie matka moja. Oto miłujesz prawdę chowaną na dnie duszy I objawiasz mi mądrość ukrytą. Pokrop mnie hizopem, a będę oczyszczony; Obmyj mnie, a ponad śnieg bielszy się stanę. Daj, bym usłyszał radość i wesele, Niech się rozradują kości, które skruszyłeś! Zakryj oblicze swoje przed grzechami moimi I zgładź wszystkie winy moje. Serce czyste stwórz we mnie, o Boże, A ducha prawego odnow we mnie! Nie odrzucaj mnie od oblicza swego I nie odbieraj mi swego Ducha Świętego! Przywróć mi radość z wybawienia twego I wesprzyj mnie duchem ochoczym! Przestępców będę nauczał dróg twoich, I grzesznicy nawrócą się do ciebie. Wybaw mnie od winy za krwi przelanie, Boże, Boże zbawienia mego, A język mój z radością będzie wysławiać sprawiedliwość twoją!

Zamilkł. W mikrobusie panowała cisza. I wtedy Gloria cichym, pięknym głosem wypowiedziała jeszcze jeden werset tego psalmu:

Ofiarą Bogu miłą jest duch skruszony,

Sercem skruszonym i zgnębionym nie wzgardzisz, Boże.

Wszyscy podnieśliśmy się z kolan. Mężczyzna wycierał chusteczką oczy i nos. My też pociągaliśmy nosami i sięgaliś-my po chusteczki.

Mężczyzna zwrócił się do mnie:

– Ostatnie 10 centów dałem tym zwariowanym dziecia-kom, żeby tańczyły na ulicy. Czy dałbyś mi ćwierć dolara, żebym mógł zadzwonić do żony i miał na metro? Jadę do domu.

Moją zasadą było nigdy nie dawać pieniędzy narkomanom ani alkoholikom. Wiedziałem, że niemal bez wyjątku te pie-niądze pójdą na narkotyki czy alkohol. Ale to właśnie był wyjątek. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem swojego ostat-niego dolara. Mężczyzna, z twarzą mokrą jeszcze od łez, wziął banknot i objął mnie za szyję. Potem kolejno objął wszyst-kich pozostałych.

– Skontaktuję się z wami – powiedział. – Przyjđę.

Przyjechał. Po dwóch dniach przyprowadził do Centrum żonę i dwoje dzieci, żeby ich nam przedstawić. Jego twarz promieniała jasnością, której nie są w stanie wywołać narko-tyki. Była to światłość od Boga.

17. PRZEZ CIEMNĄ DOLINĘ.

Chyba nie da się umieścić pod jednym dachem 40 nar-komanów i nie mieć z nimi żadnych problemów, zwłaszcza jeśli nadzoruje ich zupełnie niedoświadczony personel. Jedynie Duch Święty chronił Centrum Młodzieżowe od eksplozji. Sie-dzieliśmy na beczce z prochem; każde z nas mogło zapalić lont jakiegoś

psychopatycznego umysłu i przenieść nas wszy-stkich do niebytu. Naszą jedyną nadzieją było trzymanie się tak blisko Boga, jak tylko było to możliwe. Trudno było odróżnić tych, którzy naprawdę szukali na-szej pomocy, od tych, którzy udawali, bo większość z nich umiała artystycznie kłamać. Zarabiali na życie opowiadając zmyślane historie. Ale ufaliśmy im, na ile było można. Byłem zwolennikiem skrupulatnego przestrzegania dyscy-pliny i wkrótce przekonałem się, że większość z nich nie od-rzuca jej, jeśli jest ona słuszna i sensowna. Prawdę mówiąc, nawet im się podobała, ponieważ dawała im solidną podstawę działania, silne poczucie przynależności. Wiedziałem jednak, że nie wszyscy z nich odczuwają to tak samo.

David zgadzał się z moją filozofią. Ale nieprzyjemna ko-nieczność nieustannego karcenia tych, którzy zakłócili porzą-dek, zaczęła mi bardzo ciążyć.

Wielokrotnie musiałem w środku nocy wstawać z łóżka, aby przywrócić spokój czy nawet usunąć kogoś za nieprzestrzeganie regulaminu.

Spadł na mnie obowiązek podejmowania większości istot-nych dla Centrum decyzji. Musieliśmy też przyjąć dodatko-wych pracowników, przeważnie wprost po college'u. Zacząłem ostro odczuwać brak odpowiedniego wykształcenia i poczułem się zagrożony. Prawie zupełnie nie znałem się na formalnoś-ciach związanych z administrowaniem nieruchomości, a jeszcze mniej na psychologicznych aspektach relacji interper-sonalnych, niezbędnych do utrzymania właściwej atmosfery i porozumienia z moimi współpracownikami. Wyczułem zawiść u niektórych z podległych mi pracowników i zacząłem do-strzegać stopniowe pogorszenie się wzajemnych stosunków.

Kiedy David przychodził do Centrum, próbowałem mu wyjaśnić, że mam problemy, które przekraczają moje kompe-tencje, ale on zawsze odpowiadał mi:

– Na pewno dasz sobie z tym radę, Nicky. Mam duże zaufanie do twoich zdolności. Jednak problemy wciąż narastały jak chmury zbierające się przed burzą na horyzoncie.

Jesienią poleciałem z Davidem do Pittsburgha, żeby prze-mawiać w obejmującej swym zasięgiem całe miasto krucjacie Kathryn Kuhlman; Miss Kuhlman prowadzi jedną z największych na świecie natchnionych przez Ducha Świętego służb duszpasterskich. Jej działalność, za pośrednictwem Fundacji Kathryn Kuhlman, obejmuje wszystkie części świata. Miss Kuhlman odwiedziła kiedyś Centrum Młodzieżowe i żywo za-interesowała się moją pracą. Pokazałem jej miasto i zapro-siłem do getta.

– Dziękuję Bogu, że wyprowadził Pana z tych slum-sów – powiedziała mi potem miss Kuhlman. – Ilekroć nie będzie pan sobie mógł poradzić z jakimś problemem, proszę się ze mną skontaktować.

Pomyślałem sobie teraz, że będąc w Pittsburghu spróbuję z nią porozmawiać, bo zaczęło mi być coraz ciężiej na sercu. Jednak oszołomił mnie rozmach imprezy. Wieczorem, za po-średnictwem mojego przyjaciela, Jeffa Moralesa, który przy-jechał z nami w roli tłumacza, przemawiałem w wielkiej hali do kilku tysięcy osób, opowiadając im historię swojego życia. Po nabożeństwie poszliśmy na obiad do małej restauracji, ale nie miałem okazji, żeby porozmawiać z miss Kuhlman sam na sam. Wyjechałem więc z Pittsburgha jeszcze bardziej zała-many brakiem umiejętności rozstrzygnięcia własnych problemów.

Do stycznia 1964 roku Centrum rozrosło się tak bardzo, że nie dało się już dłużej trzymać kobiet na drugim piętrze posesji Clinton 416. Poczyniliśmy kroki w celu wynajęcia znajdującego się naprzeciwko domu, aby przeznaczyć go dla ko-biet. Zdawałem sobie sprawę z tego, że za moimi plecami konspirują niektórzy narkomani, zmuszeni przeze mnie do przestrzegania dyscypliny.

Ponadto przyjęliśmy do Centrum kilka lesbijek, które nieustannie sprawiały nam kłopoty. Stale ba-łem się, że mogą próbować uwieść którąś z niedoświadczonych dziewcząt z college'ów, przyjętych do pracy w charakterze opiekunek sał.

Kierowanie narkomanami przypominało gaszenie mokrym ręcznikiem pożaru lasu. Ilekroć opanowałem jedną sytuację, pojawiała się nowa, wymagająca niezwłocznej interwencji. Przejmowałem się tym wszystkim coraz bardziej i kiedy nar-koman wracał do normalnego życia, przeżywałem to bardzo.

Gloria ostrzegała mnie, żebym nie próbował brać wszy-stkiego na swoje barki, ale odpowiedzialność ciążyła mi bardzo.

Wtedy przyszła do Centrum Quetta. Była to lesbijka „on” i kiedyś „ożeniła się” z inną dziewczyną. Nosiła męskie ubra-nia, buty i nawet bieliznę. Miała niewiele ponad trzydzieści lat, bardzo jasną karnację i kruczoczarne włosy,

ostrzyżone po męsku. Była to wiotka, smukła, atrakcyjna dziewczyna o bezpośredniej naturze.

Quetta była wybitną postacią wśród nowojorskich handlarzy narkotyków. Przez całe lata prowadziła w swoim mieszkaniu „strzelnicę” (w języku angielskim słowo „strzał” jest potocznie używane na określenie zastrzyku, a przez narkomanów na określenie zastrzyku heroiny; stąd „strzelnica” oznacza lokal, do którego przychodzi się na zastrzyki heroinowe). Mężczyźni i kobiety przychodzili tu nie tylko kupować heroinę, ale i brać udział w orgiach seksualnych. Quetta dostarczała wszystkiego, co było potrzebne: strzykawek, łyżek, heroiny, „proców”, a tym, którzy mieli nienaturalne skłonności – mężczyźni i kobiety. Okropność.

Kiedy policja zrobiła nalot na mieszkanie Quetty, aresztowała 12 osób, w tym dwie zawodowe prostytutki, i znalazła 10 kompletów „sprzętu” (łyżka, igła i zakraplacz). Policjanci dosłownie zdemolowali mieszkanie, zdzierając tapety i zrywając podłogi, aż znaleźli skrytkę z narkotykami wartymi tysiące dolarów. Quetta przyszła do Centrum w okresie warunkowego zawieszania kary.

Przedstawiłem jej regulamin obowiązujący w Centrum i powiedziałem, że ma ubrać się w kobiece stroje i pozwolić włosom odrosnąć. Co więcej, nie wolno jej będzie znaleźć się sam na sam z żadną inną narkomanką, gdy nie będzie obecna któraś z pracownic Centrum.

Quetta czuła się tak źle, że zgodziła się na wszystko. Prócz tego wydawało się, że jest zadowolona, iż nie musi iść do więzienia. Nie minął nawet tydzień, gdy uczyniła wyznanie wiary i całe, jej zachowanie wskazywało na to, że się nawróciła.

Wkrótce jednak przekonałem się, że było to fałszywe nawrócenie. Choć Quetta wielokrotnie występowała na naszych ulicznych zgromadzeniach, opowiadając o swoim nawróceniu, wyczuwałem w niej coś fałszywego.

Dwa tygodnie później jedna z opiekunek sal przyszła do mnie wcześniej rano. Była biała jak płótno i trzęsała się jak liść.

– Co się stało, Diana? Wejdz i usiądź.

Diana była naszą nową pracownicą. Była to wiejska dziewczyna z Nebraski, która właśnie ukończyła szkołę bi-blijną.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć – wyjąkała. – Chodzi o Quettę i Lilly.

Lilly była narkomanką przebywającą w Centrum dopiero od tygodnia. Chodziła na nabożeństwa, ale nie zobowiązywała się wobec Boga do niczego. Poczuliśmy w ustach suchość.

– Co zrobiły?

Diana zaczerwieniła się i zwiesiła głowę.

– Dzisiaj w nocy, koło dwunastej, były razem w kuchni. Wszłam tam przypadkiem i... Nicky... one... one... Głos się jej załamał ze wstydu i zakłopotania.

– Całą noc nie mogłam zasnąć. Co robić? Wstałem z krzesła i zacząłem chodzić koło biurka tam i z powrotem.

– Idź tam i powiedz im, że chcę je tu natychmiast wiedzieć – warknąłem przez zaciśnięte zęby. – To miejsce jest poświęcone Panu. Nie możemy tu tolerować takich rzeczy.

Diana poszła, a ja usiadłem za biurkiem i ukrywszy twarz w dłoniach, rozpaczliwie modliłem się o mądrość. Gdzie popełniłem błąd? Pozwoliliśmy Quette publicznie opowiadać o tym, ile dał jej pobyt w Centrum. Gazety wydrukowały tę historię, nadając jej duży rozgłos. Quetta występowała nawet w kościołach, mówiąc o zmianie, jaka nastąpiła w jej życiu.

Czekałem ponad godzinę, po czym poszedłem zobaczyć, co je zatrzymuje. Diana wyszła mi naprzeciw na schody.

– Odeszły. Obie. Przestraszyły się i powiedziały, że odchodzą. Nie udało nam się ich zatrzymać.

Odwrociłem się i powoli wróciłem do Centrum. Odczułem to jako osobistą klęskę. Przez trzy dni Gloria modliła się ze mną, a gdy zamartwiałem się, że najwyraźniej nie potrafię dotrzeć do tych narkomanów z posłannictwem prawdy, mówiła mi:

– Nicky, nawet Jezus miał złych uczniów. Przypomnij sobie tych wszystkich, którzy wytrwali i osiągnęli to, do czego dążyli. Przypomnij sobie Sonny'ego, który w szkole biblijnej uczy się na pastora. Pomyśl o Marii i o cudownej zmianie w jej życiu. Przypomnij sobie, co Bóg zrobił dla ciebie. Czyż-byś zapomniał, jak sam zostałeś zbawiony? Jak możesz wątpić w Boga i zniechęcać

się tymi odosobnionymi niepowodzeniami?

Gloria miała rację, ale ja nie byłem w stanie pozbyć się przygnębienia. W miarę upływu lata czułem się coraz bardziej winny. Czułem, że nic mi się nie wiedzie. Straciłem kontakt z większością pracowników. David wciąż we mnie wierzył, ale ja dotkliwie odczuwałem ciągłe niepowodzenia w Centrum. Byłem coraz bardziej napięty. Gloria wciąż usiłowała wydobyć mnie z depresji, ale mnie nic się nie udawało.

Jedynym jasnym punktem było przybycie Jimmy'ego Baeza. Jimmy był narkomanem od ośmiu lat. Wszedł do Centrum poprosić o lekarstwo, bo myślał, że to jest szpital.

– Nie mamy tu żadnych lekarstw prócz Jezusa – powie-działem do niego. Jimmy pomyślał, że zwariowałem.

– Człowieku, myślałem, że tu jest klinika. Jesteście kupą wariatów. Rozejrzał się nerwowo i chciał wyjść z mojego pokoju.

– Siadaj, Jimmy. Chcę z tobą porozmawiać. Chrystus mo-że cię zmienić.

– Nikt nie może mnie zmienić – mruknął Jimmy. – Próbowałem i nie potrafię tego rzucić.

Wstałem zza biurka i podszedłem do niego. Położyłem mu dłonie na głowie i zacząłem się modlić. Jimmy zadrżał i upadł na kolana, wzywając Boga. Od tego dnia nigdy już nie chciał wstrzyknąć sobie heroiny.

– Widzisz? – powiedziała Gloria, gdy opowiedziałem jej o nawróceniu Jimmy'ego.

– Bóg pokazuje ci, że wciąż może się tobą posłużyć. Jak możesz jeszcze w Niego wątpić? Dla-czego nie działasz? Od kilku miesięcy ani raz nie byłeś na wieczornym nabożeństwie ulicznym. Zabierz się do pracy dla Boga i jak dawniej poczujesz, że kieruje tobą Duch Święty.

Wziąłem sobie do serca jej radę i zgodziłem się poprowa-dzić nabożeństwa uliczne w ostatnim tygodniu sierpnia. Pierw-szego wieczora ustawiliśmy nasze podium w Brooklynie. Za-cząłem się modlić. Był gorący, parny wieczór, ale ludzi zgromadziło się dużo i słuchali z uwagą. W kazanie włożyłem całą duszę i czułem, że moje słowa trafiają do słuchaczy. Zbliżając się do końca, wezwałem do wystąpienia wszystkich, którzy chcą otworzyć swoje serce na przyjęcie Boga. Nagle, popatrzywszy na tylne szeregi zgromadzonych, zo-baczyłem go. Jego twarzy nie pomyliłbym z żadną inną. To był Izrael. Przez te wszystkie lata modliłem się, szukałem, roz-pytywałem ludzi... i oto nagle jest – twarz w tłumie.

Serce mi załomotało. Chyba Bóg go tu przysłał. Wzywając ludzi do wystąpienia poczułem, jak serce napełnia mi się daw-nym żarem. Wyglądało, że Izrael słucha uważnie, wyciągając szyję, by nie uronić żadnego słowa. Zagrała fisharmonia i za-czął śpiewać dziewczęcy tercet. Zobaczyłem, że Izrael odwraca się i odchodzi. Zeskoczyłem z podium i zacząłem się rozpaczliwie przepy-chać przez tłum, próbując dogonić Izraela, zanim go stracę z oczu.

– Izrael! Izrael! – krzyknąłem za nim. – Czekaaj, cze-kaj!

Zatrzymał się i odwrócił. Od chwili, gdy widziałem go ostatni raz, minęło sześć lat. Izrael przybrał na wadze i wy-glądał dojrzałej. Ale jego przystojna twarz była jak wyrzeźbiona w marmurze, a oczy były zapadnięte i smutne.

Objąłem go za szyję i próbowałem pociągnąć z powrotem w stronę tłumy. Ale on nie ruszył się z miejsca.

– Izrael! – krzyknąłem tryskając radością. – To na-prawdę ty? – odskoczyłem na odległość wyciągniętych rąk i przyglądałem mu się. – Gdzieżeś był? Gdzie mieszkasz? Co robisz? Opowiedz mi wszystko. Dlaczego nie skontaktowałeś się ze mną? Szukałem cię po całym Nowym Jorku. To najwspa-nialszy dzień w moim życiu. Izrael patrzył na mnie chłodno, z dystansem, zachowywał się powściągliwie i z rezerwą.

– Muszę już iść, Nicky. Miło mi było znowu cię zoba-czyć.

– Musisz iść? Nie widziałem cię sześć lat. Codziennie się za ciebie modliłem. Pójdzies do mnie do domu.

Zacząłem ciągnąć go za ramię, ale on pokręcił głową i wy-ciągnął swoją rękę z mojej dłoni. Poczulem, jak pod jego skórą poruszają się silne mięśnie.

Kiedy indziej, Nicky. Nie dzisiaj – zbył mnie i chciał odejść.

Hej, poczekaj chwilę. Co ci się stało? Jesteś moim naj-lepszym przyjacielem. Nie możesz tak po prostu odejść.

Izrael obejrzał się i zmroził mnie zimnym i twardym spoj-rzeniem swoich stalowoszarych oczu.

– Później, Nicky! – rzucił z wściekłością. Odwrócił się energicznie i ruszył chodnikiem w ciemność.

Stałem i wołałem go zrozpaczony, ale on ani razu się nie obejrzał, tylko odszedł w ciemność, z której przybył.

Wróciłem do Centrum załamany.

W przygnębieniu poszedłem wąskimi schodami na drugie piętro, wszedłem do jednego z wąskich pokoiów poddasza i za-niknąłem za sobą drzwi.

– Boże! – krzyknąłem rozdzierająco. – Co ja zrobiłem? Izrael jest zgubiony i to moja wina. Wybacz mi.

Osunąłem się na podłogę i zacząłem okropnie płakać. Bi-łem rękami w ścianę w wielkiej rozpacz. Ale nie otrzyma-łem odpowiedzi. Dwie godziny przesiedziałem w tym rozgrza-nym pokoiku na poddaszu, wyczerpując się fizycznie, emocjo-nałnie i duchowo.

Wiedziałem, że muszę opuścić Centrum. Czułem, że moja służba duszpasterska się skończyła. Nie udawało mi się nic, do czego się zabierałem. Wszystko, czego się tknąłem, wycho-dziło źle. Quetta. Lilly. Teraz Izrael. Nie miało sensu dalsze prowadzenie walki przekraczającej moje siły. Nie miało sensu nawet pozostawanie w stanie duchowym. Byłem skończony. Pobity. Pokonany. Podniosłem się z kolan i stałem, patrząc przez małe okienko poddasza na ciemne niebo.

– Boże, przegrałem. Myliłem się. Wierzyłem w siebie, a nie w Ciebie. Jeśli to jest przyczyną, dla której sprawiłeś, by tak się stało, chcę wyznać swój okropny grzech. Poniż mnie. Zabij mnie, jeśli musisz. Ale, dobry Boże, nie wyrzucaj mnie na śmietnik!

Szloch znowu wstrząsnął moim ciałem. Stałem w drzwiach i obejrzałem się. W pokoju panowała cisza. Nie wie-działem, czy On mnie usłyszał, czy nie. Ale teraz nie było to już ważne. Zrobiłem wszystko, co umiałem.

Wróciłem na dół, do mieszkania. Gloria położyła już dziec-ko spać i zbierała ze stołu resztki ze swojej kolacji. Zamkną-łem drzwi i podszedłem do krzesła. Zanim zdążyłem usiąść, znalazła się przede mną. Objęła mnie i przytuliła. Nie wiedzia-ła o niczym, co zdarzyło się na ulicy i w pokoju na górze, ale byliśmy jednym ciałem i poczuła, że coś mnie zraniło. Stanęła więc przy mnie, by podtrzymać mnie na duchu i dać siłę, gdy mi jej zabrakło. Z całej siły przycisnąłem ją do siebie, oparłem głowę na jej ramieniu i z moich oczu znowu popłynęły łzy. Długo staliśmy ciasno objęci, a mną wstrząsał szloch. W końcu uspokoiłem się. Ująłem jej twarz w dłonie, uniosłem w górę i zajrzałem jej głęboko w oczy. Były pełne łez, jak głębokie źródła kry-ształowo czystej wody. Ale to nie był płacz. Gloria uśmie-chała się łagodnie. To miłość płynąca z jej serca wzbierała w oczach i spływała łzami po jasnobrązowych policzkach.

Mocno obejmowałem jej twarz swymi dłońmi. Gloria była piękna. Piękniejsza niż kiedykolwiek. Uśmiechnęła się, jej war-gi rozchyliły się i dotknęły moich w długim, delikatnym poca-łunku. Poczułem słony smak własnych łez i wilgotne ciepło jej ust na moich.

– To już koniec, Glorio. Jestem skończony. Odchodzę. Może stałem się dumny. Może zgrzeszyłem. Nie wiem. Ale wiem, że Duch Święty mnie opuścił. Jestem jak Samson idący przeciw Filistynom bez pomocy Boga. Nic mi nie wychodzi. Niszczę wszystko, czego dotknę.

– O co chodzi, Nicky? – jej głos był miękki i delikat-ny. – Co się stało?

– Dziś widziałem Izraela. Po raz pierwszy od sześciu lat zobaczyłem swojego najbliższego przyjaciela. A on odwrócił się do mnie plecami. To przeze mnie jest taki, jaki jest. Gdy-bym go nie zostawił samego w mieście sześć lat temu, pra-cowałby dzisiaj u mojego boku. A tak spędził pięć lat w wię-zieniu i dzisiaj jest zgubiony. Boga to już nie obchodzi.

– Nicky, to jest prawie bluźnierstwo – powiedziała Glo-ria miękko. – Nie możesz winić siebie za to, co stało się z Izraelem. Tamtego dnia, kiedy wyjeżdżałeś z miasta, byłeś tylko przestraszonym dzieckiem. To nie twoja wina, że nie spotkałeś się z Izraelem. Nie masz racji obwiniając się. I jak możesz mówić, że Boga to już nie obchodzi? Obchodziło go to na tyle, że ciebie uratował.

– Nie rozumiesz – powiedziałem kręcąc głową. – Od kie-dy Davie powiedział mi, że Izrael wrócił do gangu, czyniłem sobie wyrzuty. Nosiłem w sercu ciężar swojej winy. Dzisiaj ujrzałem go, a on odwrócił się do mnie plecami. Nie chciał nawet ze mną rozmawiać. Gdybyś mogła zobaczyć jego twar-dy, zimny wzrok!

– Ale Nicky, nie możesz zrezygnować teraz, kiedy Bóg właśnie zaczyna działać...
– Jutro składam rezygnację – przerwałem jej. – Nie ma tu dla mnie miejsca. Nie ma dla mnie miejsca w stanie duchowym. Nie jestem dość dobry. Jeśli zostanie, zniszczę całe Centrum. Jestem jak Jonasz. Może ciągle uciekam od Boga nie wiedząc o tym. Trzeba mnie wyrzucić za burtę, rybnie na pożarcie. Jeśli się mnie nie pozbęda, cały statek zatonię.

– Nicky, to jest szalona mowa. Szatan ci podszeptuje te słowa – powiedziała Gloria, na krawędzi płaczu. Cofnąłem się.

– Dobrze. Siedzi we mnie Szatan. Ale i tak zrezygnuję.

– Mógłbyś chociaż najpierw porozmawiać z Daviem.

– Próbowałem ze sto razy. Ale on jest zawsze za bardzo zajęty. Myśli, że sobie ze wszystkim poradzę. A ja już dłużej nie mogę. Nie nadaję się i najwyższy czas, żeby sobie to wyraźnie powiedzieć. Nic mi się nie udaje... nic.

Gdy poszliśmy spać, Gloria objęła mnie i zaczęła mnie głaskać po głowie.

– Nicky, zanim zrezygnujesz, obiecasz mi coś! Zadzwoń do Kathryn Kuhlman i porozmawiaj z nią. Dobrze?

Kiwnąłem głową na znak, że się zgadzam. Moją poduszkę zwilżyły łzy, gdy usłyszałem szept Glorii:

– Nicky, Bóg zaopiekuje się nami.

Wcisnąłem głowę w poduszkę pragnąc, by Bóg nigdy już nie pozwolił słońcu wzejść na rozpoczęcie nowego dnia w moim życiu.

W tych dniach, pełnych ciemności i niezdecydowania, pojawiała się samotna, jasna gwiazda, pod postacią tej wysokiej, pełnej godności pani, która zdawała się roztaczać wokół siebie aurę obecności Ducha Świętego. Już sama rozmowa telefoniczna z miss Kuhlman, przeprowadzona nazajutrz, poprawiła mój nastrój. Miss Kuhlman nalegała, żebym przyjechał na jej koszt do Pittsburga, zanim podejmę ostateczną decyzję.

Poleciałem tam nazajutrz. Byłem zdziwiony, że miss Kuhlman nie próbuje mnie namawiać do pozostania w Centrum. Zamiast tego powiedziała:

– Być może Bóg kieruje cię do innej pracy duszpasterskiej, Nicky. Może wiedzie cię przez mroczną dolinę, by wprowadzić cię w blask słoneczny po jej drugiej stronie. Po prostu nie odwracaj wzroku od Jezusa. Nie poddawaj się goryczy i zniechęceniu. Bóg złożył na tobie swoją dłoń. On cię nie opuści. Pamiętaj, Nicky, że gdy idziemy przez tę dolinę, On idzie z nami.

Pomodliliśmy się wspólnie i miss Kuhlman modliła się o to, żeby Bóg, jeśli chce, bym opuścił Centrum Młodzieżowe, otaczał mnie dalej obłokiem

zniechęcenia. Jeśli chce, abym został, niech podniesie ten obłok, żebym poczuł się swobodnie i mógł dalej działać w Nowym Jorku.

Wróciłem tam na drugi dzień rano, wdzięczny za przyjaźń i zaufanie tej łaskawej i energicznej chrześcijanki.

Tej nocy, gdy dziecko już spało, usiadłem przy kuchennym stole i znów rozmawiałem z Glorią. Chciałem wyjechać. Zaczęlibyśmy wszystko od nowa, może w Kalifornii. Gloria powiedziała, że pójdzie za mną, gdziekolwiek ja pójdę. Jej wielka miłość i zaufanie dodały mi nowych sił. Zanim poszedłem spać, wziąłem kartkę papieru, ogyzek ołówka i napisałem rezygnację.

Był to niewesoły weekend. W poniedziałek rano, kiedy w Centrum zjawił się David, wręczyłem mu swoją rezygnację i czekałem, dopóki jej nie przeczyta. David opuścił głowę.

– Czy to ja cię zawiodłem, Nicky? – spytał miękko. – Żyłem w takim pośpiechu, że nie było mnie tutaj, gdy mnie potrzebowałeś? Chodźmy do biura i porozmawiajmy.

W milczeniu poszedłem za nim korytarzem do biura. Zamknął za nami drzwi i popatrzył na mnie z głębokim smutkiem na twarzy.

– Nicky, nie wiem, co się za tym kryje. Ale wiem, że ja jestem tym, którego należy za to głównie winić. Codziennie wyrzucałem sobie, że nie spędzam z tobą więcej czasu. Ale tak byłem zabiegany, zbierając pieniądze na Centrum. Nie miałem czasu nawet dla rodziny. Legło to ciężkim brzemieniem na moich barkach. Zanim więc zaczniemy rozmawiać, chcę cię poprosić, abyś mi wybaczył to, że cię zawiodłem. Wybaczysz mi, Nicky?

Opuściłem głowę i kiwnąłem nią bez słowa. David westchnął głęboko i opadł na krzesło.

– Mów, Nicky.

– Jest już za późno na rozmowy, Davie. Nieraz próbowałem z tobą rozmawiać.

Teraz czuję, że tak właśnie muszę postąpić.

– Ale dlaczego, Nicky, dlaczego? Co jest przyczyną tej nagłej decyzji?

– Ona nie jest nagła, Davie. Dojrzewała przez długi czas.

I wyrzuciłem z siebie wszystko, co leżało mi na sercu.

– Nicky – powiedział David i popatrzył mi przenikliwie prosto w oczy – wszyscy z nas przeżywają okresy depresji. Zdarzało się, że ja kogoś zawiodłem albo że ktoś mnie zawiódł. Nieraz chciałem się poddać. Nieraz znalazłem się z Eliaszem pod krzakiem jałowca, płacząc: „Dosyć już, Panie, weź życie moje”.

Ale, Nicky, ty chodziłeś tam, gdzie aniołowie boją się pojawić. Nie mogę sobie wyobrazić, byś mógł uciekać przed tymi drobnymi niepowodzeniami.

– Dla mnie one nie są drobne, Davie. Przykro mi, ale już się zdecydowałem. Nazajutrz wsadziłem Glorię i Alicję do samolotu do Oakland, a w dwa dni później poleciałem do Houston, żeby wywiązać się z mojej ostatniej umowy dotyczącej wygłoszenia kazań. Był sierpień 1964 roku. W Centrum Młodzieżowym, spędziłem dwa lata i dziewięć miesięcy.

W Houston wstyd mi było powiedzieć, że odszedłem z Centrum. Ale mówiłem bez żaru i moje słowa nie sprawiły należytego wrażenia. Spieszno mi było jechać do Kalifornii, do Glorii.

Lecąc na drugi koniec kraju, powoli zacząłem sobie здаwać sprawę z tego, że nie lecę już na koszt Centrum. Zaoszczędziliśmy bardzo mało pieniędzy, a bilety samolotowe i koszty przeprowadzki pochłonęły nieomal całe nasze pieniądze. Odczułem lęk i niepewność. Przestraszyłem się.

Przypomniało mi się, jak ludzie próbowali wciskać mi do ręki pieniądze, kiedy przemawiałem na zlotach i konferencjach. Dziękowałem im wtedy i prosiłem, żeby wystawiali czeki na Centrum Młodzieżowe. Nie chciałem niczego dla siebie. Centrum było całym moim życiem. Może to wygląda dziwnie, ale nawet jeszcze w Houston mówiłem ludziom, żeby wypisywali czeki na Centrum, choć wiedziałem, że pieniędzy ledwo wystarczy mi na najbliższe kilka dni.

Gloria wyszła po mnie na lotnisko. wynajęła już małe mieszkanie. Byliśmy w niezbyt wesołym nastroju. Oddałem Bogu prawie sześć lat życia i czułem, że On teraz odwrócił, się ode mnie. Powiniennem machnąć na to ręką, porzucić duszpaństwo i zacząć od początku w jakiejś innej dziedzinie. Słońce zanurzyło się w Pacyfiku i mój cały świat pograżył się w ciemności.

Nie miałem pojęcia, ku czemu się zwrócić. Nie nęciło mnie nic. Nie chciałem nawet iść z Glorią do kościoła – wolałem siedzieć w domu i patrzeć w ścianę. Gloria próbowała się modlić ze mną, ale ja nie widziałem dla siebie żadnej nadziei i odtrącałem jej pomoc mówiąc, że ona może się modlić, ale ja jestem pusty.

W pierwszych tygodniach od naszego przyjazdu rozeszła się wieść, że wróciłem do Kalifornii. Zaczęły napływać zaproszenia do wygłaszania kazań w różnych kościołach. Szybko zmęczyło mnie ciągłe odmawianie i wynajdywanie różnych wykrętów. Powiedziałem w końcu Glorii, żeby nie przyjmowała więcej żadnych rozmów zamiejscowych i nie odpowiadała na nadchodzące codziennie listy. Ale nasza sytuacja finansowa stawała się rozpaczliwa: skończyły się nasze wszystkie oszczędności, a Gloria nie mogła znaleźć pracy.

Doprowadzony do ostateczności, przyjąłem zaproszenie do wygłoszenia kazania podczas krucjaty młodzieżowej. Byłem duchowo zimny. Po raz pierwszy w życiu poszedłem na ambonę nie pomodlwszy się.

Wstępując na podium zdziwiłem się, jak bardzo jestem twardy i zimny.

Wstrząsnęło mną moje wyrachowanie. Ale byłem w rozpaczliwej sytuacji. Skoro Bóg, jak to odczuwałem, zawiódł mnie w Nowym Jorku, nie poczuwałem się już do obowiązku zabiegania modlitwą o Jego błogosławieństwo. Jeśli mi zapłaca – wezmę. Nic prostszego.

Ale z Bogiem nie było to takie proste. Niewątpliwie planował On dla mnie coś o wiele większego niż tylko podjęcie czeku za wygłoszenie kazania.

Kaznodziejstwo jest dla Niego świętą sprawą i obiecuje On: „Tak jest z moim słowem... Nie wraca do mnie puste”.

Gdy wezwałem do wystąpienia tych, którzy chcą oddać serce Chrystusowi, zdarzyło się coś, na co nie byłem przygotowany. Najpierw młody, kilkunastoletni chłopak wystąpił z tłumu, podszedł do ołtarza i uklęknął. Potem podszedł inny, z końca sali. Potem ruszyło ich więcej, aż wreszcie przejścia między ławkami były wypełnione młodymi ludźmi podchodzącymi do balustrady przed ołtarzem, by oddać swoje dusze Jezusowi Chrystusowi.

Zgromadziło się ich tak wielu, że spora część z nich musiała stać za tymi, którzy klęczeli ciasno obok siebie przy balustradzie. Z tyłu kościoła zobaczyłem ludzi padających na kolana i wołających do Boga. Klękało ich coraz więcej. Nie zdarzyło mi się być na nabożeństwie, na którym zgromadzeni tak silnie odczuliby obecność Ducha Świętego.

Bóg chciał mi coś powiedzieć – nie szeptem, a grzmiącym głosem. Mówił mi, że jest dalej na swym tronie. Dawał mi znać, że chociaż ja Go zawiodłem, On nie zamierza mnie zawieść. Mówił mi w nie budzący wątpliwości sposób, że nie odrzuca mnie... że ciągle jeszcze ma dla mnie zadanie, nawet jeśli ja nie chcę go wykonać.

Poczułem, że drżą mi kolana i chciałem przytrzymać się ambony. Nagle oczy napełniły mi się łzami i ja, kaznodzieja podczas tego nabożeństwa, niepewnym krokiem podszedłem i ukląknąłem za odgradzającą ołtarz balustradą. Tam, z sercem pełnym skruchy, otwarłem swoją duszę przed Bogiem i ponownie ofiarowałem mu swoje życie.

Po nabożeństwie wsiedliśmy z Glona do samochodu, stojącego na kościelnym parkingu. Planowaliśmy poprzednio zjeść coś w mieście i pojechać gdzieś na spacer, ale teraz postanowiliśmy wrócić prosto do domu.

Gdy weszliśmy do mieszkania, upadłem na kolana. Gloria uklękła obok mnie i oboje płacząc wznosiliśmy modły do Boga. I wiedziałem. Wiedziałem, że nie koniec na tym. Wiedziałem, że wszystkie rzeczy łączą się w działaniu dla dobra tych, którzy kochają Boga. Spojrzałem przez łzy i nagle uświadomiłem sobie, że On jest koło mnie. Czułem Jego obecność, nieomal słyszałem Go, jak mówi: „Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękna, boś Ty ze mną. Laska twoja i kij twój mnie pocieszają”.

Szliśmy ciemną doliną. Ale Jego łaska przeprowadziła nas przez nią i teraz światło jutrzeńki zaślniło na odległych szczytach gór, zwiastując nadejście nowego dnia.

18. W REJONIE JEZUSA.

Przełom nastąpił tuż przed świętami Bożego Narodzenia, kiedy otrzymałem zaproszenie od grupy osób świeckich, znanej jako Międzynarodowe Towarzystwo Przedsiębiorców Pełnej Ewangelii. Właśnie za pośrednictwem tej grupy ofiarowanych biznesmenów zaczęły napływać ze szkół średnich i colleg'ów zaproszenia dla mnie do wygłaszania kazań. Moje krucjaty, w większości finansowane przez kościoły różnych wyznań, były jednym pasmem sukcesów – przemawiałem nieraz do tłumów liczących po dziesięć tysięcy ludzi. Codziennie dziękowałem Bogu za Jego dobroć. Ale wciąż nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Moja dusza rwała się do czegoś, czego sobie sam nie mogłem uświadomić. Z dnia na dzień byłem coraz bardziej niespokojny.

Wówczas spotkałem Dana Malachuka, wysokiego, otwarte-go na świat biznesmena z New Jersey, który nieświadomie uzmysłowił mi przyczynę mojego niepokoju. Wspomniał kiedyś w rozmowie, że rozumie moje pierwotne pragnienie pracy z „małymi ludźmi”. Nie podjąłem wówczas tego tematu, ale utkwilo mi to w głowie. Pamiętam własne dzieciństwo. Jeśliby ktoś wtedy zainteresował się mną na tyle, żeby poprowadzić mnie ku Chrystusowi, to kto wie...

Omówiłem to z Gloria. Wprawdzie Bóg wykorzystywał moje świadectwa podczas wielkich krucjat, ale ilekroć zobaczyłem w gazecie artykuł o dzieciach aresztowanych za niuchanie heroiny albo palenie marihuany, czułem ból w sercu. Wciąż modliliśmy się, by Bóg wskazał nam sposób dotarcia do tych dzieci.

Kilka miesięcy później Dan pomógł nam zorganizować czterodniową krucjatę w Seattle. Dotychczas zawsze przemawiałem za pośrednictwem tłumacza, Jeffa Moralesa, który przeprowadził się do Kalifornii, żeby móc jeździć ze mną na duże zgromadzenia, podczas których słuchacze mieli kłopoty ze zrozumieniem mojego akcentu. Ale gdy tylko pół godziny brakowało do wyjazdu na lotnisko, zatelefonował Jeff.

– Nicky, leżę w łóżku z zapaleniem płuc. Doktor nie chce mnie puścić. Będiesz musiał sobie radzić sam.

Stojąc na podium przed baterią mikrofonów i kamer telewizyjnych, przyjrzałem się tłumowi. Czy ludzie rozumieją mój portorykański akcent? Czy będą się śmiali z moich błędów gramatycznych? Odchrząknąłem nerwowo i otwarłem usta, że-by przemówić. Ale zamiast przemówić, zachrypiałem tylko. Znowu odchrząknąłem, wydając z siebie odgłos w rodzaju „uuuggghhhlllkgf”.

Tłum poruszył się, ale uprzejmie czekał na ciąg dalszy. To było beznadziejne. Przywykłem mieć koło siebie Jeffa. Skłoniłem głowę, prosząc o siłę: „Drogi Panie, jeśli mogłeś obdarzyć mnie nie znanym ludziom językiem, bym słaWił Twe imię, ufam, że obdarzysz mnie zrozumiałą mową, bym mógł tym młodym ludziom powiedzieć o Tobie”.

Podniosłem głowę i zacząłem mówić. Z mych ust z nad-naturalną mocą popłynęły najważniejsze słowa. Jeffa zastąpił Jezus i wiedziałem, że od tej chwili, ilekroć będę mówił dla Niego, nie będę potrzebował tłumacza.

Po ostatnim nabożeństwie Dań przyszedł do mnie do ho-telu.

– Nicky, łaska Boża objawia się w zdumiewający sposób. Ludzie zebrali ofiarę miłości w kwocie 3000 dolarów, żebyś je spożytkował na swoje duszpasterstwo.

– Dań, ja nie mogę wziąć tych pieniędzy. Dań rozwalił się na kanapie, jakby był u siebie, i zrzucił buty z nóg.

– Nicky – powiedział – to nie są pieniądze dla ciebie. One są na działalność Boga za twoim pośrednictwem.

– I mogę ich użyć w taki sposób, jaki wyda mi się zgod-ny z życzeniem Boga? – spytałem.

– Właśnie – powiedział Dań.

– W takim razie użyję ich dla „małych ludzi”. Chcę za-łożyć ośrodek pomocy tym dzieciom.

– Wspaniale! – Dań zerwał się z kanapy. – Nazwij go „Sięganie ku młodzieży”.

I na tym stanęło. Wróciłem do Kalifornii z tymi 3000 do-larów, zdecydowany otworzyć ośrodek, do którego mógłbym sprowadzać małych ludzi z ulicy i pozyskiwać ich dla Chrys-tusa.

Otworzyliśmy nasz ośrodek we Fresno, przy North Broadway 221. Wystąpiliśmy o oficjalne zezwolenie, po czym wy-wiesiłem na bramie tablicę: „Sięganie ku Młodzieży. Kierow-nik – Nicky Cruz”.

Od razu zacząłem przeczesywać ulice. Pierwszego dnia znalazłem jedenastoletniego chłopca siedzącego w bramie. Usiadłem obok niego i spytałem, jak się nazywa.

Spojrzał na mnie spod oka i powiedział:

– Ruben. A czemu chcesz wiedzieć?

– Tak sobie – odpowiedziałem – wyglądasz na samot-nego, to pomyślałem, że z tobą pogadam.

Chłopak niechętnie wyznał mi, że jego ojciec jest narko-manem. On sam niuchał heroinę właśnie wczoraj. W szóstej klasie porzucił szkołę. Wysłuchawszy go, powiedziałem, że otwieram ośrodek dla chłopaków takich jak on i spytałem, czy chciałby pójść pomieszkać ze mną?

– Poważnie? Chcesz, żebym poszedł do ciebie?

– Jasne – powiedziałem. – Ale najpierw musimy poroz-mawiać z twoim tatą.

– Do diabła – odpowiedział jedenastolatek – mój stary będzie zadowolony, że się mnie pozbywa. Nie z nim to trzeba załatwiać, tylko z moim kuratorem.

Kurator był zachwycony takim obrotem sprawy i tego sa-mego wieczora Ruben wprowadził się do nas.

W ciągu najbliższych kilku tygodni znaleźliśmy jeszcze dwóch chłopców.

Zapisaliśmy ich wszystkich do szkoły i co-dziennie czytaliśmy wspólnie Biblię.

Ruben sprawiał nam początkowo sporo kłopotów, ale pod koniec drugiego tygodnia, w trakcie jednego z czytań Biblii, złożył wyznanie wiary.

Na-stępnego dnia po powrocie ze szkoły poszedł prosto do swojego pokoju i zabrał się do studiowania Biblii. Gloria mrugnęła do mnie.

– Czy mógłbyś oczekiwać lepszego dowodu, że to nawró-cenie było prawdziwe? – spytała.

Ja jednak nie potrzebowałem żadnego dowodu. Czułem, jak dręczący mnie dotąd niepokój zaczyna znikać.

W miarę upływu czasu zaczęły do nas dzwonić doprowa-dzone do rozpaczy matki, które mówiły, że zupełnie nie mogą sobie poradzić z dziećmi, i prosiły, żebyśmy przyjęli je do sie-bie. W kilka tygodni mieliśmy już komplet, a telefon ciągle dzwonił. Gloria i ja spędziliśmy dużo czasu na modlitwach, prosząc Boga, żeby nami pokierował.

Pewnego dnia, wcześniej rano, po kilku zaledwie godzi-nach snu, zostałem rozbudzony przez dzwonek telefonu. Na-macałem słuchawkę. Dzwonił Dan Smith, działacz Towarzy-stwa Przedsiębiorców Pełnej Ewangelii, oddziału we Fresno.

– Nicky, Bóg kieruje nami z nieodgadniony sposób. Na-tchnął mnie myślą, bym ci

pomógł utworzyć zarząd. Rozmawiałem z Earlem Draperem, księgowym, oraz z pastorem Paulem Evansem i dyrektorem lokalnej stacji telewizyjnej H.J. Keenerem. Chcemy z tobą pracować, jeśli nas zechcesz.

To była odpowiedź na nasze modlitwy. Ta grupka biznes-menów i ludzi wolnych zawodów skupiła się wokół naszego ośrodka, żeby pomóc w jego zarządzaniu. W tym samym miesiącu, jakiś czas później, przyłączył się do naszej grupy Dave Carter, który rozpoczął pracę z chłopcami. Poznałem Dave'a, wysokiego, spokojnego Murzyna, gdy był przywódcą jednego z nowojorskich gangów. Po nawróceniu Dave poszedł do szkoły biblijnej, a ponieważ nie był związany rodziną, mógł wiele czasu poświęcać na indywidualne rozmowy ze spragnionymi miłości chłopcami. Prócz niego przyjeśliśmy jeszcze dwie młode Meksykanki – Frances Ramirez i Angie Sedillos – bo brakowało nam trochę kobiecej ręki i pomocy w prowadzeniu sekretariatu.

Ostatni członek naszego personelu był mi szczególnie bliski. Był to Jimmy Baez. Jimmy właśnie skończył szkołę biblijną i ożenił się z cichą dziewczyną o łagodnym głosie. Przychodził do nas, żeby poprowadzić nasze sprawy administracyjne, ale dla mnie był czymś więcej: był chodzącym dowodem na to, jak wielka jest transformująca siła Jezusa Chrystusa. Trudno było uwierzyć, że ten przystojny młody człowiek o wyglądzie intelektualisty, w okularach w ciemnej oprawie, jest tym samym wątłym, wycieńczonym wyrostkiem, który przyczłgał się do Centrum Młodzieżowego, wstrząsany dreszczami głodu heroinowego i prosił o narkotyki.

Podążaliśmy naprzód z sercami pełnymi wiary w Boga i rękami zajętymi pracą z „małymi ludźmi”. Bóg błogosławił i nie byłem przygotowany na następne jego cudowne niespodzianki. Ale dla miłujących Boga nie ma końca niespodziankom przynoszonym przez jutro.

Tej jesieni Dan Malachuk zorganizował mi serię wystąpień w Nowym Jorku. Dań czekał na mnie na lotnisku. Pojechaliśmy do miasta przez ciągnące się całymi kilometrami dzielnice slumsów. Siedziałem skulony na przednim siedzeniu samochodu Dana i patrzyłem na umykające za oknami getto. Serce mi się ścisnęło. Nie byłem już częścią tego getta, ale ono wciąż było częścią mnie. Zacząłem się zastanawiać, co się dzieje z moimi starymi przyjaciółmi, a zwłaszcza z Izraelem. „Jezu – modliłem się – daj mi jeszcze jedną szansę przemówienia do niego”.

Wieczorem, po nabożeństwie, Dań przyszedł ze mną do hotelu. Gdy wchodziliśmy, zadzwonił telefon.

Podniosłem słuchawkę. Po drugiej stronie ktoś długo milczał, aż wreszcie usłyszałem cichy, ale znajomy głos:

– Nicky, to ja, Izrael.

– Izrael! – krzyknąłem – dzięki Bogu! Moja modlitwa została wysłuchana. Gdzie jesteś?

– Jestem w domu, Nicky. W Bronx. Właśnie przeczytałem w gazecie, że jesteś w Nowym Jorku, i zadzwoniłem do twojego brata, Franka. Powiedział mi, że mogę cię złapać w hotelu.

Chciałem coś powiedzieć, ale przerwał mi:

– Nicky, ja... ja... ciekaw jestem, czy nie dałoby się spotkać z tobą, skoro już jesteś w Nowym Jorku, po prostu żeby pogadać o dawnych czasach.

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Odwróciłem się do Dana:

– To Izrael. Chce się ze mną spotkać.

– Poproś go, żeby przyszedł jutro wieczór na kolację – powiedział Dan.

Długo oczekiwane spotkanie starych przyjaciół zostało ustalone na następny dzień, na szóstą.

Modliłem się przez całą noc, prosząc Boga, by dał mi słowa, które mogłyby przeniknąć do serca Izraela i zwrócić je ku Chrystusowi.

Razem z Danem przemierzaliśmy hali hotelowy od wpuł do szóstej do siódmej wieczorem. Izrael się nie zjawiał. Serce podeszło mi do gardła, kiedy przypomniałem sobie ten poranek sprzed dziewięciu lat, gdy rozminęliśmy się po raz pierwszy.

Nagle zobaczyłem go. Jego regularne rysy, głęboko osadzone falujące włosy. Zupełnie się nie zmienił. Nie mogłem mówić, łzy napłynęły im do oczu.

– Nicky – powiedział Izrael zdławionym głosem i chwycił moją dłoń. – Nie mogę w to uwierzyć.

Nagle zaczęliśmy obaj naraz śmiać się i mówić, zupełnie nie zważając na

przechodzących obok nas ludzi.

Po długiej chwili Izrael usunął się na bok i powiedział:

- Nicky, przedstawiam ci moją żonę, Rosę.

Obok niego stała drobna, urocza portorykańska dziewczyna, z szerokim uśmiechem na pięknej twarzy. wyciągnąłem rękę, by ująć jej dłoń, ale ona objęła mnie za szyję i mocno ucałowała w policzek. Potem mrugnęła do mnie i powie-działa łamaną angielszczyzną:

- To jakby ja zna cię. Ja była mieszkając z tobą cały ten czas. Izrael mówi o tobie dużo te trzy lata.

Zeszliśmy do Hay Market Room na kolację. Izrael i Rosa zawahali się i zobaczyłem, że coś ich zaniepokoiło.

- Hej, Izrael, co ci jest, stary? Dan płaci za wszystko. Chodźcie.

Izrael spojrział na mnie z zakłopotaniem i odciągnął mnie na bok.

- Nicky, takie luksusowe miejsce to nie dla mnie. Nigdy nie byłem w takiej frymuśnej knajpie. Nie wiem, co tu się robi.

Objąłem go ramieniem:

- Ja też nie wiem, co tu się robi - powiedziałem. - Po prostu zamów najdroższą rzecz i pozwól temu „Wesołemu Zie-lonemu Olbrzymowi” za to zapłacić - uśmiechnąłem się, pokazując na Dana.

Po kolacji pojechaliśmy windą na czternaste piętro, do mojego pokoju. Izrael odprężył się i opowiadając o swoim do-mu w getcie znowu wyglądał jak dawniej.

- Nie jest to najprzyjemniejsze miejsce do mieszkania - powiedział. - Musimy trzymać naczynia w lodówce, żeby się nie dostały do nich karaluchy. Ale mogłoby być gorzej. Na dole szczury przychodzą ze śmietnika i gryzą dzieci w nocy.

Przerwał i myślał o czymś przez chwilę.

- To tak, jakby się było przykutym - powiedział. - Nie da się uciec. To jest złe miejsce do wychowywania dzieci. W tamtym tygodniu trzy dziewczynki z mojego domu, po oko-ło dziewięć lat każda, zostały zgwałcone za domem. Boimy się wypuszczać dzieci na ulicę. Już mi to obrzydło. Chcę wyjechać. Ale...

Głos mu się załamał. Wstał z krzesła i popatrzył na rozja-rzoną wieżę Empire State Building.

- Ale gdzieś trzeba mieszkać, a gdziekolwiek indziej czynsz jest za wysoki. Może na drugi rok... Może na drugi rok uda nam się przeprowadzić w jakieś przyjemniejsze miejsce. Nie wiecie mi się najgorzej. Zacząłem od pomywacza, a teraz jestem już urzędnikiem na wall Street.

- Ale kiedy się już przeprowadzisz, to co dalej? - prze-rwałem mu.

Odwrócił się i popatrzył na mnie zaskoczony.

- Co powiedziałeś? - spytał.

Wiedziałem, że nadszedł czas, żeby pogrzebać w prze-szłości.

- Izrael, powiedz mi, co ci nie wyszło? Izrael podszedł do kanapy, na której siedziała Rosa, i usiadł nerwowo obok niej.

- Nie boję się o tym mówić. Chyba nawet potrzebuję tego. Nigdy nie mówiłem o tym Rosie. Pamiętasz ten dzień, po twoim wyjściu ze szpitala, kiedy ty i ten człowiek mieliście po mnie przyjechać?

Kiwnąłem głową. To wspomnienie było dla mnie bolesne.

- Czekałem tam trzy godziny. Czułem się jak dureń. Obrzydli mi chrześcijanie i tego samego dnia wieczorem wró-ciłem do gangu.

Przerwałem mu:

- Izrael, przykro mi, szukaliśmy cię... Pokręcił głową.

- Jakie to ma znaczenie? To było tak dawno. Może wszystko poszłoby inaczej, jeślibym z tobą pojechał? Kto wie... Przerwał na chwilę, po czym podjął opowieść.

- Potem wpadliśmy w te kłopoty z Aniołami z Południo-wej Ulicy. Ten typ wlaźł w nasz rejon i powiedzieliśmy mu, że nie chcemy tu mieć żadnych obcych. On zaczął podskaki-wać, no i dostał. Zaczął zwiewać i pięciu nas zaczęło go gonić aż do rejonu Południowej Ulicy i złapaliśmy go przy Penny Arcade.

Wyciągnęliśmy go stamtąd i zaczęliśmy się z nim bić. Zaraz zobaczyłem, że jeden z naszych chłopaków ma ten pi-stolet w ręku i strzela. Paco zaczął się wygłupiać: złapał się za brzuch i wołał: „Och, trafił mnie! Trafił mnie!”. Zaczęliś-my się wszyscy śmiać. I wtedy ten obcy upadł na ziemię. On naprawdę dostał. Nie żył. widziałem dziurę w jego głowie.

Izrael przerwał. w ciszy słychać było tylko pomruk ruchli-wej ulicy, stłumiony

wysokością, na której był nasz pokój.

- Uciekliśmy. Czterech nas złapali. Piątemu się udało. Ten, który pociągnął za spust, dostał dwadzieścia lat. Reszta z nas dostała od pięciu do dwudziestu. Przerwał i spuścił głowę.

- To było pięć lat piekła. wyprostował się znowu i mówił dalej:

- Musiałem sobie załatwić „zafiksowanie”, żeby wyjść z więzienia.

- Co to znaczy „zafiksowanie”? – przerwał mu Dan.

- Komisja Zwolnień warunkowych powiedziała mi, że zostanę zwolniony, jeśli udowodnię, że czeka na mnie praca. Powiedzieli, że muszę wracać do swojego dawnego domu. Nie chciałem wracać do Brooklynu. Chciałem zacząć wszystko od początku gilzie indziej, ale oni powiedzieli, że muszę wracać do domu. więc załatwiłem sobie „zafiksowanie” przez jednego narkomana, który siedział ze mną. On znał takiego człowieka, który miał fabrykę ubrań w Brooklynie i ten człowiek powie-dział mojej matce, że obieca mi pracę, jeśli matka zapłaci mu 50 dolarów. Matka dała mu te pieniądze i on napisał Ust, że mam pracę, jak wyjdę z więzienia. To był jedyny sposób na to, żebym mógł dostać jakąś pracę. No bo kto przyjmie do ro-boty faceta prosto z więzienia?

- I dostałeś tę pracę? – spytał Dan.

- Nie – powiedział Izrael. – Mówiłem, że to było tylko „zafiksowanie”. Nie było dla mnie żadnej roboty. To był tylko sposób, żeby się wydostać z więzienia. No więc wyszedłem z więzienia i poszedłem do biura pośrednictwa pracy i nakłamałem im o swojej przeszłości. Myślicie, że przyjęliby mnie, jeślibym im powiedział, że właśnie wczoraj wyszedłem z więzienia? Dostałem robotę jako pomywacz, a potem z tuzin in-nych prac. I zawsze kłamałem. Musi się kłamać, żeby dostać pracę. Jeśliby mój obecny szef dowiedział się, że kiedyś siedziałem, wywaliłby mnie, mimo że już cztery lata minęły, od-kaąd wyszedłem, i od tego czasu dobrze pracuję. więc kłamię. każdy kłamię.

- A kurator sądowy ci nie pomagał? – spytał Dan.

- Tak, to był jedyny facet, który naprawdę próbował. Ale co mógł zrobić? Miał jeszcze ze stu innych chłopaków, żeby się nimi zajmować. Nie, musiałem to sam załatwić i jak na razie jakoś sobie radzę. W pokoju zapadła cisza. Rosa przez cały ten czas siedziała w milczeniu koło Izraela. Nigdy dotąd nie słyszała od niego o tym rozdziale jego życia.

- Izrael, pamiętasz jak poszliśmy szukać widmowych władców i wpadliśmy w zasadzkę? – spytałem.

- Pamiętam – Izrael kiwnął głową.

- Tamtej nocy uratowałeś mi życie. Dziś ja chcę ci od-dać taką samą przysługę. Chcę ci dać coś, co uratuje twoje życie.

Rosa wzięła Izraela pod ramię i oboje popatrzyli na mnie z oczekiwaniem.

- Izrael, jesteś moim najlepszym przyjacielem. Jak wiesz, w moim życiu nastąpiła zmiana. Dawny Nicky umarł. Ten człowiek, którego dzisiaj widzisz, to nie jest żaden Nicky. To Jezus Chrystus, który we mnie mieszka. Czy pamiętasz ten wieczór w hali St. Nicholas, kiedy oddaliśmy nasze serca Pa-nu?

Izrael przytaknął i spuścił wzrok.

- Tego wieczora Bóg wszedł do twego serca, Izrael. wiem to. Bóg zawarł z tobą układ. I On dalej ze swej strony do-trzymuje warunków tego układu. Nie opuścił cię. Uciekałeś przez te wszystkie lata, ale On ciągle cię nie odstępował. Sięgnąłem po swoją Biblię.

- W Starym Testamencie jest historia człowieka o imie-niu Jakub. On też uciekał przed Bogiem. Aż pewnej nocy, takiej samej jak ta dzisiejsza, pobił się z aniołem. Anioł zwy-ciężył i Jakub poddał się Bogu. I tej nocy Bóg zmienił jego imię. Odtąd nie miał już nazywać się Jakub, tylko Izrael, A „Izrael” oznacza „ten, który chodzi z Bogiem”.

Zamknąłem Biblię i zrobiłem pauzę. Izrael miał łzy w oczach, a Rosa ścisnęła go mocno za rękę. Zacząłem mówić dalej.

- Przez całe lata nie spałem, tylko leżałem, modliłem się za ciebie i myślałem, jak wspaniale by było, gdybyś ty działał u mojego boku – nie tak jak dawniej, ale pracując dla Boga. Chcę, żebyś przyszedł do rejonu Jezusa.

Izrael popatrzył na mnie oczyma pełnymi łez. Potem od-wrócił głowę i spojrział na Rosę. Rosa, zaintrygowana, zaczęła rozmawiać z nim po hiszpańsku. Cały czas mówiłem po an-gielsku i teraz zdałem sobie sprawę, że Rosa nie wszystko zrozumiała z tego, co powiedziałem. Pytała teraz Izraela, cze-go chcę. Izrael powiedział jej, że chcę, żeby oddali swe serca Chrystusowi. Mówił szybko po

hiszpańsku, wyznając jej swoje pragnienie powrotu do Boga – jak Jakub dawno, dawno temu. Pytał ją, czy pójdzie z nim.

Rosie rozbłyły oczy, uśmiechnęła się i przytaknęła.

– Chwalcie Boga! – zawołałem. – Uklęknięcie obok kanapy, a ja się pomodłę.

Izrael i Rosa uklękli obok kanapy, Dan zsunął się z krzesła i ukląkł po drugiej stronie pokoju. Położyłem ręce na ich głowach i zacząłem się modlić, najpierw po angielsku, potem po hiszpańsku, przerzucając się z jednego języka na drugi. Czułem, jak Duch Boży przepływa przez moje serce i wlewa się poprzez moje ramiona i palce w ich dusze. Modliłem się, prosząc Boga, by im wybaczył i przyjął ich do swego Królestwa.

Była to długa modlitwa. Kiedy skończyłem, usłyszałem, jak zaczyna się modlić Izrael. Z początku wolno, potem coraz żywiej i głośniejsze wołał:

– Panie, wybac mi. Wybac mi. Wybac mi.

Potem jego modlitwa się odmieniła i poczułem, jak wstrząsa nim przepływająca przez jego ciało nowa siła, gdy wołał:

– Panie, dziękuję Ci! Dołączyła się do niego Rosa:

– Dziękuję Ci, Boże, dziękuję.

Dań wsadził Izraela i Rosę do taksówki i zapłacił z góry należność za ich przejazd do domu, do Bronx. Gdy odjechali, powiedział ocierając oczy:

– Nicky, to był najwspanialszy wieczór w moim życiu i czuję, że Bóg pošle Izraela do Kalifornii, żeby z tobą pracował.

Kiwnąłem głową. Może rzeczywiście tak będzie. Bóg decyduje o wszystkim według własnego uznania.

EPILOG

Pewnego wiosennego dnia, pod wieczór, Nicky i Gloria siedzieli na schodkach ośrodka przy North Broadway 221 i patrzyli, jak Ralphie i Karl koszą trawę, w zapadającym zmierzchu. Zbliżał się czas wieczornego zgromadzenia w getcie. Z podwórka dobiegały rozradowane głosy Dave'a Cartera i Jim-my'ego Baeza, śmiejących się z Allena, Joeya i Kirka, którzy grali w krokiet. Było już po kolacji i w domu Francie i Angie nadzorowali pozostałych chłopców przy wieczornym sprzątaniu. Alicja i mała Laura, która miała już 16 miesięcy, bawiły się beztrąsco na równo skoszonym trawniku.

Gloria, siedząc na niższym stopniu, patrzyła z opiekuńczą czułością na swojego śniadego męża, który siedział oparty o słupek poręczy, z przymkniętymi oczyma, jakby pogrążony w świecie marzeń. Gloria wyciągnęła rękę i dotknęła jego kołana.

– Kochanie, co się stało? O czym myślisz?

– Co mówisz? – spytał sennie, niechętnie odrywając się od swoich myśli.

– Pytałam, o czym rozmyślasz. Ciągłe jeszcze uciekasz? Mamy ośrodek dla „małych ludzi”, Izrael i Rosa mieszkają we Fresno i służą Panu, Sonny jest pastorem dużego kościoła w Los Angeles, Jimmy pracuje z tobą, a Maria służy Bogu w Nowym Jorku. W przyszłym tygodniu lecisz do Szwecji i Danii wygłaszać kazania. O czym ciągle marzysz? Czego je-szcze mógłbyś chcieć od Boga?

Nicky wyprostował się, zajrzał głęboko w pytające oczy swojej towarzyszki, po czym powiedział z namysłem:

– Nie chodzi o to, czego ja chcę od Boga, kochanie, tylko czego On chce ode mnie. Nasza działalność dotyka tylko powierzchni problemu.

Zamilkł. Ciszę przerywały jedynie odgłosy wesołej zabawy wokół domu.

– Ale to nie jest tylko twoje zadanie, Nicky – powiedziała Gloria, wciąż patrząc na niego z przejęciem. – To jest zadanie wszystkich chrześcijan, wszędzie.

– Wiem o tym – odparł Nicky. – Ale nie przestają myśleć o tych wielkich kościołach w śródmieściu, które stoją puste przez cały tydzień. Czy nie byłoby wspaniale, gdyby te nie używane sale mogły się zmienić w sypialnie, w których mieszkałyby setki niekochanych dzieci i nastolatków ze slumsów? Każdy kościół mógłby się stać takim, ośrodkiem, prowadzonym przez ochotników...

– Nicky – przerwała Gloria ściskając mu kolano – jesteś marzycielem. Sądzisz, że ci ludzie z kościołów zechcą zmienić swoje piękne budynki w domy dla zbłąkanych i bezdomnych dzieci? Oni chcą pomóc, ale chcą, żeby ktoś to za nich robił. Oburzają się, jeśli pijak zakłóci ich nabożeństwo. Wyobrażasz sobie, co by powiedzieli, jeśli przyszli do kościoła w niedzielę rano i zobaczyli

swoje świątynie zbezciesz-czone przez łożka, a eleganckie, wychuchane sale kościelne pełne byłych narkomanów? Nie, Nicky, jesteś marzycielem. Ci ludzie nie chcą sobie zabrudzić rąk. Buntują się przeciwko plamieniu ich dywanów brudem z bosych stóp.

Nicky pokiwał głową.

– Oczywiście masz rację. Zastanawiam się, co uczyniłby Jezus. Czy zabrudziłby sobie ręce?

Przerwał i zamyślił się, patrząc na odległe góry.

– Pamiętasz, jak w tamtym roku jechaliśmy do Point Loma nad zatoką San Diego? Pamiętasz tę wielką latarnię morską? Przez całe lata wprowadzała statki do portu. Ale teraz czasy się zmieniły. Czytałem w tamtym tygodniu, że jest za dużo smogu i muszą zbudować nową latarnię morską na dole, blisko wody, żeby światło mogło świecić poniżej smogu.

Gloria słuchała z uwagą.

– Oto, co się teraz stało – ciągnął Nicky. – Kościół dalej stoi ze swym światłem gorejącym wysoko. Ale mało kto je widzi, bo czasy się zmieniły i jest za dużo smogu. Potrzebne jest nowe światło, świecące przy ziemi – na dole, gdzie są ludzie. Nie mogą być tylko stróżem latarni morskiej. Muszę jeszcze dbać o światło. Nie, nie uciekam już nigdzie. Chcą tylko być tam, gdzie to wszystko się dzieje.

– Wiem – powiedziała Gloria, a w jej głosie słychać było głęboką dumę i zrozumienie. – I właśnie tego dla ciebie chcę. Ale może będziesz musiał zdać się na własne siły. Wiesz o tym, prawda?

– Nie tylko na własne – powiedział Nicky, kładąc dłoń na jej ramieniu. – Będę chodził po rejonie Jezusa.

Śmiech chłopców na podwórzu zabrzmiał głośniejsz: skoń-czyli grać i ruszyli do domu. Karl i Ralphie podnieśli swoje Biblie i usiedli na krawężniku przed domem. Nicky spuścił głowę i spojrzał na Glorię spod oka.

– Miałem dziś telefon od pewnej matki z Pasadeny – przerwał i znowu spojrzał na Glorię, ale ona bez ruchu czekała na ciąg dalszy. – Jej dwunastoletni chłopak został za-trzymany przez policję za handel marihuaną. Jej mąż chce, żeby go wsadzili do więzienia – Nicky’emu głos się załamał. – Ale my już nie mamy miejsca i brak nam pieniędzy.

Siedzieli w milczeniu. Nicky patrzył na małego wróbla, skaczącego po trawie. Oczy napełniły mu się łzami na myśl o nieznanym dziecku... tak podobnym do tysięcy innych... głodnym miłości... narażającym się na więzienie, żeby zwrócić na siebie choć trochę uwagi... szukającym czegoś prawdziwego-go... szukającym Jezusa, a nie wiedzącym o tym.

Gloria przerwała jego rozmyślenia.

– Nicky – powiedziała miękko, splatając swoje palce z jego palcami – co masz zamiar zrobić?

Nicky uśmiechnął się i spojrzał jej w twarz, mówiąc:

– Mam zamiar zrobić to, czego chciałby ode mnie Jezus. Mam zamiar wmieszać się w to.

– Och. Nicky, Nicky – powiedziała Gloria i oplotła ramionami jego nogi – Kocham cię! Zawsze znajdzie się miejsce dla jednego więcej. A Bóg z pewnością zadba o nasz byt.

Jimmy wycofał mikrobus z podjazdu. Chłopcy weszli do środka, żeby jechać na nabożeństwo uliczne w getcie. Nicky podał rękę Glorii i pomógł jej wstać.

– Vamanos! Biegniemy. Czas pracować dla Jezusa!

Zbliżał się czas audycji i miałam właśnie wychodzić ze swego gabinetu do mieszczącego się na drugim końcu korytarza studia radiowego, gdy wszedł Nicky Cruz. Ro-zejrzał się, aby się upewnić, że nikogo prócz nas nie ma w pokoju, zamknął drzwi i stanął w milczeniu przede mną, zgarbiony, z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie. Jego twarz była niemal bez wyrazu, chociaż, gdy mu się uważnie przyjrzałam, zauważyłam oznaki tłumionych emocji.

– Proszę! – powiedział lakonicznie i zaczął powoli wyciągać ręce z kieszeni. Przez moment nie wiedziałam, czego mam się spodziewać!

Wówczas Nicky zaczął układać przede mną najdziw-niejszy zbiór przedmiotów, jaki kiedykolwiek widziałam. Jeden po drugim kładł je na stole, wymieniając ich nazwy: domowej roboty pistolet, przerażająco wyglądająca para żelaznych kastetów, wykładany kością nóż sprężynowy, dwa ołowiane ciężarki, pomysłowo

przymocowane na koń-cu rzemienia, oraz „sprzęt”: igłę, zakraplacz i miseczkę z kapsli od butelki – nieodłączne instrumenty narkomana.

– To były narzędzia mojego rzemiosła – powiedział Nicky, z oczyma błyszczącymi stanowczością. Popatrzył na stół i dotknął każdego z tych przedmiotów, jakby się z nimi żegnając. – Z nich żyłem. Moje życie od nich za-leżało. Ale nie potrzebuję ich już. Daję je Jemu.

Gdyby to było możliwe, włożyłby je w poranione gwoździemi ręce Pana Jezusa. Dawał je mnie jako komuś w rodzaju powiernika. I teraz z kolei ja musiałam tłumić wzruszenie.

Wciąż jeszcze mam tę niezwykłą kolekcję i od czasu do czasu wyciągam ją, żeby przypomnieć sobie o Nicky Cruzie i o tym, kim on był... a także o Bogu, którego miło-sierdzie i łaska uczyniły z Nicky’ego tego, kim jest dzisiaj.

Kathryn Kuhlman,
Pittsburgh, Pensylwania.